

JACEK PIEKARA

**RYCERZ  
KIELICHÓW**

Agencja Wydawnicza

**RUNA**

*930*

## RYCERZ KIELICHÓW

Copyright © by Jacek Piekara, Warszawa 2007

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2007

Projekt okładki: Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Urszula Okrzeja, Renata Lewandowska

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2007

ISBN: 978-83-89595-37-9

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

[www.runa.pl](http://www.runa.pl)

**-M**ogę śnić dla ciebie - powiedziała cichutko dziewczyna stojąca przy murze budynku.

Nie dostrzegłbym jej, gdyby nie wymówiła tych słów. Najwyraźniej i ponad wszelką wątpliwość skierowanych właśnie do mnie.

-Słucham? - spytałem i od razu pożałowałem, że nie poszedłem dalej.

Zapewne była żebraczką, narkomanką albo prostytutką. Teraz trzeba będzie szybko wzruszyć ramionami, przerywając jęklive prośby o pomoc, i jak najprędzej uciec. Ale kiedy zerknąłem na nią, zamierzając nadać twarzy wyraz niezadowolonej obojętności, dostrzegłem, że ma miłą buzię, schludne ubranie i sprawia wrażenie raczej przestraszonej niż natrętnej.

-Słucham? - powtórzyłem.

Jakiś przechodzień potrącił mnie i nawet tego nie zauważył albo nie chciał zauważyć. Obejrzałem się za nim gwałtownie, lecz był już za daleko, niknął za plecami innych osób i nie chciało mi się go gonić. Zresztą po co? Żeby go opieprzyć albo odpłacić pięknym za nadobne?

-Co takiego?

To potrącenie wyprowadziło mnie z równowagi, lecz przyszło mi na myśl, że przedtem źle ją usłyszałem.

Może powiedziała: mogę się modlić za ciebie? Czyżby należała do jakiejś sekty?

-Mogę śnić dla ciebie - teraz usłyszałem już wyraźnie.

Śnić dla mnie? To było dość oryginalne. Zbyt niezwykle na ukrytą kamerę, zbyt wyrafinowane. Scenarzyści ukrytych kamer mają humor godny Bawarczyka. Włożyć skórzane spodnie na szelkach i pierdnąć w towarzystwie - oto ich wyobrażenie o szampańskiej zabawie.

-Dziękuję - odparłem - jakoś radzę sobie sam ze snami.

Skrzywiłem usta w uśmiechu, który oznaczał „hej, wiesz dobrze, że nie biorę cię na poważnie, ale jestem miłym facetem”, i odszedłem.

-Mogę śnić dla ciebie - mruknąłem ironicznie pod nosem i uśmiechnąłem się do własnych myśli.

Gdyby nie to, że się spieszyłem do pracy, może zamieniłbym z nią kilka słów więcej. Miała miłą buzię i ładne ciemne oczy. Ale coś mi mówiło, że wcale mnie nie podrywa, ani nawet o tym nie myśli. Czasami wiadomo, kiedy mamy do czynienia z osobą, która nie jest do końca normalna, i ta dziewczyna chyba należała do tej właśnie kategorii... Żeby być szczerym, zapomniałem o niej prawie natychmiast.

Na naszych ulicach spotyka się wielu dziwnych ludzi: kierują ruchem ulicznym, opowiadają o zadziwiających wynalazkach, którym poświęcili całe życie, skarżą się na ustrój, żonę lub zachowanie młodzieży. Gadają do siebie bądź kogokolwiek, kto zechce ich posłuchać.

Wygłaszają polityczne elaboraty lub artystyczne manifesty, a niekiedy chcą po prostu wyłudzić parę złotych na zabijające kaca piwo. Tak więc zapomniałem szybko o dziewczynie z ładnymi oczami i nawet nie opowiedziałem nikomu o dziwnym spotkaniu. Nie było czasu, nie było okazji. Jak zwykle.

Moja praca nie należy do szczególnie ekscytujących i niespecjalnie za nią przepadam. Prawdę powiedziawszy, nie przepadam za żadną pracą. Wylegiwanie się na plaży z drinkiem w dłoni, dyskoteka i noc miłosnych zapasów z niebrzydką nieznajomą - to zupełnie wystarczałoby mi do szczęścia. Na pewien czas, rzecz jasna. Ale praca w jakiegokolwiek formie i postaci nie była szczytem moich marzeń. Do domu zwykle wracam późno, tak zmęczony, by nie zawracać sobie głowy niczym innym niż wślizgnięcie się do łóżka z pilotem w dłoni i surfowanie po kanałach tak długo, dopóki nie zmorzy mnie sen. To może nie najbardziej produktywny sposób spędzania czasu, ale kto powiedział, że wszyscy mają być produktywni?

Ten wieczór różnił się od innych tylko tym, że zasnąłem nieco szybciej niż zwykle, przy zapalanej lampce nocnej i niewyłączonym telewizorze. Kiedy się przebudziłem, z ekranu ktoś bardzo mocno sapał, jakby wykonywał szczególnie męczącą serię pompek, jednak gdy zerknąłem, okazało się, że to spocony polityk opozycyjnej partii pomstuje na rząd. Wcisnąłem klawisz pilota i odpłynąłem od rzeczywistości.



**L**eciałem. Leciałem sto kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Szybko, gdyż krzaki i drzewa przepływały pod mną. Wszystko było zatopione w szarówce poranka, gdzieś na horyzoncie dopiero podnosiło się słońce i malowało chmury lekkim szaroróżowym blaskiem. Pod mną biegły wilki, całe stado wilków.

Biegły, z opuszczonymi pyskami, nie wiedząc nawet o mojej obecności tam na górze, nad nimi. Poczułem lekkie ukłucie strachu. Doskonale wiedziałem, że śnię. Ale czy to się okaże snem z gatunku tych, w których walczy się z własną niemocą? Czy zaczną powoli opadać prosto w stado wilków, beznadziejnie próbując wzbić się w powietrze, lecz mimo wszelkich wysiłków będą coraz niżej i coraz niżej, aż wreszcie, kiedy wyszczerzone paszcze prawie dotkną moich stóp, obudzę się przerażony i zlany potem?

Na szczęście nic takiego się nie stało. Leciałem, cały czas utrzymując wysokość, a wilki dalej mknęły przed siebie nieskończonym strumieniem. Nie było to zbite stado, zwierzęta biegły w sporych odstępach, ale naliczyłem ich naprawdę bardzo dużo. Co najmniej kilkaset. Wtedy dopiero ze zdumieniem zorientowałem się, komu zawdzięczam wygodny, wysoki lot.

Siedziałem na grzbiecie smoka o wydłużonej, węzowej szyi i błoniastych skrzydłach. Smoka, który szybował bez wysiłku z prędkością pozwalającą mu bez trudu mijać najszybsze wilki. Obecność tego zdumiewającego wierzchowca spowodowała, że momentalnie się uspokoiłem. Wiedziałem już, że nie spadnę prosto w stado, wiedziałem, że mogę lecieć nad nim, przed nim, czy podążać jego śladem. Na horyzoncie zobaczyłem szare (tak jak wszystko w brudnym świetle wczesnego świtu) wzgórze i domyśliłem się, że wilki zmierzają właśnie ku niemu. Na szczycie wzgórza, a raczej rozległym płaskowyżu, przypominającym patelnię wbitą pomiędzy dwa garby, rysowały się ciemne sylwetki. Pomyślałem, że nie powinienem zanadto się do nich zbliżać i smok zwolnił lot, jakby wyczuwając moje życzenie. Teraz widziałem wyraźnie. Na wzgórzu stali jeźdźcy dosiadający karych rumaków i odziani w ciemne zbroje. W środku widziałem postać trzymającą ogromny sztandar przyczepiony do wysokiej tyczki. Dlaczego nie chciałem zostać zauważony? Co może grozić lecącemu człowiekowi ze strony jeźdźców, nawet gdyby ich było bardzo wielu? Ale jednak czułem, iż powinienem zawrócić. Coś mi mówiło, że zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć, i dalszy lot w stronę wzgórza byłby bezcelowy. Bezcelowy oraz niebezpieczny.



**D**źwięk budzika jest tym, czego w życiu nie znoszę chyba najbardziej. Jakikolwiek budzik byś znalazł i jak piękne melodyjki by on wygrywał, to nic nie zmienia faktu, że jest przedmiotem mającym sprowadzić cię do rzeczywistości.

Wyrwać z miękkiej i ciepłej pościeli, zmusić do rozpoczęcia nowego, pospiesznego dnia, w którym, zapewne, jak w wypadku setek i tysięcy innych dni, nie wydarzy się nic, co warto byłoby zapamiętać. Tym razem jednak dźwięk budzika nie wywołał u mnie zwyczajowej agresji, zmieszanej z niechęcią. Tym razem uciszyłem go szybko i leżałem dziwnie zadowolony i już zupełnie rozbudzony. Wspomnienie fascynującego snu, lotu na smoku w stronę wschodzącego słońca, przemykającego pod mną stada wilków, drzew i krzewów migających w dole, nie tylko mnie uspokoiło, ale prowadziło w radosny nastrój. Czasami budzę się w nastroju Królika z Kubusia Puchatka i wiem, że nadeszła właściwa chwila na działanie. Zapewne będąc w takim nastroju, Aleksander Wielki zdecydował się pomaszerować do Indii, a Hannibal nauczył słońce, jak pokonywać alpejskie przełęcze. Co, nawiasem mówiąc, w obu przypadkach okazało się nie najlepszym pomysłem.

Do pracy idę zawsze tą samą drogą. Wystarczy, że przejdę małą uliczką do ronda, przetnę je (odczekując jak zwykle swoje na światłach), a potem do bramy budynku, w którym pracuję, mam jeszcze około pięciuset metrów. Właśnie na tym odcinku, na tym zatłoczonym chodniku pełnym spieszących do pracy ludzi, spotkałem poprzedniego dnia dziewczynę o ładnych oczach. Ale idąc, nie pamiętałem, rzecz jasna, o niej, lecz wspominałem podniebny lot.

- Wszystko było zatopione w szarówce poranka, gdzieś na horyzoncie dopiero podnosiło się słońce i malowało chmury lekkim szaroróżowym blaskiem - usłyszałem cichy głos.

Zatrzymałem się, jakby ktoś dźgnął mnie szpilką.

Obok, w tym samym miejscu co wczoraj, stała ta sama dziewczyna. Nawet nie zmieniła ubrania. Nadal miała na sobie jasną, powłóczystą sukienkę, zapiętą pod samą szyję.

- Co powiedziałaś? - chrypnąłem.

- Smok płynął na skrzydłach wiatru, a pod nim pędziło stado wilków z pyskami opuszczonymi do ziemi, jakby ich nozdrza wypełniał zapach, który je nęcił i przyciągał w stronę płaskiego wzgórza, zatopionego w szarówce, gdzieś na horyzoncie - mówiła takim tonem, jak gdyby recytowała wiersz.

Nie zwróciłem uwagi na to, że potrafiły mnie dwie osoby, a ktoś inny boleśnie wbił mi w łydękę róg nesesera. Zbliżyłem się do dziewczyny. Stałem tak blisko, że czułem zapach jej włosów.

-Co ty mówisz? Co ty mówisz?

-Czy o tym właśnie śniłeś? - zapytała i następnie ciszej powiedziała coś niezrozumiałego, coś, w czym było na pewno co najmniej kilka liter „l” i „n”.

Nikt nie może znać niczyich snów. Nikt nie może opowiadać o nich, i to takimi słowami, jakie ja pamiętałem. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nieznajoma знаła mój sen. Zbyt wiele szczegółów się zgadzało.

Wilki, smok, szarość poranka, wzgórze majaczące na horyzoncie. To nie był przypadek i to nie była ukryta kamera. Nikt nie potrafi stymulować w podobny sposób pracy mózgu, nawet jeśli miałyby w tym cel. Nikt nie potrafiłby na chybił trafił podać tylu zgadzających się szczegółów. Prawdopodobieństwo tego, że strzelała na oślep (jak to czynią różnego rodzaju wróżki), było tak samo duże, jak prawdopodobieństwo tego, że za chwilę do kieszeni marynarki wpadnie mi meteor.

Kim więc była niewysoka, szczupła dziewczyna, znająca moje sny?

-Mogę śnić dla ciebie - powtórzyła te same słowa co wczoraj - chcesz, żebym dla ciebie śniła?

Spojrzałem na zegarek. Było kilka minut po dziesiątej. Ale czułem, że jest mi wszystko jedno, nie tylko, czy spóźnię się dziś do pracy, ale też, czy w ogóle tam pójde.

-Możemy porozmawiać? - zapytałem. - Może gdzieś usiądziemy?

-Chodźmy do ciebie - odparła - chętnie zjadłabym śniadanie.



**Z**anim zjadła śniadanie, wzięła długą kąpiel i pojawiła się w pokoju okutana w mój szlafrok, z białym ręcznikiem, którym jak turbanem owinęła mokre włosy. Postanowiłem niczemu się nie dziwić, chociaż sytuacja była co najmniej niecodzienna.

Przygotowałem jej herbatę i śniadanie, co było o tyle skomplikowanym zadaniem, że prawie nigdy nie jadam w domu i w mojej lodówce zwykle nie ma nic oprócz napojów. No ale znalazły się jednak jajka, kawałek sera i kilka kromek kupionego nie wiadomo kiedy i po co chrupkiego pieczywa, którego, nawiasem mówiąc, serdecznie nie znoszę, gdyż smakuje jak równo pokrojone płaty styropianu.

Pałem w milczeniu papierosa i przyglądałem się, jak je. Po jej posturze spodziewałem się, że będzie dziobała w jedzeniu niczym wróbelek, a tymczasem wcale nie starała się ukryć, że ma apetyt. Dopija herbatę i spozrzała na mnie. W jej oczach nadal widziałem obawę, może lepiej powiedzieć: zaniepokojenie. Była jednak już kimś innym niż ta zastraszona, spotkana wczoraj osóbką.

- Chciałbyś mnie o coś spytać?

- A skąd! Przyszedłem tylko zrobić ci śniadanie, zapaliłem papierosa i zaraz idę do pracy. - Nawet się nie wysiliłem na ironię.

- Nie możesz tego zrobić! - W jej oczach eksplodował lęk.

- Żartowałem - odpowiedziałem po chwili i teraz na pewno w moim głosie można było usłyszeć zdumienie. - To, co mi się z tobą przydarzyło, jest jedną z najbardziej zadziwiających rzeczy w moim życiu. Nie, nie - pokręciłem głową - to po prostu jest najbardziej zadziwiająca rzecz w moim życiu.

- I ty to mówisz? - Po tych czterech słowach znowu powiedziała szybko coś, co miało w sobie wiele liter „l” i „n”, i roześmiała się. Ale szybko spoważniała.

- Pytaj.

- Znasz obrazy z mojego snu. Znasz je bardzo dokładnie. Jak to możliwe?

- Ja go dla ciebie śniłam. A może inaczej: jestem przekaźnikiem twojego snu, twoim łączem z nim. Beze mnie będziesz widział fragmenty, niejasne urywki, zamglone obrazy, o których zapomnisz zaraz po przebudzeniu. Dzięki mnie twój sen będzie tak realny jak rzeczywistość.

- A więc masz zdolności parapsychiczne - stwierdziłem. - Jesteś medium czy kimś w tym rodzaju?

- Nazywaj to, jak chcesz. - Wzruszyła ramionami.

- Dzięki mnie możesz śnić sen, który będzie dla ciebie realny niczym jawa. Znajdziesz się w fantastycznym królestwie, gdzie mrok walczy z jasnością, będziesz sławny, kochany przez jednych i nienawidzony przez drugich. Będziesz przemierzał świat na grzbiecie swego niezwykłego wierzchowca... Czy nie takiego życia zawsze pragnąłeś?



-To tylko sny - mruknąłem - równie realne jak komputerowa gra. Co nie znaczy - uniosłem dłoń, gdyż najwyraźniej chciała mi przerwać - że gry komputerowe nie są ekscytujące. Ale powiedz, czego ode mnie chcesz? Zawsze jest coś za coś, prawda? Podrap mnie w plecy, a ja podrapię ciebie. Hmm?

-Będę tu mieszkać - powiedziała - i chciałabym zjeść czasem coś bardziej strawnego od jajek i kilku plasterków zeschniętego sera. Mogę ci nawet gotować, jeśli tylko będziesz robił zakupy.

-Będziesz tu mieszkać? - Nie mogłem się powstrzymać, by znowu nie zapalić papierosa.

Cały czas miałem wrażenie, że za chwilę ona się roześmieje i powie: „Hej, spójrz w tamtą stronę, jesteś w ukrytej kamerze!”.

-Cóż za stereotypowa sytuacja. Spotkana na ulicy dziewczyna zna moje sny, opowiada, że będzie moim łącznikiem z krainą fantazji, i chce u mnie mieszkać, a nawet mi gotować! Dzień jak co dzień, prawda? Co będzie, jeśli odmówię?

-Życie jest ciągłym dokonywaniem wyborów - usłyszałem w jej głosie nutę smutku - i ty również musisz dokonać swojego.

A jeśli to wariatka? - pomyślałem. Wariatka obdarzona zdolnościami parapsychicznymi, która w nocy poderżnie mi gardło? Albo sprowadzi ludzi ze swej sekty, a oni odprawią nade mną tak dziwaczne rytuały, że na widok ich efektów porzygają się nawet policjanci pakujący moje ciało do czarnego worka? Nie wyglądała, co prawda, na niebezpieczną osobę. Była ładna i miła.

Ale czyż nie o to chodzi?

-Mam jeden pokój - powiedziałem.

Rzeczywiście, kiedy mówię, że mam pięćdziesięciometrowe mieszkanie nikt nie przypuszcza, że jest to jeden pokój. Poprzedni właściciel, zanim wylądował w wariatkowie, zdążył wyburzyć wszystkie ściany (nie wyłączając nośnej) i z trzech pokoi zrobił jeden. Teraz pośrodku tej hali stały cztery wsporniki (obłożyłem je białymi, gipsowymi kaflami) w miejsce nośnej ściany.

Przy północnym oknie leżał rozłożony szeroki materac, a oprócz tego w pokoju była tylko szafka pod telewizor, półki z książkami, okrągły stół o przeszklonym blacie, dwa szerokie fotele o wysokich, pochylonych oparciach i wbudowana w ścianę szafa z trzema lustrami.

-Mogę spać na poduszkach z fotela.

Rzeczywiście. Te ogromne dwie poduchy, ułożone obok siebie, tworzyły całkiem wygodne leże. Wiem, bo sam kiedyś na nich spałem. Nie zmieniało to jednak faktu, że

dziewczyna była zdecydowana, by zostać. Zresztą, czemu nie? Zawsze miałem ciągoty do dziwacznych zdarzeń, przygód, próbowania nowych rzeczy. Mieszkanie z nią mogło się okazać ekscytującym doznaniem.

Jeśli naprawdę będę śnił logiczne sny, zazębiające się w jedną całość...

Nagle złapałem się na myśli, że traktowałem ją do tej pory raczej aseksualnie. To bardzo dziwne w moim wypadku, lecz jakoś nie zadawałem sobie pytania, czy znajdzie się ze mną w łóżku, a jeśli już, to jaka w nim będzie. Być może kwestie związane ze snami były zbyt zdumiewające, by myśleć o sprawach tak trywialnych (choć niewątpliwie miłych), jak seks. Teraz pomyślałem sobie, że ładna, szczupła dziewczyna mogłaby zabawiać mnie nie tylko w moich snach, ale i chwilę przed nimi. Muszę jednak szczerze przyznać, że ten aspekt nie zaważył na podjęciu decyzji.

-Może jestem szalony - powiedziałem wolno - może jestem pochopny i nieostrożny - dodałem – może i mam źle w głowie, ale dobrze, zgadzam się.

-Pochopny i nieostrożny. - Uśmiechnęła się. - O tak, właśnie to do ciebie pasuje.

-Czy zdradzisz mi, moja nowa współlokatoro, jak masz na imię?

-Co powiesz na Annę?

-Śliczne, nawet jeśli nieprawdziwe - odparłem.

-Ale... to nie wszystko. Musisz mi coś obiecać.

-Co takiego?

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się lekko.

-Porozmawiamy o tym potem.



**Z**nowu, a raczej ciągle, siedziałem na grzbiecie smoka. Szare strzępy chmur nadal były rozrzucone po całym niebie, jednak zrobiło się zdecydowanie jaśniej. Na horyzoncie wstawało słońce.

Leciałem z powrotem, nie wiedząc, co dokładnie znaczy „z powrotem”, mając jednak pewność, że mój dziwny wierzchowiec doskonale się orientuje, dokąd powinniśmy zmierzać. Postanowiłem bliżej przyjrzeć się temu, z czyjego wygodnego grzbietu korzystam. Smok miał, co już zauważyłem wcześniej, wydłużoną szyję i

bloniaste skrzydła, przypominające skrzydła jakiegoś gigantycznego pterodaktyla. Ale na końcu smukłej szyi znajdowała się ogromna głowa okolona czymś w rodzaju płytowego kołnierza z wyszczerbionymi krawędziami. Nie mogłem zobaczyć paszczy zwierzęcia, bo miało tak zwróconą głowę, że widziałem jedynie ten właśnie kołnierz. Ciało smoka było pokryte suchą, twardą łuską szaroburego koloru, która lekko rozjaśniała się w kierunku brzucha. Spostrzegłem pod nią sploty potężnych mięśni. Dotknąłem obiema dłońmi grzbietu smoka i poczułem, a może tylko wydawało mi się, że poczułem, dalekie bicie serca i pulsowanie krwi. Wtedy uderzyło mnie wspomnienie, coś zakołatało na samej granicy pamięci. Zrozumiałem, że łączą mnie ze smokiem dziwne więzy, zrozumiałem aż do bólu, że oddałbym za niego życie i być może kiedyś właśnie tak zakończę swoją drogę: z mieczem w ręku, przed tłumem wrogów, osłaniając go własnym ciałem. Jednocześnie byłem pewien, że to zwierzę w każdej chwili odda również życie za mnie. Być może tak skończy się jego droga: z okrwawioną paszczą będzie mnie bronił przed ciosami.

Była to myśl zdumiewająca, pełna dojmującej słodkiej goryczy i jednocześnie tak nieprawdopodobnie wzniosła, że aż zrobiło mi się słabo. Nie wiem, czy smok mógł wyczuć moje myśli, lecz nagle zobaczyłem, jak nie zmieniając kierunku lotu, odwraca ku mnie głowę. Ujrzałem tępą niczym bojowy młot paszczę, nad którą lśniły zdumiewająco inteligentne, złote oczy. Potem wolno zwrócił łeb znowu w stronę kierunku lotu, jednak wyraźnie poczułem, jak przez potężne cielsko przebiegł dreszcz.

Szybowaliśmy na wysokości dwustu, może trzystu metrów nad ziemią. Spojrzałem na swe dłonie oparte na grzbiecie gada i zobaczyłem, że są obleczone w skórzane rękawice nabijane metalowymi guzami. Na nogach miałem wysokie buty z lekko rozszerzonymi cholewami, a przy nogawce spodni kołysał się krótki sztylet. Byłem ubrany w wełniany kaftan i pelerynę z dziwnego, delikatnego materiału w kolorze identycznym jak smocza łuska. Przy grzbiecie smoka, w zawieszanej pochwie, zauważyłem rękojeść długiego miecza. Coś powstrzymało mnie przed wyjęciem go. Zastanawiałem się, czy w tym śnie będę potrafił nim władać. W rzeczywistości raz czy dwa razy w życiu trzymałem w ręku podobny oręż, a cała moja wiedza o sztuce fechtunku pochodziła z hollywoodzkich filmów, książek fantasy i obserwacji pokazów bractw rycerskich. Czy to możliwe, bym we śnie stał się może nie mistrzem walki, ale chociaż człowiekiem potrafiącym bez kompromitacji wyjąć miecz i zamachnąć się nim? Czy też raczej będę musiał uważać przede wszystkim na to, by nie poranić siebie samego? Cóż, we śnie wszystko jest możliwe.

Nie dziwił mnie fakt, że zdaję sobie sprawę z tego, że tylko śnię. To zdarzało mi się często. Ba, czasami potrafiłem w pewnym, ograniczonym stopniu, sterować fabułą własnych snów. No, ale równie często ta fabuła płała mi niezbyt miłe figle. Każdy zna zapewne uczucie sennej bezsilności, kiedy wrogowie nie padają pod wpływem ciosów, a pistolet zamienia się w plastikową zabawkę, z której łagodnym łukiem wypadają nieszkodliwe, gumowe kulki.

Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem na horyzoncie coś w rodzaju zamkowych wież. A może były to jedynie chmury, przybierające dziwne kształty w złudnym blasku świtu? Jednak nie... Przymrużyłem oczy i teraz widziałem już wyraźnie. Lecieliśmy w stronę średniowiecznej fortyfikacji, okolonej wysokimi, strzelistymi wieżami. Czy to było właśnie nasze miejsce przeznaczenia? Zobaczyłem też pod nami chaty rozrzucone wśród pól i drzew, a nawet sylwetkę człowieka, patrzącego w niebo z dłonią przy czole, tak jakby obserwował nasz lot. Ciekawe, czy mógł dojrzeć smoka, którego szara łuska zapewne doskonale stapiała się z szarością poranka. Bardzo dokładnie widziałem już ciągnące się wzdłuż wzgórza pasmo obronnych murów z wieżyczkami, blankami i sylwetkami łuczników. Do niezbyt szerokiej bramy, zamkniętej na głucho, prowadziła kręta, wąska droga. Pod bramą ciągnął się łańcuch wozów, stał też milczący tłumek ludzi. Obniżyliśmy lot, a wtedy wszyscy ci ludzie zaczęli unosić głowy i patrzeć w naszą stronę. Zastanawiałem się, jakie wrażenie wywoła widok krążącego nad tłumem smoka, ale o dziwo, oprócz nawoływań, raczej pełnych zdziwienia niż strachu, nie usłyszałem niczego niepokojącego. Ba, niektórzy machali w moją stronę i z całą pewnością było to przyjazne machanie. Smok zatoczył szerokie koło niedaleko bramy, po czym przefrunął nad murami, pozwalając mi dostrzec strażników, którzy jako jedyni okazali coś w rodzaju paniki. Zobaczyłem nerwową krzątanicę na blankach, ktoś uniósł łuk, ktoś inny wytrącił mu go z rąk, usłyszałem nerwowe nawoływania, a zaraz potem jęk dzwonu bijącego na alarm. Tymczasem my wylądowaliśmy łagodnie na środku dziedzińca, kilkanaście metrów za bramą. Smok złożył skrzydła, tak że utworzyły dwie wysokie piramidy po bokach jego ciała, i położył łeb na ziemi. Byłem jednak pewien, że to tylko pozorny bezruch. Jeden nieprzyjazny gest ze strony strażników, a potężne skrzydła załomocą w powietrzu i uniesiemy się wysoko, do chmur, poza zasięg strzał łuczników. Na szczęście nikt nie myślał nas atakować.

Ba, nawet nikt nie myślał o tym, by się zanadto zbliżyć. Kilkunastu żołnierzy stanęło w bezpiecznej odległości. Co prawda widziałem, że łucznicy na blankach są gotowi do oddania strzału, lecz byłem przekonany, że nie zrobią niczego głupiego, jeśli tylko nie dam im ku temu powodu.

Zsiadłem z grzbietu smoka i zabrałem ze sobą miecz.

Poczułem się trochę nieswojo na ziemi, zupełnie jak bym zszedł z pokładu rozkołysanego statku. Nie za bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić, więc postanowiłem czekać. Nie musiałem zresztą czekać długo, bo już po kilku minutach zbliżył się do nas bogato ubrany człowiek, zapewne wyższy rangą dworzanin. Miał gładko wygoloną, bladą twarz i krótko przycięte prawie białe włosy. Na początku myślałem, że jest stary, a potem się zorientowałem, że jego twarz nie nosi śladów wieku, musiał zatem być albinosem. To dziwne, że pełnił wysoką funkcję na dworze. Prymitywne społeczności były raczej skłonne szykanować odmieńców niż przydzielać im godne szacunku stanowiska. Albinos podszedł zdecydowanym krokiem, widziałem jednak, że stara się przywołać na twarz przyjacielski uśmiech i nie wykonywać nagłych ruchów. Doskonale wiedział, że w pobliżu szczęk mojego smoka ma, w wypadku walki, równie duże szanse na przeżycie, co królik pod dziobem jastrzębia.

- Witaj - rzekł. - Czy raczysz wyjawić, czemu zawdzięczamy twoją wizytę?

Przyglądałem mu się w milczeniu. Co zabawne, zdołałem spostrzec, iż to milczenie wyraźnie go skonfundowało. Coś podpowiadało mi, iż ani ja go nie lubię, ani on nie jest moim przyjacielem.

- Mój smok cię nie zna - wyjaśniłem.

- Jestem Irтин Kardemar, podstoli księżnej - przedstawił się i pochylił głowę - i mam nadzieję, że ty mnie pamiętasz.

Po co tu przyleciałem? Bóg raczy wiedzieć. Ale przecież nie mogłem tłumaczyć temu człowiekowi, że nie mam pojęcia, co mnie sprowadza do niezwyklej krainy, która zresztą istnieje jedynie w moim śnie.

W usłyszonym dopiero co zdaniu uderzyły mnie słowa „i mam nadzieję, że ty mnie pamiętasz”. A więc znałem tego człowieka.

- Pomyślałem, że znajdę tu kogoś, kto ofiaruje gościnę mnie i mojemu przyjacielowi - odparłem lekkim tonem, tak by moja odpowiedź mogła zostać zrozumiana zarówno dosłownie, jak i w formie przenośni.

Albinos milczał chwilę.

- Dziwne wybrałeś sobie miejsce, by szukać gościny - odparł wreszcie - ale nie mnie decydować o twym losie. Udaj się, proszę, za mną. Twój przyjaciel zostanie tymczasem nakarmiony i napojony.

Rzecz jasna nie miałem innego wyboru jak posłuchać tej uprzejmej propozycji. Nie do końca podobał mi się wyraźny dystans, z jakim traktował mnie albinos, nie do końca również odpowiadały mi słowa „nie mnie decydować o twym losie”. Ale, tak jak

powiedziałem wcześniej, nie miałem wyboru. Zostałem tylko przez moment, krótkim mgnieniem oka, by pogłaskać szyję smoka. Nie uniósł nawet głowy i zauważyłem, że jego złote ślepią zaszyły szarą, nieprzejrzystą mgłą. Wiedziałem jednak, nie wiadomo zresztą skąd, że doskonale wszystko widzi. Przed odejściem zabrałem ze sobą miecz i zastanawiałem się przez chwilę, co z nim zrobić. Intuicyjnym ruchem przerzuciłem go przez ramię i rękojeść wylądowała dokładnie przy moim lewym uchu, a pochwa biegła skosem aż do prawego biodra. O, tak, to właśnie było właściwe miejsce dla tej broni!

Przeszliśmy przez dziedziniec, potem zamkowymi korytarzami, później kruzgankiem nad dziedzińcem, w końcu znowu korytarzami. Zdumiewające było, że miałem pewność, iż część mieszkańców zamku, dworzan, sług lub żołnierzy, najwyraźniej mnie rozpoznaje.

Wyłapywałem płochliwe spojrzenia, niektóre pełne z trudem ukrywanej sympatii, inne przepojone nieudawaną niechęcią. Wreszcie weszliśmy do prostokątnej komnaty, na której końcu stał tron, a raczej duże rzeźbione krzesło obite czerwoną materią. Na tronie siedziała kobieta, której twarz wydała mi się dziwnie znajoma. Kiedy spojrzałem na nią, coś drgnęło w moim sercu.

Ta kobieta... Kim była? Miała włosy koloru dobrze wypolerowanej stali, piękną, bladą twarz i ogromne, lekko skośne, szare oczy. Jej wąskie dłonie spoczywały na poręczach krzesła, czoło okalał delikatny złoty diadem.

Kiedy mnie zauważyła, przez jej twarz przebiegł grymas, ale ktoś, kto akurat w tym momencie zmrużyłby oczy, nie dostrzegłby po chwili nic niezwykłego.

-Pani - rzekł mój przewodnik – przyprowadziłem go, tak jak kazałaś.

Nie wiedziałem, co zrobić, więc postąpiłem parę kroków w stronę tronu (zauważyłem w tym momencie zaniepokojenie stojących obok żołnierzy, wyraźnie widziałem, jak jeden ścisnął mocno stylisko halabardy).

-Pani. - Skłoniłem się na tyle głęboko, by oddać szacunek, lecz na tyle swobodnie, by ukłon nie wydał się poniżający.

- Witaj, Lanne Lloch l'Annah... - jej głos przypominał kolor jej włosów.

Zrozumiałem teraz, co mówiła Anna! Zrozumiałem, jak naprawdę brzmiało to dziwne słowo z wieloma „l” i „n”! To było właśnie Lanne Lloch l'Annah – moje imię! To odkrycie tak mnie zafrapowało, że tylko podświadomie usłyszałem następne słowa:

-...złodzieju i morderco.

Nie wiedziałbym, jak odpowiedzieć. Kim był Lanne z mego snu, że zasłużył sobie na gniew tej zimnej piękności? Czy był kryminalistą, czy żołnierzem wrogiego

kraju, czy też dzieliły ich inne spory, o których nie mogłem mieć pojęcia? Nie wiedziałbym, jak odpowiedzieć na jej oskarżenia. Ale coś we mnie odpowiedziało samo, nim zdążyłem się zorientować, że poruszam ustami.

-Nie jestem złodziejem ani mordercą. A ty wiesz o tym najlepiej, piękna pani!

Kiedy usłyszałem własne słowa, zamarłem. Nie jest dobrze przemawiać w ten sposób do kobiety, która ma władzę przyzwania zbrojnych i której uczucia są dalekie od przyjaźni. Jednakże zimna piękność jedynie się uśmiechnęła i strzepnęła białymi dłońmi.

-Wynocha - rozkazała - wy wszyscy.

-Ależ, pani, czy jesteś...? - zaczął albinos.

Spojrzała tylko na niego i połknął resztę zdania.

Czekaliśmy, aż wszyscy opuszczą komnatę; gdy drzwi cicho trzasnęły, zostaliśmy wreszcie sami. Stałem dwa metry od niej i mogłem poczuć dziwną woń jej perfum. A może nie perfum, lecz olejków lub balsamu, którym nacierała ciało?

-Tyle lat, Lanne... - odezwała się. - Minęło tyle lat, że...

-Zdawałem ci się jedynie cieniem przeszłości - dokończyłem zdanie, zanim zdążyłem pomyśleć.

-Właśnie. - Skinęła głową. - Czy wiesz, dlaczego moi żołnierze wpuścili cię do zamku? Wiesz, dlaczego łucznicy na murach nie zestrzelili twego smoka?

-Może szarość poranka uśpiła ich źrenice, znużone całonocnym czuwaniem? - odparłem, dziwiąc się, skąd przyszły mi do głowy tak obrazowe słowa.

-Uśpiła ich źrenice - powtórzyła z lekkim uśmiechem, dzięki któremu stała się jeszcze piękniejsza. - Och, Lanne, tęskniłam za twoimi balladami. Ale nie! Nie uśpiła ich szarość poranka, bo następnego dnia rozbudziłyby ich baty. - Już się nie uśmiechała. - Mój ojciec, kiedy umierał, powiedział: „Lanne kiedyś powróci. Pamiętaj, byś wysłuchała, co ma do powiedzenia, zanim go zabijesz”. Mój ojciec cię lubił, Lanne. Mimo wszystko. Zawsze żałował, że nie może już słuchać twoich nowych ballad.

„Zanim go zabijesz” - to, delikatnie mówiąc, nie brzmiało zachęcająco. Musiałem czymś bardzo urazić tę damę. Mimo to roześmiałem się tylko. W końcu jedynie śniłem. Jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa, w tej minucie tuż przed śmiercią, po prostu się obudzę. Dlatego mogłem się roześmiać.

-Nie zabijesz mnie, gwiazdko - rzekłem, zastanawiając się, dlaczego właściwie nazwałem ją gwiazdką.

-Nie mów tak do mnie! - krzyknęła wściekle, a jej twarz nagle stała się wręcz brzydka. Trwało to jednak tylko moment. - Przez pamięć na dawne sentymenty? -

zapytała szyderczo. - A może przez pamięć tego poranka, tego najważniejszego w życiu poranka, co? Jak myślisz, Lanne?

Nie wiedziałem, co myśleć, gdyż nie wiedziałem, o czym mówi. Ale coś musiałem odpowiedzieć.

- Jesteś piękna i mądra - oświadczyłem w końcu i wybierzesz właściwą drogę. Zwłaszcza że niedaleko twego zamku widziałem jeźdźców i stada wilków, które szły ich tropem. Wiesz, zapewne, kto może zmierzać w tę stronę?

- Kłamiesz! - krzyknęła. - Varrad nigdy by się nie odważył!

To imię: Varrad. Coś mi przypominało. I nie było to miłe wspomnienie. Lecz prócz uczucia strachu i niepokoju z nim związanego pamiętałem też dzwoniące kielichy i śmiech kobiet, smak pieczonego mięsa rozrywanego przy ogniu i galop na pokrytych pianą koniach.

Kim był Varrad? Wrogiem czy przyjacielem? A może i jednym, i drugim?

- Powiedziałeś: piękna i mądra - odezwała się już nieco spokojniej. - O tak, Lanne. A co moja mądrość każe mi zrobić z tobą? I z kłamstwami, z którymi przychodzisz do mego domu?

- Wyślij zwiadowców, skoro nie ufasz moim słowom. Ale zanim to zrobisz, to ja wiem, co mnie każe zrobić z tobą tve piękno - powiedziałem i wziąłem ją w ramiona.

Przecież to i tak był tylko sen, a we śnie można pozwolić sobie na wszystko. Przez moment chciała się wyrwać z moich objęć, lecz zdusiłem jej szczupłe ciało w uścisku, a ustami poszukałem jej ust. Chwyciłem dłoń, którą chciała sięgnąć do mej twarzy, a potem przygwoździłem jej kolana moimi kolanami. Nagle zwiotczała i oddała pocałunek. Miała pełne, chłodne wargi, które smakowały niczym morską bryza. Miała oczy koloru nieba stykającego się ze sztormowymi falami.

- Lanne - szepnęła, odrywając się na chwilę od moich ust - tak bardzo cię nienawidzę.



**K**iedy się obudziłem w chłodnej pościeli, ona jeszcze spała. Wywołaliśmy zapewne sporą sensację, idąc na noc do jej komnaty. Leżała na wpół naga, z włosami rozrzuconymi na poduszce. Jej twarz we śnie zdawała się prawie że łagodna, jakby nabierała ciepła i wdzięku. Ale wiedziałem, że była równie



bezbronna, jak szykująca się do ataku kobra. Mimo tej nocy, wspaniałej nocy, pełnej zwierzęcego pożądania, wiedziałem, że jesteśmy tak daleko od siebie, jak jeden człowiek może być daleko od drugiego. Pani tego zamku spełniała każde moje żądanie i marzenie, lecz w takim samym stopniu przypominała uległą niewolnicę, jak zaślepiona pożądaniem modliszka. Kochała mnie z zaciętą nienawiścią i drapieżnością, tak jakby to była walka, nie miłość. Zresztą zapewne była to walka. Ale o co? Dlaczego? Wiedziałem jedno: jeśli chcę przetrwać w tym zdumiewającym świecie-śnie, muszę poznać prawdę o własnej przeszłości. Co łączyło mnie z dziwną władczynią? Kim dla niej byłem? Z tego, co zdołałem wywnioskować po przebiegu nocy, nie kochaliśmy się po raz pierwszy. Ani po raz dziesiąty. Ani po raz setny. Intuicyjnie znałem jej ciało i wiedziałem, jak pobudzić ją do krzyku, jak wydobyć z jej ust pełen ulgi spazm. I ta wiedza mocno mnie niepokoiła.

Wstałem i podszedłem do miski pełnej zimnej, czystej wody. Obok wisiał lniany ręcznik. Zanurzyłem dłonie w wodzie. Wtem powierzchnia nagle zafalowała i ujrzałem w niej brodacza w hełmie z tępym nosem.

Człowiek z miski zaśmiał się gromko i zrzucił hełm. Zobaczyłem grubo ciosaną twarz, przeoraną śladami po ospie. Twarz, w której błyszczały czarne, śmiałe i wesołe oczy. W tych oczach tliło się z trudem ukrywane okrucieństwo.

-Lanne! - zawołał. - Drogi, kochany Lanne!

-Varrad - chwyciłem dłońmi krawędź miski, bo przypomniałem sobie jego imię. - Jak dawno się nie widzieliśmy...

-Nie sądziłem, że jeszcze zobaczę cię żywego - rzekł, przyglądając mi się badawczo. - Nic się nie zmieniłeś, Lanne.

-Nic - odparłem - tak: nic. Jak bardzo mógłbyś się zdziwić...

-Lanne, Lanne, Lanne - powtórzył, jakby wyśpiewywał moje imię - nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę, że żyjesz. Będziemy sobie nawzajem potrzebni. Już niedługo.

-Nie sądzę - odrzekłem. - Wystarczyło raz ujrzeć śmierć na końcu twego miecza.

I wtedy wszystko - no, prawie wszystko - sobie przypomniałem. Szalony pościg przez piachy pustyni i konia, który padł drugiego dnia, i Varrada z radosnym śmiechem cwałującego wprost na mnie, i miecz który uderzał prosto w serce. I to, jak odjeżdżali, zostawiając na piachu moje bezwładne ciało. Ale nie zabili mnie. Kolczuga pod płaszczem wytrzymała uderzenie, a ostrze miecza rozcięło ostatni, zawieszony na szyi, bukłak z winem. Zostawili mnie leżącego w czerwonej kałuży, ze źrenicami spalonymi słońcem, myśląc, że wino to krew, a oczy są już oczami trupa.

- Opowiesz mi kiedyś, jak ocalałeś, prawda? - Spojrzał uważnie. - Jak to się stało, że wyleczyłeś rany i przebyłeś pustynię? Ułożysz o tym kiedyś balladę? A może już ułożyłeś?

- Jestem jak kot. Zabrałeś mi jedno życie, ale ja mam ich jeszcze osiem. Dopadnę cię. - Poczuję, jak wzbiera we mnie złość, nagle, straszna i niepohamowana... Czy taki też był Lanne Lloch l'Annah? Czy zabijał w gniewie? Odetchnąłem głęboko. - Kiedyś - dodałem. - Kiedyś porozmawiamy o pustyni.

Machnął dłonią, jakby odpędzał tym gestem uprzykrzoną muchę.

- Nie czas na odgrzewanie starych sporów. Musisz wybrać, przyjacielu. Twoje pojawienie się jest nową kartą w grze. Lanne, jesteś asem w talii i dobrze o tym wiesz, musisz jednak wybrać, do czyjej talii chcesz należeć. I musisz zrobić to szybko!

O co mu chodziło? Jakiego żądał ode mnie wyboru? Co miało wydarzyć się w tym świecie, że potrzebował mojej pomocy? Tym razem pamięć nie chciała mi nic podpowiedzieć.

- Nie będę grał w niczyjej talii - odrzekłem. - Nie wiem, czy w ogóle chcę grać z tobą albo z kimkolwiek innym. Ale jeśli już zagram, to własnymi kartami i o własną stawkę.

- Dumne słowa jak na oberwańca bez armii i przyjaciół - zadrwił, a w jego oczach pojawił się okrutny błysk. - Może myślisz, że znowu omamisz Kordelię?

A więc moja piękna i niebezpieczna kochanka miała na imię Kordelia. Dziwne imię, choć w przeciwieństwie do mojego lub takiego jak Varrad, funkcjonowało w świecie poza snem, w rzeczywistym świecie wielkich miast, samolotów i komputerów. Kordelia? Hmm... jak brzmiało zdrobnienie od niego?

- Czego właściwie chcesz? - spytałem. - I nie obrażaj mnie, jeśli pragniesz, bym ci pomógł. Nazwij mnie jeszcze raz oberwańcem - znowu wezbrał we mnie gniew - a wyrwę ci jaja i wepchnę do gardła!

Zaśmiał się.

- Tak bardzo cię kocham, Lanne - powiedział z rozbawieniem, w którym, o dziwo, usłyszałem nutę czułości. - Czy chcesz tego, czy nie, jesteśmy ze sobą związani na wieczność. Nie wiesz nawet, jak mocno bolałem nad tym, że musiałem cię zabić. Nie przypuszczasz, Lanne, w ilu sennych koszmarach nachodziły mnie zwidy przeszłości, twój ból i twoja krew...

- Przestań wreszcie, bo zaraz się popłaczę! - przerwałem mu.

Umilkł, a ja rozłożyłem dłoń i dmuchnąłem w nią, posyłając mu tym samym ironiczny pocałunek.

-Przypomnę ci, że to ja jestem bardem, drogi przyjacielu. To ja układam ballady oraz mam dar budzenia łez lub śmiechu. Ty zajmij się lepiej tym, co potrafisz najlepiej. - Zamilkłem na chwilę. - A właściwie, co ty potrafisz, prócz pojawiania się w misie brudnej wody?

-Cóż, Lanne - spojrzał na mnie bez gniewu – skoro tak chcesz, niech i tak będzie.

Jego twarz powoli zaczęła się zamazywać w zmarszczkach wody, aż w końcu zniknęła bez śladu. Odetchnąłem. Pustynia. Przypomniał mi o pustyni. Jak stamtąd uciekłem? Ranny i spragniony? Co wydarzyło się na pustyni? Przymknąłem oczy. Wiedziałem, że pamięć tego wspomnienia czai się gdzieś na samej granicy... jedno słowo, jedna myśl, a przypomnę sobie, co się wydarzyło na tej strasznej, rozgrzanej, piaskowej patelni, gdzie zdychałem z pragnienia, rozpacz, chęci zemsty i ran. Gdzie nie miałem już łez, by płakać, bo słońce spaliło mi źrenice na wiór. Poczułem dotyk dłoni i wzdrygnąłem się. Chłodne palce Kordelii zacisnęły się na moim ramieniu. Ileż oddałbym za to uczucie chłodu, tam na pustyni...

-Rozmawiałeś z nim, prawda? - zapytała cicho. - On naprawdę nadchodzi?

-Tak - odparłem i odwróciłem się, a ona cofnęła się o krok, kiedy zobaczyła moją twarz.

Jej dłonie opadły z moich ramion. Była naga i piękna, kiedy stała w mroku rozświetlanym jedynie brzaskiem przesączającym się przez szpary okiennic. Ale jej nagość i uroda były teraz tak odległe. Wiedziałem, że tylko chwila dzieliła mnie od przypomnienia sobie przeszłości. Chwila, która zniknęła wraz z dotykiem jej chłodnych palców.

-Z kim się sprzymierzysz, Lanne? - spytała. – Czy twój przyjazd tutaj oznacza sojusz, czy zdradę? Czy pragniesz wymienić swą cenę? Czego chcesz? Po co wróciłeś?

Nie uciekała spojrzeniem przed moim wzrokiem.

Drżała, było bowiem trochę chłodno, ale cofnęła się, kiedy wyciągnąłem rękę.

-Nie zdradź mnie po raz drugi - szepnęła - zaklinam cię: nie zdradź mnie.

-Nigdy cię nie zdradziłem - odparłem i wiedziałem, że to jest moja prawda, prawda, w którą wierzę.

Tyle że wiedziałem również, iż ona wierzy w swoją prawdę, która się różni od mojej.

-I nie wiem, czego chcę - dodałem - poza tym, że nie chcę cię skrzywdzić. Poza tym, że pragnę odnaleźć przyjaciół...

Kiedy wypowiadałem te słowa, zupełnie niewinne, mające tylko wyrażać nadzieję, właśnie wtedy zrozumiałem, że miałem tu przyjaciół. Kiedyś. Dawno temu.

Dzielnych, oddanych przyjaciół. Gorące noce pełne wina, bryzgającego na białą pościel, pieśni wyśpiewywane do rytmu dzbanów uderzających o blat stołu, zgrzyt metalu ścierającego się z metalem na pustych i ciemnych ulicach, śmiech. To wszystko kiedyś było. Gdzie? Z kim?

-Twi przyjaciele - prychnęła pogardliwie. – Kto wie, gdzie oni są? W jakich zamkach, karczmach czy zaułkach dosięgło ich ostrze złodzieja lub zdradzonego męża? Zapomnij o nich, Lanne. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć twego upodobania do kloaki.

-Nigdy nie potrafiłaś mnie zrozumieć - powiedziałem bez gniewu.

Brzask prześwitywał przez jej stalowe włosy, cienie układały się na twarzy i piersiach. Dotknąłem jej szyi i tym razem się nie cofnęła.

-Wracajmy do łóżka - zaproponowałem i chciałem dodać coś pięknego i wzniosłego lub choćby tylko coś miłego, ale nie było nic do dodania i oboje o tym dobrze wiedzieliśmy.



**O** budził mnie dzwonek telefonu. Natrętny, głośny, świdrujący w uszach. Dziwne, zwykle wyłączam alarm na noc, ale widać zapomniałem o tym poprzedniego wieczoru. Telefon umilkł, potem rozdzwonił się znowu, kiedy już myślałem, że ponownie uda mi się zapaść w sen. Sięgnąłem ręką po omacku, rzuciłem słuchawkę, podniosłem ją i po chwili przyłożyłem do ucha.

-Tak? - zapytałem i nie zabrzmiało to na pewno zbyt przytomnie.

-Spałeś? - W wysokim, ale miłym damskim głosie usłyszałem troskę.

-Nie. Obudziłem się, żeby odebrać telefon.

-Bardzo zabawne. Już jedenasta. Jesteś chory?

-Z ciekawości, kto mnie obudził - odpowiedziałem, bo za nic w świecie nie mogłem sobie przypomnieć, kim mogła być moja rozmówczyni.

-Mężczyźni - skonstatowała z żartobliwym szyderstwem w głosie. - Może długi, majowy weekend coś ci przypomina?

Długi, majowy weekend. Tak, to mi coś przypominało. Domek nad morzem i cztery dni pełne miłości, szampana i spacerów po chłodnej plaży. Jakżeż ona miała na imię?

-Dzień dobry - powiedziałem - przypomnienie tego weekendu to miłe przebudzenie.

-Taaak? A pamiętasz, jak mam na imię?

-Czy mógłbym o tym zapomnieć? - zapytałem, rozpaczliwie usiłując sobie przypomnieć.

Znacznie lepiej pamiętałem kształt jej piersi niż imię.

Boże, ta pamięć, jakież figle płata! No, ale w końcu był ranek, a ja byłem bardzo niewyspany. Poza tym, któż by spamiętał ich imiona, kiedy wrócą już do domu?

-Zbyt często szeptałem je do twojego ucha, by zapomnieć. Choć z drugiej strony jakoś specjalnie do mnie potem nie dzwoniłaś i nie przypominałaś mi o nim. Co to za święto, po tylu miesiącach? - Sięgnąłem po zapalniczkę i papierosa, które leżały tuż obok łóżka.

-Jestem dość wstydliva - odparła i to wyraźnie mijało się z prawdą, a ja nie miałem aż tak krótkiej pamięci - i nie chciałam się narzucać. Ale myślałam o tobie tak często... wreszcie pomyślałam sobie, że... czy moglibyśmy się spotkać? Jeśli chcesz, oczywiście. Na niewinną pogawędkę o dawnych czasach, hmm? Może będę miała pewną... propozycję.

-Słowo propozycja brzmi w twoich ustach nieodparcie pociągająco - odpowiedziałem. - Czemu nie? Obiad?

-W hinduskiej knajpce? Tej samej co wtedy? Dziś o szóstej?

Eh, pamiętała wszystko lepiej niż ja. Tylko czy ja pamiętałem, jak ona wygląda? Owszem, kształt piersi i sutków, nogi, szczupłe palce z wypolerowanymi paznokciami, usta pomalowane blad różową szminką, włosy kręcące się do ramion - to pamiętałem. Ale czy to wystarczy, by kogoś rozpoznać? Czy była wysoka?

Chyba średniego wzrostu. Jaką miała twarz? Ładną, ale czy to jest odpowiedź?

-Dobrze. W takim razie o szóstej.

-Będę czekała, kochanie. Pa.

Odłożyłem słuchawkę. Kobiety. Dzwoniły zbyt często i zbyt często przypominały o chwilach, które umarły wraz z zatrzaśnięciem drzwi. Ale w tej akurat było coś, co obiecywał stary cytat z Goethego: „Chwilo, trwaj, jesteś piękna”. Może zresztą lepiej byłoby zapamiętać ją taką, jaka była w czasie tego morskiego weekendu? Po co burzyć piękno wspomnień? Czym innym jesteśmy, jak nie pamięcią jedynie? Zapaliłem

papierosa. Nie było to najbardziej pożywne śniadanie, ale miałem ochotę otulić się kołdrą i wypalić go w łóżku.

Pierwszy papieros palony na czczo ma niepowtarzalny smak (to nic dziwnego, bo potem albo nie jest pierwszy, albo nie jest na czczo), smak dnia, który mówi ci: „Dzień dobry, jak myślisz, co się dzisiaj wydarzy?”. Ha, a dzisiaj mogło się wydarzyć wiele. Pierwszą pomyślną wiadomością był fakt, że nie idę do pracy. To mogło uczynić miłym nawet domowe porządki... A ja miałem w perspektywie zdecydowanie bardziej ekscytujące plany. Na przykład rozmowę z moją nową współlokatorką.

Zgasilem peta w popielniczce i wstałem. Jak zwykle przyduśilem go niedokładnie i musiałem cofnąć się i uważnie zmiążyć tłące się i dymiące szczątki. Anna była w kuchni, w białym szlafroku zawiniętym pod samą szyję i z uwagą studiowała kuchenkę mikrofalową.

- Dzień dobry. - Odwróciła się, ale nie uśmiechnęła. Miała podkrążone oczy. - Co to jest?

- Kuchenka mikrofalowa - odpowiedziałem i zauważyłem, że ta nazwa nic jej nie mówi.

Dziwne. Nawet jeśli nie używasz kuchenki mikrofalowej, to zwykle wiesz, co oznaczają te słowa. Z drugiej strony w domach dla hmm, nerwowo i psychicznie chorych pewnie nie używa się takiego sprzętu. Za dużo głów musiano by wyjmować ze środka.

- Zapomnij - mruknąłem - i tak nie mamy co do niej włożyć. Może zamówię pizzę albo kurczaka.

- Jak chcesz - odpowiedziała i wyszła z kuchni.

Położyła się i otuliła kołdrą. Podszedłem do niej i kucnąłem obok.

- Źle się czujesz? - spytałem, naprawdę zaniepokojony. - Może chcesz jakieś lekarstwo?

Spojrzała na mnie i po chwili wahania ujęła moją dłoń.

- Nie, ale posiedź przy mnie. Zaraz przejdzie. Chyba się nie wyspałam. Masz intensywne sny.

Zastanawiałem się, czy się zaczerwieniłem. Teraz dopiero uzmysłowiłem sobie, że ona przecież była w moim śnie. Że musiała dokładnie widzieć, a może i w jakiś sposób czuć to, co robiliśmy z Kordelią. A z całą pewnością przypominało to nadzwyczaj śmiały film pornograficzny.

-Może to przerwiemy - zaproponowałem. - Możesz tu mieszkać, jeśli chcesz - dodałem, bo nie chciałem, by pomyślała, że chcę się jej pozbyć - ale skoro to cię męczy...

-Nie, nie, przejdzie. Muszę też pospać sama, bez twoich snów. Nie wiedziałam, że będzie aż tak ciężko... - Zamyśliła się.

-Kim on jest? - zapytałem. - On, ten Lanne Lloch i'Annah? Jaki ma cel?

-Dlaczego nie umarł na pustyni?

- Rozłożyłem ręce. - Czy jest dobry, czy zły?

-A kto z nas może odpowiedzieć na takie pytanie? - Wzruszyła ramionami. - Dobry, zły, to tylko definicje przyjęte przez określony krąg ludzi. Susza jest klęską dla rolnika i błogosławieństwem dla handlarza zbożem...

-Znam ten przykład - przerwałem jej - to demagogia. Istnieje przecież coś takiego jak kodeks moralny i etyczny...

-Bzdury - teraz ona mi przerwała - jeszcze sto lat temu dziewczyna, która sypiała z facetami poznanymi na przyjęciu, byłaby uważana za kurwę. Teraz się uważa, że jest niezależna i interesująca.

-Żyjemy dziś, nie sto lat temu – przypomniałem jej - każda epoka i każde społeczeństwo wytwarzają stereotypy myślenia. Więc pytam cię, czy według tego stereotypu Lanne jest dobry, czy zły?

-A skąd mam wiedzieć? - podniosła głos. - Ja tylko współśnię twoje sny. Czy sądzisz, że jestem scenarzystą tej bajki? Myślisz, że znam odpowiedzi na twoje pytania? Jestem przekaźnikiem, wzmacniaczem... Może to twoje nigdy nieujawnione marzenia? A może to tamten świat jest prawdziwy, a ten, który uważasz za rzeczywisty, to jedynie sen?

-Byłby sposób, żeby to sprawdzić – powiedziałem pół żartem, pół serio. - Jeśli umrę w którymś ze światów, a będę żył w drugim, to będzie oznaczać, że ten, w którym żyję nadal, był i jest prawdziwy.

-Nie próbowałabym. - Widziałem, że nie potraktowała mych słów jak żart. - Wiesz, że w czasie seansów hipnotycznych możesz wmówić człowiekowi, że go przypalasz, a w rzeczywistości dotykasz go tylko palcem? Mimo to ta osoba poczuje ból, a po wyjściu z transu będzie mieć ślady po oparzeniach...

-Zaraz, zaraz... chcesz powiedzieć, że coś mi może grozić? Że jeśli ktoś zetnie mi łeb mieczem, to mogę tak w to uwierzyć, że umrę również w tym świecie?

-Nie dramatyzowałabym - znowu wzruszyła ramionami - powinieneś jednak uważać.

-Świetnie. Szkoda, że wcześniej nie zdradziłaś mi tak interesujących szczegółów.  
W co ja, do cholery, wdepnąłem? Myślałem, że to tylko taka zabawa...

-To nie jest zabawa, Lanne, i dobrze o tym wiesz.

-A teraz daj mi spać, dobrze?

-To nie jest zabawa - powtórzyłem jej słowa - Lanne. Jaki Lanne? Ja mam, do cholery, swoje imię. Nie jestem jakimś pieprzonym facetem ze snów, który jeździ na smoku i wymachuje mieczem.

-Lata - powiedziała, zwijając się w kłębek – na smoku się lata, a nie jeździ.

-Lata - powtórzyłem - oczywiście: lata. Jak mogłem tak się przejęzyczyć? Cóż za godna pożałowania gafa!

Wstałem, lecz ona nie zwracała już na mnie uwagi.

Nie było jeszcze dwunastej, a ja nie za bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie jestem przyzwyczajony do spędzania dnia w domu. Zbyt dużo ostatnio pracowałem. Położyłem się pod kołdrą i włączyłem telewizor.

Na prawie wszystkich kanałach były albo kreskówki, albo południowoamerykańskie telenowele. Z dwojga złego wolałem już kreskówki, więc dłuższy czas oglądałem, jak myszy dręczą kota - wysadzają go w powietrze, podpalają, rażą prądem, topią i zrzucają na niego różne ciężkie przedmioty. Było to z pewnością bardzo pouczające widowisko. Nawet się nie zorientowałem, kiedy zasnąłem.



**Z**a okiennicami był już dzień. Wiosenne słońce otulało nas ciepłą aurą. Stalowe włosy Kordelii leżały rozrzucone na poduszce, a ona sama spała z lekko rozchylonymi ustami i z ręką opasującą moje biodra. Mówią, że można poznać, czy kobieta jest naprawdę piękna, tylko wtedy kiedy zobaczy się ją rano, bez makijażu i z podpuchniętymi oczami, albo kiedy wpadnie do basenu, rozmazując sobie makijaż i niszcząc fryzurę, a mimo to nadal jest piękna i godna pożądania. Kordelia była piękna i godna pożądania. Miała cudownie delikatne rysy, a kiedy spała, jej twarz traciła surowy i bezwzględny wyraz. Mogła być miłą i kochaną dziewczyną. W innym życiu. Z innym mężczyzną. Pomyślałem, że muszę uważać, wiedziałem bowiem, a raczej przeczuwałem, że bezlitośnie wykorzysta każdą moją słabość. Jeśli



jesteś odpowiednio przeszkolony, możesz siedzieć w jednej klatce z dzikim zwierzęciem. Wystarczy jednak zły ruch, nie takie spojrzenie, potknięcie, by ostatnim, co zobaczysz, był skok i rozwarta paszcza pełna ostrych kłów. Nie zamierzałem być ofiarą. Świat dzieli się na tych, którzy polują, i takich, którzy są ich zwierzyną. Powiedzmy: również na takich, którzy tylko obserwują i są zbyt silni, by na nich polować, a sami nie mają ochoty na tropienie ofiar. Chciałem należeć do tego trzeciego gatunku. Żyj i daj żyć innym, walcz, kiedy zagraża ci niebezpieczeństwo.

Dłoń Kordelii osunęła się z moich bioder na podbrzusze. Przez sen? A może udawała, że śpi? Miałem ochotę się z nią kochać, ale wiedziałem, że jest ważniejsza rzecz, którą muszę zrobić. Czułem wewnętrzny niepokój, ogarniało mnie poczucie samotności i wyobcowania. I wiedziałem, że to uczucie podziela jeszcze jedna żywa istota. Mój smok. Mój smok, który leżał przytulony do zamkowych murów, z paszczą na zgniecionych kościach i strzępach krowiego mięsa. Mój smok, który wyglądał, jakby spał, ale tak naprawdę obserwował wszystko zza zamkniętych powiek.

Delikatnie odsunąłem dłoń Kordelii, a ona z westchnieniem przewróciła się na drugi bok. Wstałem cicho i zacząłem się ubierać. Chwilę zastanawiałem się nad tym, czy zabrać miecz, lecz wiedziałem, że nie zniósłbym pozostawienia go w komnacie. Przerzuciłem więc pochwę przez ramię, zanurzyłem palce w misie z wodą i przygładziłem włosy. Spojrzałem raz jeszcze na Kordelię. Była albo bardzo nieogłędna, albo też jednak jakaś jej częśćka ufała mi, bo spała spokojnie jak dziecko. Uśmiechnąłem się do własnych myśli i sięgnąłem po kłamekę.

-Mam nadzieję, że wrócisz - usłyszałem zimny głos.

Z trudem powstrzymałem się, by nie drgnąć. A więc nie spała. I chyba tylko sprawiała wrażenie tak ufnej i niewinnej. Była podobna do mojego smoka. Ha, przynajmniej w części podobna. Bo mój smok mnie kochał i powierzyłbym mu bez wahania życie. Nie odwróciłem się od drzwi.

-Tak piękny dzień powinno zaczynać się od słów dzień dobry - rzekłem. - Zwłaszcza kiedy poranek syci się pamięcią nocnej radości.

-Pocałuj mnie więc. - Czyżby jej głos nieco złagodniał?

Cofnąłem się i nachyliłem nad łóżem. Leżała podparta na łokciu. Dumna, blada i chłodna. Pocałowałem ją prosto w martwe usta.

-Dzień dobry - powiedziałem z wargami na jej wargach.

Wtedy dopiero oddała pocałunek i musnęła palcami moje włosy.

-Dobrze, idź już. Każę podać nam śniadanie.

-Dzień dobry, Kordelio.

Uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, Lanne - odparła wreszcie. - Zmieniłeś się, wiesz?

- To magia - rzekłem i wykonałem gest, jakbym zdmuchiwał coś z otwartej dłoni - magia, która jest w każdej upływającej chwili, w każdym oddechu, który tak skwapliwie liczymy. Bo coraz mniej zostało nam ich do ostatniego tchnienia.

- Chciałeś po prostu powiedzieć, że chcemy umierać ze spokojnym sumieniem, Lanne? - spytała, a jej oczy nabrały cieplejszego wyrazu. - Czy wobec tego prosisz mnie o przebaczenie?

Przez moment, w którym zatonąłem w jej oczach, zapomniałem, jak bardzo jest niebezpieczna. Teraz była tylko piękną, skrzywdzoną kobietą, która pragnęła kochać i być kochaną.

- Przebacz mi wszystko, co uważasz za winę - powiedziałem. - Pomyśl, że człowiek, który powrócił, jest inny niż ten, którego widziałaś tak dawno temu.

Ująłem jej twarz w dłonie, a ona się uśmiechnęła.

- A więc mnie nie znasz, kochany Lanne. Nigdy ci nie przebaczę - już się nie uśmiechała - choć nigdy też nie przypuszczałabym, że będziesz prosił o wybaczenie. Nie otrzymasz go.

Zdjęła moje dłonie ze swojej twarzy i przytrzymała je.

- Żyj z tym. Żyj ze świadomością, że czekam, by cię zranić tak samo boleśnie, jak ty zraniłeś mnie. Albo jeszcze boleśniej. Taaak, jeszcze boleśniej. Ciekawe, czy wtedy odleczysz na swoim smoku taki radosny i beztroski jak zwykle.

- Szkoda - rzekłem, wstając.

- Czego szkoda, Lanne? - zapytała, kiedy byłem przy drzwiach.

- Nas - odparłem - chwil, które nie nadejdą.

- Szkoda - powtórzyła - o, tak: szkoda. Wyjdź stąd, Lanne, i nie mów mi o szkodzie. Być może była we mnie tylko iskra, ale jeśli była, to wiem, że właśnie ty ją zgasiłeś. Byłeś jedynym człowiekiem, któremu ufałam... choć trochę ufałam.

- Jednak nadal mi ufasz... trochę.

- Bo śpię z tobą?! Pragnę cię, tak jak ty mnie, i ufam ci na tyle, że wiem, iż mnie nie zabijesz. To nie ty, Lanne. Dźgnięcie nożem śpiącej kochanki to przecież nie może być temat pięknej ballady. Lanne Lloch l'Annah nie może sobie na to pozwolić, prawda?

- Nie zabijam ludzi - oznajmiłem z urazą - i nie robię tego z przekonania, nie z wyrachowania.

-Tak - przytaknęła niechętnie - to trzeba ci przyznać. Nie pamiętam, byś zabił kogoś, kto był bez winy.

Wyszedłem, nie dając po sobie poznać, jak poruszyły mnie jej słowa. A więc zabijałem. Tu, w tym świecie, byłem mordercą. Swoją drogą, czegoż można było się spodziewać po człowieku, który latał na grzbiecie smoka i nosił długi miecz o ostrzu jak brzytwa? Dobrze przynajmniej, że sama Kordelia uważała, że postępowiałem tak tylko w słusznej sprawie. Pytanie brzmiało: jaka była ta słuszna sprawa i co Kordelia uważała za winę?

Jaką zbrodnię musi popełnić człowiek, by zasłużyć na cięcie mego miecza lub zginąć w paszczy mego smoka?

Wiedziałem, że niedługo znajdę odpowiedź. W chwili, kiedy mój miecz płynnie wyjdzie z pochwy i zatoczy krótki łuk, sięgając czyjejś szyi lub piersi. Wtedy będę wiedział, czy jestem mordercą, czy też po prostu takim człowiekiem w takich czasach.



**T**ym razem obudziłem się sam. Spojrzałem na zegarek. Piąta dwadzieścia. Tylko czterdzieści minut zostało do spotkania z Bóg-raczy-wiedzieć-jak-jej-na-imię. Czterdzieści minut to bardzo dużo. Skoro w czasie o niebo krótszym zdążyło wyparować w powietrze kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Hiroszimy, to ja na pewno zdążę wykapać się, ogolić, ubrać i zamówić taksówkę. Był tylko jeden szkopał. Musiałem przyjść do restauracji wcześniej. Po to, bym nie musiał wchodzić do środka i rozglądać się rozpaczliwie, czy to ona, czy nie ona siedzi przy tym, a może tamtym stoliku.

Wolałem, by sama podeszła i rozpoznała mnie. Na wszelki wypadek usiądę bokiem do wyjścia i pogrążę się w lekturze menu. O, tak, nie pierwszy już raz byłem w równie kłopotliwej sytuacji. Praktyka czyni mistrza.

I tak dobrze, że umówiliśmy się w zacisznej restauracyjce, a nie gwarnym i zatłoczonym pubie.

Kiedy w pośpiechu szukałem czystej i niepomiętej koszuli oraz zastanawiałem się, jaką wybrać marynarkę, usłyszałem, że Anna wstała z łóżka. Podeszła do mnie.

-Nie dałeś mi się wyspać - powiedziała, ale bez wyrzutu w głosie. - Wychodzisz gdzieś?

-Tak, umówiłem się - odparłem. - Nie czekaj na mnie, dobrze? Mogę wrócić późno.

Ziewnęła, zakrywając dłonią usta.

-Pooglądam telewizję i pójdę znowu spać. Przynajmniej nie będziesz mi zawracał głowy.

-Jasne. - Uśmiechnąłem się.

Zajrzałem do łazienki, bo woda wolno, lecz nieubłaganie zbliżała się do krawędzi wanny. Zakręciłem kran i wyciągnąłem korek, gdyż nie miałem dzisiaj czasu na odkrywanie prawa Archimedesza ze ścierką w rękach. Szybko się rozebrałem i wskoczyłem do wody.

Zapieкло.

-Co za cholera? - mruknąłem.

Przyjrzałem się uważnie penisowi. Skóra była czerwona i wyraźnie otarta, tak jak po intensywnym uprawianiu seksu. W kilku miejscach zauważyłem nawet mikroskopijne ranki. A więc takie były skutki moich erotycznych snów? Tylko czy otarcie penisa zostało wywołane mimowolnym, przez sen, ocieraniem się o kołdrę, czy też miało podłoże w tym, o czym mówiła Anna, dając za przykład seans hipnotyczny? Jeśli otarłem się o kołdrę, co nawiasem mówiąc, było mało prawdopodobne, to pół biedy. Jeśli natomiast te sny znajdowały jakieś odbicie w realnym świecie, to rzeczywiście zaczynałem niebezpieczną zabawę. Co będzie, jeśli stanę w ogniu bitwy i oberwę w głowę toporem? Czy skończy się tylko na migrenie, czy też obudzę się z raną na czaszce? A może nie obudzę się wcale? Cholera! Odkręciłem prysznic i spłukałem szybko pianę. Nie muszę się uważnie golić, bo mam miękki zarost, więc to poszło łatwo. Anna zajrzała do łazienki, kiedy spryskiwałem się wodą kolońską. Dobrze, że włożyłem już slipy.

-Hej, może byś zapukała?

-Przepraszam - odparła wcale nieprzepraszającym tonem. - Randka?

-Kolacja ze starą znajomą - wyjaśniłem.

-Wolałabym, żebyś skoncentrował się na swoich snach - rzekła poważnie.

Odwrociłem się do niej.

-Nie przeginaj. - Byłem naprawdę zły. Jak zawsze, kiedy się spieszę. - To bardzo interesujące doświadczenie, to co robimy, ale chciałbym jednak mieć jakieś życie

prywatne. Nie chcesz mnie chyba zamknąć w pokoju. Poza tym sama mówiłaś, że potrzebujesz odpoczynku.

- Prawda. - Chyba poczuła, że trochę przesadziła.

- Baw się dobrze, tylko uważaj na siebie.

- Uważaj na siebie?

- Nie pij za dużo, nie zadawaj się ze złymi kobietami - teraz już się śmiała - nie daj się zbałamucić.

- O, nie - odparłem. - *Noblesse oblige, Semper fidelis.*

- Co to znaczy? - Zmarszczyła brwi.

- Och, taki żart. Zamów mi taksówkę, dobrze?

- Oczywiście, proszę pana. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

Pierwszą odpowiedzią, która sama mi się narzuciła, było: „tak, uklęknąć”, ale w porę ugryzłem się w język. Nie był to żart, którym można by było rozbawić tę miłą, delikatną dziewczynę. Chociaż z drugiej strony, jeśli widziała mój sen z Kordelią, to widziała wszystko, co widzieć powinna i wszystko czego widzieć nie powinna. Znała mnie już od podszewki. No, prawie że...

Przynajmniej ten aspekt mojej osobowości.

W restauracji byłem za dziesięć szóstą. Przywitała mnie czarnowłosa kelnerka w jasnobrazowym sarongu i poprowadziła do stolika, przy którym płonęły dwie świece i kadzidełko. Było cicho i spokojnie. Z głośników sączyła się hinduska muzyka grana na czymś w rodzaju cymbałów, obok siedziały dwie pary, pogrążone w romantycznej rozmowie. Ładni, elegancko ubrani i mili ludzie, którzy przyszli na spokojną kolację we dwoje. Tak jak ja. Sięgnąłem po menu i zacząłem je czytać. Nic się nie zmieniło od ostatniej wizyty.

Nawet w pozycji „smażony ryz z warzywami” był błąd ortograficzny w słowie ryż. To skandal napisać ryż przez „rz”.

- Witaj, przystojniaczku - usłyszałem ten sam głos, co przez telefon.

Wstałem i pocałowałem ją w policzek. Hmm, nie pamiętałem, że była aż tak atrakcyjna. Zupełnie nie w moim typie, ale naprawdę interesująca. Miała czarne krótkie włosy spadające tylko do połowy ucha, nieco za ostry nos i zbyt pełne usta. Lekko skośne, ciemne oczy i ciemną karnację. Odważnie wydekoltowaną sukienkę wypełniały jędrne piersi. O tak, to sobie przypomniałem natychmiast. Poza tym była wysoka, prawie tak wysoka jak ja. Mówiłem: nie mój typ. Odsunąłem krzesło, a kiedy siadała, zobaczyłem, że jej sukienka jest równie odważnie niepełna u góry, jak i u dołu. No, ale kiedy ma się co pokazać. Cóż...

-To już cztery miesiące, prawda? - spytała. – Jak to się stało, że straciłam cię z oczu, przystojniaku?

-Zgubiłaś mój numer telefonu i znalazłaś go dopiero dzisiaj - usiłowałem zgadnąć. - Wyglądasz jeszcze piękniej, niż się spodziewałem - dodałem i było to absolutną prawdą.

Zresztą w ogóle wyznaję zasadę, że kłamać należy jedynie w ostateczności. To wbrew pozorom bardzo ułatwia życie.

-Cóż, nad morzem byłam zwykle nieubrana. Albo w dresie na plaży. Teraz widzisz mnie w całej okazałości. Może powinnam się obrócić?

-Hmm, później. Nie róbmy zbiegowiska. Po cóż nam te światła reflektorów i błyski fleszy? Kto by chciał znowu być na pierwszej stronie tabloidów? To się staje takie nużące...

-Prawda? Co mi polecisz dzisiaj? Tylko, błagam, niech nie będzie takie ostre jak zeszłym razem. Wypiłam chyba litr wody.

-Zawsze mogę ugasić twoje pragnienie pocałunkami...

-Tu? I teraz? - Zmarszczyła śmiesznie brwi. - Zatem jednak będziemy robić zbiegowisko... A te wszystkie zazdrosne kobiety, które zobaczą, jak dobrze to robisz... Zwłaszcza jeśli pocałunki nie będą dotyczyć tylko ust.

Była naprawdę miła. I naprawdę dobrze pamiętała wspólny majowy weekend. Przyznam, że po nim czułem się nieco rozczarowany, że nie dzwoni. W swej samczej dumie byłem przekonany, że pierwszym, co usłyszę po powrocie do domu, będzie jej głos nagrany na sekretarce. Kiedy nie doczekałem się telefonu nawet na drugi dzień, poważnie zastanawiałem się, czy samemu nie zadzwonić. No, ale potem szybko przyszedł kolejny weekend i jakoś tak zeszło. Czasami o niej myślałem, ale przed telefonem powstrzymywała mnie myśl, że po tak gorącym urlopie to ona powinna wykonać pierwszy ruch. Nie lubię się nikomu narzucać. O wiele lepiej być pożądanym niż pożądać. Chyba.

-Pocałunki będą dotyczyć każdego pięknego fragmentu pięknego ciała pięknej pani - powiedziałem - jeśli tylko piękna pani na to pozwoli.

-Och, piękna pani wręcz tego zażąda. - Przykryła moją dłoń swoją. - Tyle że jeśli będziesz bałamucił mnie jeszcze trochę, to nie zjemy kolacji. A jestem naprawdę głodna.

-Jesteś głodna czy chce ci się jeść?

-Jeszcze poznasz dzisiaj mój apetyt. Na początek wino i krewetki! Ogromne i dobrze podpieczone!

-Słucham i jestem posłuszny - odpowiedziałem cytatem z *Baśni tysiąca i jednej nocy* i skinąłem na kelnerkę.

To był uroczy wieczór. Poza tym, że nadal nie dowiedziałem się, jak ma na imię moja partnerka, wszystko było wspaniałe. Rozmowa, delikatny dotyk jej dłoni, zapach perfum, sposób, w jaki odgarniała kosmyk włosów, bez przerwy wypadający jej zza ucha. Próbowałem zrećznie naprowadzić rozmowę na kwestię imienia, ale dowiedziałem się tylko, że kiedy była mała, to rodzice mówili na nią Myszka, a koledzy w szkole nazywali ją Misia. Czyli mogła mieć na imię jakkolwiek. Na przykład moją ciotkę ochrzczono imieniem Hermina (nie ma co, dowcipnych miała rodziców!), a wszyscy w rodzinie nazywali ją ciocią Musią. Tak więc w końcu dałem spokój i uznałem, że jak przyjdzie co do czego, to po prostu rozbajająco przyznam się do niewiedzy. Krótka pamięć nie jest w końcu przestępstwem. Oczywiście próbowałem to sobie tylko wmawiać, bo w oczach kobiet krótka pamięć jest przestępstwem, i to w dodatku jednym z najsurowiej karanych. Zwłaszcza kiedy dotyczy spędzonych razem chwil.

Wypiliśmy dwie butelki wina i wychodząc z restauracji, byliśmy trochę podchmieleni. W nastroju delikatnej, radosnej euforii. W nastroju: „Wieczorze, nie kończ się jeszcze tak szybko!”.

-Jedziemy do ciebie czy do mnie? - spytała i polizała mnie za uchem krótkim kocim liźnięciem.

-Może do ciebie? - Ciężar spadł mi z serca, bo przecież nie mogłem zawieźć jej do Anny.

-Czemu nie. Mam ooogromne łóżko i ooogromną kołdrę - znowu liźnęła mnie, tym razem prosto w ucho - i ooogromne potrzeby.



**K**iedy się obudziłem, zobaczyłem, że ona (nadal nie pamiętałem jak ma na imię!) stoi w kuchni.

Nuciła coś, jakąś znajomą melodię, której tytułu nie mogłem sobie przypomnieć. Wyraźnie czułem zapach kawy, smażonej szynki i jajek. I wyraźnie poczułem, jak bardzo jestem głodny. Nic dziwnego. Organizm domagał się zwrotu

straconych kalorii, a wczoraj straciliśmy ich wspólnie bardzo dużo. Po chwili weszła, niosąc drewnianą tacę. A na niej dzbanek soku pomarańczowego, ogromny talerz jajecznicy na szynce, dzbanek kawy, cienko pokrojone świeże pieczywo.

Miała na sobie białą koszulkę do pól uda z bardzo głębokim wycięciem.

-Dzień dobry - nie była umalowana, ale za cały makijaż wystarczał olśniewający uśmiech – podano śniadanie, proszę pana.

-Boże, dlaczego nie spotkałem cię wcześniej?

-Spotkałeś mnie teraz - odparła - a gdybyś spotkał mnie wcześniej, to może bylibyśmy już kilka lat po ślubie, mielibyśmy kupę nieznośnych bachorów i dość siebie nawzajem.

-Nie przepadasz za dziećmi, co?

Położyła ostrożnie tacę na łóżku i podała mi widelec.

-Nie - przyznała - są dla mnie przedstawicielami obcej cywilizacji. Może nie wrogiej, ale na pewno niezrozumiałej. A ty?

-Czy ja wiem? Chyba się ich boję...

-Żadnej ochoty na założenie rodzinnego ogniska?

-Żadnej - skrzywiłem się - pieluchy, tłuste ślady po palcach na komputerze, wrzaski. A kiedy dorośnie, to niechciana ciąża, narkotyki albo pijaństwa, niedobrzy kumple, kłopoty w szkole... komu to potrzebne?

-Prawda, komu? - Roześmiała się.

Posmarowała mi kromkę masłem i podała. Jajecznica była wyśmienita. Taka jak lubię, ani za bardzo ścięta, ani za rzadka. Po prostu idealna.

-Mam o trzynastej basen - powiedziała. - Zostaniesz czy chcesz pójść ze mną?

A może bym sobie poszedł do domu? - pomyślałem. Nie lubię zostawać sam w obcych mieszkaniach.

Co można zrobić w nieznanym pokoju? Przejrzeć książki właściciela? Zobaczyć, jak ma zaopatrzone barek?

Obejrzeć telewizję? Nastawić płytę, której w innym wypadku bym nie słuchał?

-Wieczorem mam bilety do teatru. Chcesz ze mną pójść? Nie narzucam się troszkę?

-Nie - odparłem - uczciwy układ polega na tym, że nikt nie boi się złożyć propozycji i nikt nie boi się odmówić.

-A chcesz odmówić? - Czyżby jej głos trochę pochłódniał?

-Nie. Teatr bardzo chętnie, ale pozwól, że basen sobie daruję. Rany, jaka dobra kawa.



-Dzięki.

Przez chwilę milczeliśmy, zajmując się tylko jedzeniem, potem ona zgarnęła resztki na tacę i wyniosła do kuchni. Wracając, już od progu ściągnęła koszulkę. Jej ciało wyglądało w świetle dnia jeszcze piękniej niż w mroku.

-Czy seks po jedzeniu ci nie przeszkadza? - zapytała i pogładziła się po piersiach, a jej sutki zeszywniały.

-Chyba nie. - Roześmiałem się i zagarnąłem ją w ramiona.

Nie poszła na basen.



**-Ch**cesz mi powiedzieć, że znowu wychodzisz? - Anna z trudem hamowała wściekłość. - Wczoraj w nocy w ogóle nie miałam z tobą kontaktu! Żadnego!

-Pewnie nie spałem.

-Ty i te twoje dziwki! Mieliśmy umowę, do cholery!

Wyglądała naprawdę fatalnie. Podkrążone oczy i twarz ściągnięta gniewem.

-Posłuchaj. - Poczułem, że wzbiera we mnie złość.

Że rośnie gdzieś tam w środku, jak rzeka pełna błota.

-Nie mieliśmy żadnego układu. Bawimy się, próbujemy i eksperymentujemy, i to jest bardzo ciekawe, ale mam swoje życie i nie zamierzam... i nie zamierzam...

-Urwałem, bo zobaczyłem, że płacze.

Łzy ściekały jej po policzkach i nawet nie próbowała ich ocierać. Wyglądała niczym skrzywdzone dziecko.

Chciała wzbudzić we mnie litość? To była nowa metoda? Jeśli tak, to przynajmniej częściowo poskutkowało. Przytuliłem ją. Przez moment była sztywna niczym plastikowa lalka, lecz potem oddała uścisk. Z początku niechętnie, jednak po chwili się rozluźniła.

-Proszę... Nie zostawiaj mnie, proszę cię.

-Tylko dzisiaj - ująłem jej dłoń - dzisiaj, a jutro już będę grzeczny. Nie mogę teraz odwołać spotkania. Zrozum.

-Wiem, wiem. - Pogłaskała mnie po włosach. - Wybacz, że tak wybuchłam, ale źle się czuję. Wracaj jak najszybciej, dobrze?



**B**yla idealną partnerką. Kimś, z kim można biegać w dresie po plaży (a to już mieliśmy za sobą) i pójść do teatru na wytworną premierę. W skromnej czarnej sukni, bez ozdób i biżuterii, wyglądała olśniewająco. Śmiała się wtedy, kiedy trzeba było się śmiać, i milczała wtedy, kiedy milczenie było najodpowiedniejsze. Przez cały pierwszy akt trzymała mnie za rękę, a jej dotyk był delikatny jak muśnięcie mgły. Śledziłem na równi ją jak i poczynania aktorów na scenie. Oglądaliśmy nową interpretacją Szekspira, w której Hamlet był transseksualistą pragnącym uprawiać lesbijską miłość z Ofelią, a zabójstwo starego króla miało swój prapoczątek w molestowaniu Hamleta w dzieciństwie, przez złego stryja. Dodatkową atrakcję stanowił fakt, że Poloniusz był kobietą wychowującą Ofelię wspólnie z życiową partnerką. Szekspir przewracał się w grobie. Jeśli w ogóle istniał ktoś taki jak Szekspir, co, jak wiadomo, jest raczej wątpliwe. W każdym razie, gdyby istniał, toby się przewracał. I nagle, pod koniec pierwszego aktu, poczułem niepokój - nie- związany bynajmniej z pojawieniem się Ducha, który zawodził cienkim falsetem z zamkowych murów, a potem nasikał strażnikowi na lśniący hełm. Poczułem ściskający żołądek strach i wiedziałem, że dzieje się coś złego. Wstałem.

-Co się stało? - zapytała i spojrzała na mnie. - Ej, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Uśmiechnąłem się z przymusem.

-Przepraszam. Żołądek. Mam czasami z nim kłopoty. Za dużo zimnej pizzy - próbowałem mówić w miarę obojętnym tonem - postaram się niedługo dotrzeć z powrotem.

Nie czekałem na odpowiedź. Przedałem się przez rząd krzeseł, szybko i gwałtownie, potrącając czyjeś kolana, zrzucając czyjaś torebkę i wywołując pełne nagany psyknięcia. Wyszedłem i zbiegłem schodami do szatni. Cisnąłem numerek na ladę.

-Już? - zdziwił się szatniarz. - Pan to ma gust, panie...

Nie dałem mu dokończyć, nałożyłem płaszcz i pobiegłem do wyjścia. Na parkingu stała taksówka ze znużonym kierowcą w środku. Nie rozumiałem, co się działo. Wiedziałem jedno: muszę jak najszybciej dotrzeć do domu. Przeczucie? Nie wierzę w przeczucia. W strach przed wejściem do samolotu, który może się za chwilę rozbić, w lęk przed kobietą, która może unieszczęśliwić. Przeczucia nie istnieją. Jest tylko pamięć dawnych doświadczeń i umiejętność wyciągania logicznych wniosków. Lecz jak logicznie można było wytłumaczyć fakt, że gnałem niczym oszalały do domu, że opuściłem w środku przedstawienia uroczą kobietę, zapewne jedynie po to, by obudzić moją zdumioną współflokatorkę? Ale musiałem to zrobić. Tak jak musiałem napoić mojego smoka. Jeeezu Chryste! - wspomnienie pustyni uderzyło we mnie niczym obuchem.

Wlokłem się w pełnym słońcu, moje nogi grzęzły w rozgrzanym piachu. Powietrze drżało, jakby poruszane niewidzialnymi dłońmi, a złota tarcza słońca wypełniała całą przestrzeń między szeregami szarych wydm. I nagle między tymi wydmami zobaczyłem ogromne cielsko gada, nad którym wirowały już sępy, czekając chwili, kiedy potężne szczęki nie będą miały siły się zacisnąć. Myślałem, że to tylko złuda. Miałem wyschnięte oczy i ciało, którym trzęsła gorączka. Słyszałem śpiewy i głosy. Ktoś czasami nawoływał zza wydm, czasami widziałem szare postacie migoczące na krawędzi postrzegania. Klękałem przy przezroczystej jak kryształ kałuży i płakałem z rozpacz, gdy zamiast wody nabierałem pełne garście gorącego piachu. A teraz pojawił się smok. Podszedłem do niego i kiedy zwałem się na obleczone łuską ciało, nagle zrozumiałem, że on, właśnie on, nie jest przywidzeniem. Smok zwrócił łeb ku mnie, powoli, jakby przedzierając się przez smołę, i spojrzął oczami, które zasnuwała już mgła. Była w tych oczach i beznadziejna rozpacz, i niewyobrażalna chęć życia.

Dotknąłem przypominającego bojowy młot i najeżonego kłami pyska. Nie bałem się, bo czego możesz się bać w chwili, kiedy przechodzisz na drugą stronę? Przesunąłem palcami po szyi gada i wtedy pojąłem, że kiedy umierają dwie istoty, to jedna może drugiej ofiarować swe życie. To było jak olśnienie. Wyciągnąłem nóż zza cholewy buta i rozciąłem sobie dłoń na całej szerokości, głęboko aż do mięsa, aż ostrze zgrzytnęło o kości śródreżca. Potem trzymałem rozwartą ranę nad pyskiem smoka. Krew spływała wolno, gęsta niczym melasa, lecz widziałem, że potwór nabiera życia z każdą kroplą, która ściekała w głąb jego gardła. A ja słabłem. Leżałem już na nim i tylko drugą ręką podtrzymywałem zakrwawioną dłoń. Nie pamiętam, jak długo to trwało, jak długo karmiłem sobą to dziwne zwierzę.

Aż w końcu przez jego ciało przebiegł dreszcz, a zamglone oczy rozwarły się i załśniły złotem. Uniósł się, zrzucając mnie, i rozpostarł skrzydła. Otworzył paszczę, węzowym ruchem zbliżając ją do mojej twarzy. Czułem ciężki, mdlący oddech oraz duszny zapach rozgrzanej łuski. Widziałem złote oczy, które wpatrywały się we mnie z taką intensywnością, jakby były dwoma słońcami. Nagle uniósł łeb i ryknął. Spodziewałem się, że za chwilę ta potężna paszcza zgruchocze moje kości i wysie z ciała resztę życia. Ale smok rozpostarł skrzydła i uniósł się w powietrze. Jednym kłapnięciem pochłoniął nieuważnego sępa, po czym zniknął w rozgrzanym powietrzu. A ja straciłem przytomność.

Obudziłem się, chłonąc całym sobą wodę. Woda była w moich ustach i nozdrzach, i oczach. Woda była pod nogawicami, w kubraku i w butach. Piłem tak, jakbym chciał pić już zawsze i nigdy nie przestawać. Zachłystywałem się wodą. Piłem ustami, nosem i oczami, piłem całym ciałem. A potem coś uniosło mnie w górę i rzuciło na piach. Woda była na wyciągnięcie ręki. A więc tak wygląda raj, pomyślałem w tym samym momencie, kiedy do mojej rozoranej dłoni, pokrytej zaskorupiałą krwią, zbliżył się wąski, szary jęzor i przejechał po ranie, paląc ją żywym ogniem. Pod wpływem tego dotyku rana powoli się zablizniła. Uniosłem głowę i zobaczyłem oczy mojego smoka. Chwyliłem go za szyję, a on wolno skłonił się w moją stronę i rozłożył skrzydła, by ukryć mnie w ich cieniu.

-Nie wysiada pan? - Głos taksówkarza wyrwał mnie niespodziewanie z osłupienia. - Proszę pana, jesteśmy na miejscu.

-Tak, tak. - Machinalnie wyciągnąłem z portfela banknot i podałem mu, nie patrząc na nominał.

Jak zwykle nie pamiętałem kodu do domofonu, więc nerwowo zacząłem przeszukiwać kieszenie. W płaszczu nie było kluczy. Wypadła mi paczka papierosów i zapalniczka, podniosłem je odruchowo z ziemi, sięgnąłem do kieszeni marynarki. Czekałem nie tylko na dotyk pęku kluczy, lecz też na charakterystyczne metaliczne dzwonięcie. Tymczasem nic. Strzepnąłem dłońmi po ubraniu. Były. W kieszeni spodni. Teraz przypominałem sobie dokładnie nawet ruch, którym wkładałem je właśnie w to, a nie inne miejsce. Jak zwykle poniewczasie. Otworzyłem drzwi i wbiegłem po schodach. Kiedy spojrziałem na drzwi mojego mieszkania, wiedziałem, że coś jest nie tak. Były bowiem uchylone. Ledwo ledwo, ale uchylone. Przez cienką na włos szparę sączyło się światło, zostawiając na wycieraczce jasną smużkę.

Serce łomotało mi w piersi niczym oszalałe. Pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji. Często wyobrażałem sobie, co można wtedy zrobić, jak zareagować, ale w chwili, kiedy to się właśnie stało, miałem w głowie pustkę. Wzięłem więc głęboki oddech i wpadłem do środka. Dlaczego nie uchyliłem cicho drzwi, tak by tylko po kryjomu zajrzeć? Dlaczego wpadłem do wnętrza niczym komandos? Reszta wydarzeń rozegrała się tak szybko, że nie byłem w stanie nadażyć myślą za ich tokiem. Anna stała tuż koło parapetu i trzymała w dłoni nóż. Bardzo duży i bardzo tępy nóż, którym ciężko było nawet pokroić chleb. Dwaj mężczyźni podchodzili do niej, a wyższy mówił coś zduszonym głosem w języku brzmiącym podobnie do krakania kruków. Kiedy wpadłem, jeden z napastników zdołał się obrócić na czas w moją stronę. Wyrzuciłem go z całej siły lewym łokciem w szczękę i poleciałem na ścianę. To przynajmniej wiedziałem. W dzisiejszych czasach amatorzy biją pięściami. Prawdziwie mocny cios można zadać tylko łokciem. Drugi zawahał się przez moment, nie wiedząc, czy iść w moją stronę, czy uważać na nóż Anny. I ta chwila wystarczyła, żeby Anna przemknęła obok niego, celując mu szpikulcem prosto w twarz. Nóż był bardzo tępy, ale jego szpic przypominał raczej dłuto niż przyrząd do krojenia pieczywa. Mężczyzna zasłonił machinalnie twarz dłońmi i czubek przebił mu je na wylot. Wrzasnął, jakby go zarzynano, cofnął się parę kroków, potknął i upadł. Ten, który dostał ode mnie łokciem, właśnie wstawał, a wtedy w filmowy sposób kopnąłem go w żebra, z całej siły, tak jakbym podbijał piłkę szybującą tuż nad podłogą. Jęknął, lecz poderwał się nadszpiewanie szybko, tylko po to, by ruszyć na pół biegnąc, na pół pełznąc w kierunku drzwi. Drugi z zakrwawionymi dłońmi, twarzą i mankietami koszuli też biegł już w tamtą stronę. Przepchnęli się w drzwiach, któryś zaklął ciężko i wściekle, po czym usłyszeliśmy tupot buciorów na schodach. Rzuciłem się do drzwi i zasunąłem zasuwę.

-Jeezu... Nic ci nie jest?

Wpadła w moje ramiona i wtuliła się w nie mocno.

-Kto to, kurwa, był? Czego oni, kurwa, chcieli? - Teraz dopiero poczułem, że trzęsę się jak w febrze, że każdy mięsień mojego ciała drży, jakby chciał poderwać się do lotu.

-Nie wiem, nie wiem - wyszeptała w moje ramię.

I wtedy zrozumiałem dwie rzeczy: po pierwsze, że mnie okłamuje i po drugie, że dałem się w bardzo niebezpieczną grę. Następnym razem przyjdą tu z kijami baseballowymi, nożami albo pistoletami i jedyne, co będę mógł zrobić, to uciekać. Nie

wiedziałem, dlaczego dziś poszło tak łatwo. Czy byli źle wyszkoleni, czy też zaskoczeni sytuacją?

- Anno, kto ich, do cholery, przysłał?! - Potrząsnąłem nią. - Zaraz zadzwonię na policję.

- Nie! - Szarpnęła mnie, jakbym zamierzał właśnie biec do telefonu. - Nigdzie nie dzwoń!

Odsunąłem ją na odległość wyprostowanych rąk.

- Masz dziesięć minut na wyjaśnienia. Jeśli będą złe, dzwonię na policję.

- Wszystkiemu zaprzeczę. - Szybko strząsnęła moje dłonie. - Nigdzie nie będziesz dzwonił i nikomu o tym nie powiesz, rozumiesz?

Czyżby należała jednak do groźnej sekty, która próbowała ją odzyskać? A może była obiektem rządowych eksperymentów i ludzie z rządu przyszli po nią? Nie, gdyby to byli ludzie ze służb, to nie przegoniłbym ich tak łatwo. Leżałbym pewnie teraz ładnie owinięty w czarny worek, a ktoś wstrzykiwałby mi coś w ramię, by można było potem napisać: „Umarł z przedawkowania”. A więc jednak sekta?

Usiadłem w fotelu i sięgnąłem po papierosa. Pierwszy złamał mi się w palcach, więc wyjąłem drugiego.

- Albo mi powiesz co tu jest grane, albo się wynoś - zdecydowałem.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Głośny, świdrujący.

Papieros zadrżał mi w ręku.

- Nie otwieraj - szepnęła nerwowo.

Chyba na złość jej podszedłem do drzwi i ostrożnie wyjrzałem przez wizjer. Ostrożnie, gdyż zbyt wiele widziałem filmów, w których człowiek nieopatrznie zbliżający oko do wizjera mógł po chwili szukać tego oka na ziemi. Ale na klatce stał tylko sąsiad w siatkowym podkoszulku. Otworzyłem drzwi.

- Ja przepraszam - powiedział, usiłując spojrzeć za mnie - słyszałem jakieś hałasy... nic się nie stało?

- Kolacja już gotowa. Chodź! - krzyknęła Anna beztroskim tonem.

- Przepraszam - starałem się mówić spokojnie - strasznie głośno puściliśmy film. Ale zaraz idziemy spać, także już pana nie obudzimy.

- Nie, no, ja tam nie spałem, tylko tak. Wie pan, sąsiedzki obowiązek, nie? Tyle się mówi teraz o napadach. No to dobranoc.

- Dobranoc. Dziękuję.

- Miłej nocy. - Mrugnął do mnie na odchodne.

Zamknąłem za nim drzwi i oparłem się o ścianę.

- Chodź. Naprawdę zrobię kolację - obiecała Anna.

- Naprawdę to ja mam w dupie kolację - odparłem.

- Siadaj i mów, co się tu wyprawia. Czy ja wyglądam na bohatera filmu sensacyjnego?! Jeeezu, nie pamiętam, kiedy ostatni raz uderzyłem człowieka!

Zapaliłem papierosa i zacząłem krążyć po pokoju. Papieros trząsał mi się w dłoni. Miałem go dość, a jednocześnie chciałem palić, zaciągać się głęboko, wyjść stąd... Wyjść? Dlaczego miałem wychodzić z własnego domu? Usiadłem.

- Posłuchaj - usiadła naprzeciwko mnie - mam kłopoty...

- Niemożliwe...

- Słuchaj, jeśli chcesz w ogóle słuchać.

- Proszę.

- Pewnym ludziom nie podoba się to, co robię. Nie podoba im się to, kim jestem, i to, co potrafię. Być może nawet nie chcą mi zrobić krzywdy... przynajmniej na razie...

Zabrzącał telefon. Odczekaliśmy trzy dzwonki w milczeniu i odebrałem.

- A więc jesteś w domu - usłyszałem moją przyjaciółkę z teatru. - Lepiej, żebyś miał naprawdę dobre wytłumaczenie. - Jej głos zaaplikowany starszce Ziemi z całą pewnością zapobiegłby globalnemu ociepleniu.

- Włamali się do mnie - odpowiedziałem. - Przepraszam cię, ale nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń później, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się po chwili - będę czekać.

Wszystko już okej?

- Tak. Zadzwoń.

Odłożyłem słuchawkę.

- Mów dalej.

- Niewiele jest do powiedzenia. - Wzruszyła ramionami. - Chcę wykorzystać pewne moje zdolności. Jestem im potrzebna.

- Kto to jest?

- Nie zrozumiesz - powstrzymała mnie, unosząc dłoń, bo widziała, że chcę coś powiedzieć - przynajmniej na razie. Uwierz mi.

- Uwierzyć? Tobie? Ja cię nawet nie znam! Wszystko to było bardzo ekscytujące. Było, do cholery! Już nie jest ekscytujące. Nie chcę zadzierać z mafią, z sektami, z rządem, z nikim, rozumiesz? Jestem miłym, spokojnym człowiekiem w miłym, spokojnym życiu. A teraz bądź grzeczną dziewczynką, spakuj się i wracaj tam, skąd przyszłaś.

Spojrzała na mnie i pokręciła głową.

-Jak możesz? Lanne Lloch i'Annah porzucający kobietę, która mu zaufała? Czy to może być piękny temat na balladę?

Powiedziała prawie to samo, co Kordelia w moim śnie. Tylko że ja nie byłem Lanne Lloch i'Annah. Nie byłem facetem z ostrym jak brzytwa mieczem, dosiadającym grzbietu smoka i mającym porachunki z pewnym wojownikiem, który zadźgał go kiedyś na pustyni.

I wtedy zrozumiałem, że jeśli Anna odejdzie, to nie będzie już snów. Nie wleczę na skrzydłach zemsty i nie odpłacę Varradowi za krzywdę, której doznałem z jego rąk. Nie przytulę już nigdy Kordelii, nie spojrzę w jej lodowate oczy i nie zobaczę stalowych włosów rozrzuconych na poduszce. Nie poczuję bicia serca mojego smoka. Nie zobaczę podziwu albo strachu w oczach ludzi, dla których jestem żywą legendą. W tym świecie byłem nikiem, jednym z trybów ogromnej maszyny społeczeństwa, która takich jak ja mieliła, przeżuwała i wypluwała obojętnie, bez żalu czy nienawiści. Bez jakichkolwiek uczuć. Tam grałem jakąś rolę. Jakąś ważną rolę. Każdy chce kiedyś z halabardnika wołającego: „Przybywa lord Makbet!”, zamienić się w samego Makbeta. Tyle że to był sen. Równie realny jak film czy gra komputerowa. A jednak pragnąłem do niego wrócić. I wiedziałem, że kiedy Anna zniknie, to zniknie i Lanne Lloch i'Annah, a zostanie nudny facet w nudnym świecie, który w nudny sposób wyciągnie kopyta w swoim łóżku, całe życie żałując, że odtrącił Przygodę, kiedy ta chwyciła go w objęcia i pocałowała prosto w usta.

-Dobrze. Niech będzie, jak chcesz. Ale muszę wiedzieć, czy mogą tu wrócić, a jeśli tak, to kiedy.

-Nieprędko. - Napięcie ustąpiło z jej twarzy. - Muszą przemyśleć kilka rzeczy. Ale pewnie wrócą. Może za tydzień, może za dwa tygodnie. Najlepiej by było, gdybyśmy gdzieś wyjechali.

-Wyjechali - powtórzyłem. - Czemu nie? Należy mi się urlop. Wyjedźmy więc nad ciepłe morze. Będziemy grać się na plaży i popijać lodowate drinki, patrząc na fale. Czemu nie?

-Mówisz serio?

-Jak najbardziej serio. Mam trochę oszczędności.

Niewiele, ale na pewno wystarczy na miesiąc pobytu w miłym miejscu. Poza tym, kiedy się nie ma pieniędzy, to zawsze są jeszcze karty kredytowe. I czek. Bank funduje! Tak, możemy jechać.

Była szalona. To oczywiste. A ja dałem się temu szaleństwu ponieść i zwieść. Szaleni ludzie mają często dar wciągania innych w swoje szaleństwo. W jaki sposób



plugawy, prymitywny mnich Rasputin mógł opętać wytwornych arystokratów i przebierać w damach dworu carycy niczym w ulęgałkach? A Anna była w dodatku ładna i miła. I miała nieprawdopodobny dar. Może więc warto zaryzykować? Zresztą co było do ryzykowania? Nie można ukraść portfela komuś, kto już dawno wszystko stracił.

-Jutro rano rozejrzę się w ofertach biur podróży - obiecałem - i wyjedziemy najszybciej, jak to możliwe.

Podeszła do mnie, wsunęła mi się na kolana i pocałowała mnie w policzek.

-Nigdy ci tego nie zapomnę - powiedziała - nigdy.



**M**ój smok leżał z pyskiem opartym na pogruchotanych krowich kościach. Nie zostawił nawet grama mięsa, ani kropli zaschniętej krwi. Kości były czyste, jakby pochodziły z laboratorium, gdzie trawiono je kwasami. Usiadłem obok jego pyska. Nie otworzył oczu, wiedziałem jednak, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Prawdopodobnie nikogo innego nie dopuściłby tak blisko. Położyłem dłoń na kołnierzu najeżonym rogowymi zgrubieniami.

-Śniadanko było dobre, kumplu? - zapytałem. - Szkoda, że nie ma tu jakiejś smoczycy, co? Nudno tak samemu.

Unióś głowę i spojrział złotymi ślepiami. Wolno rozprostował skrzydła, po czym zaprezentował łucznikom na blankach imponujący garnitur kłów.

-Mały spacer? - spytałem. - Krótki lot, żeby się rozbudzić?

Stuknął mnie lekko łbem w ramię. Lekko, ale i tak o mało się nie zatoczyłem. Uśmiechnąłem się i usiadłem na jego grzbiecie. Wiedziałem, że nie była to próba sił, lecz przyjacielska pieszczota. Gdyby zyczył sobie próby sił, nie zostałyby ze mnie wiele więcej niż z krowy, którą właśnie spałaszował.

Miałem ogromną ochotę zobaczyć, jak wyglądają okolice zamku. Przedtem, kiedy nadlatywałem nad mury, bardziej zajmowałem się niezwykłością samego wydarzenia, jakim było latanie w bajkowym świecie na bajkowym, podniebnym wierzchowcu.

Teraz, oczywiście, też czułem dreszczyk emocji, lecz przede wszystkim chciałem obejrzeć najbliższą okolicę. Być może to da mi pewne wskazówki, co do tego, kim jest Kordelia. Fakt, że albinos nazwał ją księżną, nic nie znaczył. Dobrze wiedziałem, że byli książęta, w których księstewkach nie można było nawet dobrze zamachnąć się toporem, by nie naruszyć granic państwa sąsiedniego, równie potężnego władcy. Historia dostarczała przykładów książąt bez ziemi i bez bogactw, mających za jedyny majątek przebrzmiały tytuł oraz arystokratyczną dumę. Ciekawe, jak rzecz się miała w tym wypadku.

Smok łagodnie uniósł się nad fortyfikacje. Zamek znajdował się na ściętym jak stół wierzchołku wzgórza.

Mury były wysokie, dobrze utrzymane i najeżone blankami oraz wieżyczkami. Do cytadeli prowadziły dwie drogi, obie wybrukowane kamieniami, obie dość kręte i raczej wąskie. Teraz widziałem na nich wozy oraz ludzi mozolnie pnących się pod górę. U stóp zamku rozpościerała się osada. A raczej miasteczko. Widziałem drewniane i murowane domy, rynek wypełniony ludźmi i wozami. Miasteczko też było okolone murami, ale nie tak potężnymi, jak te otaczające zamek. Od południa i wschodu przytulało się do zakola rzeki, przez którą biegł solidny, szeroki most chroniony dwiema strażniczymi wieżami. Jeśli więc miasto należało do Kordelii, musiała czerpać niemałe zyski z ceł, myta i podatków.

Ilu ludzi mogło w nim mieszkać? Nie miałem pojęcia.

Domy były zwykle parterowe - najwyższy, jaki zobaczyłem, miał dwa piętra - ale za to ściśnięte jeden przy drugim i budowane wyraźnie kosztem wąskich, zatłoczonych uliczek. Kilka budynków wyróżniało się tym, że otaczały je własne mury bądź żywopłoty z iglastych krzewów. Zapewne były to siedziby bogatych kupców, może szlachty. Tylko jedna budowla zdecydowanie wyrastała ponad przeciętność. Jej strzelista, wysoka wieżyca wzbijała się pod niebo i błyszczała w słońcu srebrem. Czyżby kościół lub świątynia? Jeśli powiedziałbym, że w tej miejscowości żyło w tej chwili około trzech, czterech tysięcy ludzi, popełniłbym błąd? Pamiętałem przecież, że średniowieczny Paryż zamieszkiwało około dwudziestu tysięcy osób i uchodził on za ogromne miasto. Z drugiej jednak strony antyczny Konstantynopol liczył co najmniej pół miliona mieszkańców. Więc w tym świecie miasto Kordelii mogło być zarówno godną szacunku metropolią, jak i wiochą zabita dechami. Czy posiadłości Kordelii leżały na granicy większego państwa? Czy była wasalem króla lub cesarza? Kim był złowrogi Varrad, którego czarno odziane zastępy zmierzały w tę stronę i za którym biegły wilcze stada?

Nawet najdokładniejsza inspekcja okolicy nie mogła mi dostarczyć odpowiedzi na te pytania.

Poleciałem dalej i zobaczyłem szachownicę pól, owocowe sady oraz przytulone do łagodnych wzgórz uprawy winorośli. Kraina wyglądała na w miarę bezpieczną i w miarę bogatą, oczywiście jeśli mogłem cokolwiek wnioskować w oparciu o tak wątłe przesłanki. Na rzece unosiło się kilkanaście łodzi, w oddali ujrzałem też szeroką barkę z szarym żaglem łopoczącym na wietrze. Jeśli rzeka była spławna, a obecność barki świadczyła o tym, że była, to miasto musiało mieć dodatkowe dochody z przeładunku towarów i handlu. Teraz dostrzegłem przycupnięte przy nabrzeżu drewniane budowle, zapewne magazyny lub spichlerze, oraz paręnaście łodzi przycumowanych w miejscu, gdzie miejskie mury schodziły ku wodzie. Uznałem, że zobaczyłem już wystarczająco dużo, i postanowiłem zawrócić do zamku. Być może powinienem porozmawiać z ludźmi, którzy najwyraźniej mnie znali. Być może pozwoli mi to znaleźć odpowiedzi na więcej pytań... Wiedziałem jednak, że muszę zachować ostrożność. Byłem kochankiem księżnej, ale jej stosunku do mnie nie mogłem nazwać specjalnie przyjaznym. Mój smok i sława mojego imienia zapewne wiele znaczyły, lecz w końcu słynny na cały świat Ryszard Lwie Serce zginął od strzały bezimiennego łucznika, kiedy oblegał przypominający kurnik zameczek. Moja pozycja zależała w dużej mierze od dobrego humoru Kordelii i od tego, czy uda się ją przekonać, że jestem cennym sojusznikiem. Zastanawiałem się, czemu miał służyć ewentualny sojusz? Pokonaniu aroganckiego Varrada, potrafiącego wyłaniać się z misy wody niczym dżin z butelki? Nie żywiłem ciepłych uczuć do człowieka, który zadźgał mnie na pustyni i zostawił tam martwego (a raczej zostawił, będąc przekonany, że jestem martwy), chciałem jednak znać powody konfliktu. Jeśli orientowałem się w historii średniowiecza, to powodem konfliktu mogło być wszystko.

Urażona rodowa duma, spór o zapyziały kawałek ziemi, czy też zemsta za zabitego krewniaka. Chociaż po rozmowie z Varradem miałem wrażenie, że tutaj gra toczy się o większą stawkę. Może chodziło o skomplikowane sprawy związane z testamentami i dziedziczeniem?

Może na przygranicznych terenach odkryto kopalnie cennych kruszców i teraz miała się rozpocząć walka o to, do kogo będą one należeć? Hmm, dużo pytań, mało możliwości udzielenia poprawnej odpowiedzi.

Lecieliśmy spokojnym, szybującym lotem w stronę zamku, a ludzie na dole przystawali, pokazywali sobie nas palcami i machali w naszym kierunku. Sielska atmosfera. Widać nie mieli tu doświadczeń ze smokami ziejącymi ogniem i palącymi

miasta i wioski. A swoją drogą ciekawe: czy mój smok potrafił ziać ogniem albo pluć kwasem, czy też tylko miał potężne szczęki? Tylko... hmm... Zakołowaliśmy nad zamkiem, tym razem już nie widząc nerwowych reakcji łuczników na blankach, i smok zręcznie przysiadł w miejscu, z którego wystartowaliśmy przed niespełną godziną.

-Dzięki za spacer - powiedziałem, zsiadając z jego grzbietu.

Wyciągnął się wygodnie i przymknął oczy. Jeden z żołnierzy zbliżył się, ale na bezpieczną odległość.

Sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. Był młody, jasnowłosy, miał ślady po trądziku na lewym policzku.

Zapewne starsi współtowarzysze uznali, że wysłanie go tu będzie doskonałym dowcipem.

-Czy twój smok zechce coś jeszcze zjeść, panie? - zapytał niepewnym głosem, starając się patrzeć w bok.

-Myślę, że tak. - Spojrzałem na ogryzione do czysta kości.

Miałem tylko nadzieję, że smok sam wie, ile może zjeść, i nie pochoruje się od nadmiaru pożywienia.

-Zaraz przyniesiemy mu owcę - obiecał skwapliwie żołnierz - dopiero co została zarżnięta.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

-I jeszcze jedno, wasza miłość. Sierżant kazał powiedzieć, że pan podstoli pragnie cię widzieć, o ile zechcesz poświęcić mu swój czas.

Podstoli. Irtin Kardemar - albinos i zausznik księżnej. Najważniejszy z doradców? Mistrz dworskiej ceremonii? Stanowisko podstolego mogło oznaczać wszystko, tak jak stanowisko łowczego, strojczego, czy koniuszego. Tytuły zostawały, zmieniały się obowiązki, kompetencje i zasięg władzy. Ale rozmowa z Kardemarem, jakakolwiek byłaby jego pozycja na dworze, mogła okazać się pouczająca.

-Prowadź - nakazałem żołnierzowi. - Jak ci na imię?

-Glejar, jeśli takie jest życzenie waszej miłości.

-Idźmy więc, Glejar.

Przecieliśmy dziedziniec. Ktoś pędził z zagrodki owcę, zapewne następny posiłek mojego smoka, ktoś inny, głośno klnąc, wytaczał ciężką beczkę, dwóch żołnierzy leniwie fechtowało się ćwiczebnymi mieczami o stępionych ostrzach, a kilku innych obserwowało tę potyczkę. Przeszliśmy następnie labiryntem zamkowych korytarzy, jakaś dziewczyna omal nie wpadła na mnie na jednym z zakrętów i wypiszcziała przeprosiny przerażonym głosem. Aż w końcu stanęliśmy pod właściwymi drzwiami.

-To tutaj, panie.

-Zaczekaj na mnie, Glejar - rozkazałem i wszedłem do środka.

Zastanawiałem się przedtem, czy mam zapukać, ale uznałem, że byłby to nadmiar uprzejmości. Pukać powinna służba. Albinos siedział przy biurku i posypywał właśnie piaskiem zapisany papier. Kiedy mnie zobaczył, wstał niespiesznie.

-Witaj, Lanne Lloch l'Annah - rzekł. - Czy zechcesz zjeść ze mną posiłek?

-Z przyjemnością - odparłem, a on wezwał służących.

Uprzejmym ruchem wskazał mi krzesło.

-Usiądź, proszę.

Począł, aż zajmę miejsce, i sam usiadł tam gdzie poprzednio, przy biurku.

-Twoja wizyta zdumiała nas - zaczął - ale przede wszystkim zechciej przyjąć me podziękowania za ostrzeżenie przed lordem Yarradem. Dziś rano przybył posłaniec z północy i powtórzył to, co usłyszeliśmy od ciebie.

-Sądziłeś, że kłamię?

-Nie, Lanne Lloch l'Annah - odparł spokojnym tonem - jednak mądry człowiek powinien swą wiedzę czerpać z wielu źródeł.

-Po co przybywa?

-Po co? - spytał zdziwiony. - Po to co zwykle.

Z tego samego powodu, dla którego ścigał i zabił ciebie, lordzie Lanne. A raczej sądził, że zabił, tak jak i my sądziliśmy.

Powiedział do mnie: „lordzie Lanne”. Czy była to tylko grzecznościowa formuła, czy też rzeczywiście miałem jakiś arystokratyczny tytuł? A jeśli tak, to jak wysoko w tutejszej hierarchii plasowali się lordowie?

-Taaak - podrapał się po gładkiej brodzie - będą tu nie wcześniej niż za cztery do pięciu dni. Mówiłeś, że Varrad prowadzi jezdnych i biegną za nim wilcze stada. Ja się dowiedziałem czegoś więcej. - Spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „A tu cię mam! Mówiłem, że trzeba czerpać wiedzę z wielu źródeł”.

-Czego się dowiedziałeś?

-Ma kilka maszyn oblężniczych i silny oddział piechoty. Idą z nim również najemnicy, na pewno jedna kompania kuszników. Sądzę, że łącznie z czeladzią, ale jak zwykle u niego dobrze uzbrojoną i wyszkoloną, może mieć co najmniej około trzech tysięcy zbrojnych.

Trzy tysiące zbrojnych to nie było mało. Czy jednak wystarczająco wielu, by oblegać nieźle ufortyfikowany zamek?

-No i stado wilków. W czasie oblężenia są do niczego, ale sam wiesz, co potrafią zrobić w lasach lub w szczerym polu.

Nie wiedziałem, lecz nie zamierzałem się do tej niewiedzy przyznawać. Czy wilki były specjalnie tresowane? A może to nie były wilki, tylko podobne do wilków, hodowane na bitewne potrzeby i odpowiednio wyszkolone psy? Przecież z oddziałów tego typu korzystali już starożytni Rzymianie! Ale jeśli Varrad mógł pokazać mi się w misie wody i rozmawiać ze mną na odległość, to czy nie mógł też w jakiś magiczny sposób spętać i podporządkować sobie dzikich stworzeń? Varrad był zagadką, a co gorsza, miałem przecucie, że poznanie zarówno jego słabości, jak i uzdolnień może zadecydować o tym, czy przeżyję w tym dziwnym świecie.

Kim byli owi najemnicy, o których wspominał albinos? W każdym razie na pewno nie będę bezpiecznie mógł unosić się nad wojskami Varrada na grzbiecie smoka.

Pamiętałem przecież, że strzała z kuszy potrafiła przebić płytową zbroję, a papieże swego czasu decydowali się nawet na obłożenie ekskomuniką tych, którzy korzystali z usług oddziałów posługujących się tak morderczą bronią. Z drugiej strony jednak zwrotni i szybcy angielscy łucznicy w wielu bitwach nie dali szans francuskim kusznikom, którzy zbyt wiele czasu potrzebowali, by naciągnąć ciężki swą broni. Tak czy inaczej, kompania kuszników musiała budzić respekt, skoro Kardemar uznał za stosowne wymienić ją jako zagrożenie.

-Jakimi siłami dysponuje teraz księżna? - zapytałem, specjalnie dodając słowo „teraz”.

-Niewiele się zmieniło od twojej ostatniej wizyty.

- Czy tylko mi się wydawało, czy też słowo „wizyty” wypowiedział z lekkim przekąsem? - Bardziej ufamy traktatom i opiece Suzerena niż własnym siłom. Kazałem rozesłać wici, wysłałem posłańców do Suzerena, ale... - wzruszył ramionami - ...może zbierzemy tylu ludzi, by bronić murów miasta i zamku.

Kim był Suzeren, o którym w tej chwili usłyszałem? Czy Kordelia była jego lenniczką? Czy Varrad także mu podlegał? Czy ten konflikt mógł zostać zażegnany przez tegoż Suzerena?

-Chciałem cię prosić, lordzie Lanne, byś zaniósł Suzerenowi wieści o zdradzie Varrada. Na swym smoku dotrzesz do niego nieporównanie szybciej niż najsmiglejsi posłańcy. Ale... wiem, że to niełatwa prośba.

Dlaczego ta prośba była niełatwa? Czyżby tajemniczy Suzeren nie darzył zbyt gorącymi uczuciami człowieka o imieniu Lanne? Czy coś groziło mi na jego dworze?

-Powinienem zapewne naradzić się z Kordelią - rzekłem tylko.

-Być może, ale zrób to szybko, bo czas nagli. Jeśli nie zdecydujesz się na tę podróż, zrozumieć to.

Wstałem.

-Odłożmy więc na później wspólny posiłek - zdecydowałem. - Dziękuję, że mnie przyjąłeś.

Pokiwał głową.

-To ja tobie dziękuję, lordzie Lanne. Gdyby nie two ostrzeżenie, nie mielibyśmy żadnych szans. A tak pozostał chociaż cień nadziei.

Zostawiłem go przy biurku i wyszedłem. Kazałem Glejarowi, by odprowadził mnie do komnaty Kordelii, gdyż zdążyłem się już zgubić w labiryntach korytarzy, a moja niewiedza w tym względzie mogłaby wydać się dziwna. Przykazałem żołnierzowi, by znowu został pod drzwiami, i wszedłem do środka. Kornelia leżała ciągle w łóżku, miała podsunięte pod głowę poduchy i patrzyła w okno. Kiedy usłyszała skrzypnięcie drzwi, spojrzała w moją stronę.

-Gdzie byłeś? - spytała chłodno.

-Na podniebnym spacerze - odparłem. - Jeśli chcesz, zabiorę cię kiedyś w lot nad chmurami. Kto wie, co się stanie, kiedy twoje serce znajdzie się bliżej słońca?

-Lanne - pokręciła głową - nie musisz tego robić.

-Potem rozmawiałem z Kardemarem - ciągnąłem - i poprosił...

-Nie! - przerwała mi gwałtownie, ale zaraz się uspokoiła. - Chociaż, kto wie... może to byłoby i roztropne. Pamiętaj, że ja chciałam cię tylko zabić. Szybko, łagodnie i bezboleśnie. Nie wiem, czy Suzeren będzie na tyle wspaniałomyślny. Nawet jeśli wystawię ci glejty, nawet jeśli dam ci żelazny list...

A więc! Ciekawe, że nie miałem tu za wielu przyjaciół. Szkoda, że Lanne Lloch l'Annah musiał robić sobie wrogów z możliwych tego świata. Kordelia, Varrad, teraz tajemniczy Suzeren. Kto jeszcze nienawidzi mnie na tyle, by żądać mego życia?

-Martwisz się o mnie trochę?

-Bardziej się przydasz żywy niż martwy - odrzekła. - Skoro Yarrad próbował przeciągnąć cię na swoją stronę, to znak, że się obawia. Ciebie? Twojego smoka? Nie wiesz, czy ta bestia ma gdzieś przyjaciół? Równie skorych do pomocy jak on sam? Wyobrażasz to sobie?

- Zaśmiała się. - Armia smoków spadająca na wojska Varrada?

-Chyba nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

-Trudno. - Wzruszyła ramionami. - Powiedz mi, Lanne - usiadła na łóżku, a jej piersi wymknęły się spod pościeli - czy zjawiłeś się, by zabrać go Varradowi?

-Kogo?

-Och, nie zwódź mnie! Masz przecież pozostałe dwa, czyż nie?

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym mówiła. Ale zdaje się, że było to bardzo ważne. Może moja wiedza była źródłem jakiegoś konfliktu? Może pozyskałem informacje, których nie powinienem nigdy pozyskać? Informacje o czym? O zakopanym skarbie? O magicznych artefaktach? O mapach zaginionego miasta zbudowanego ze złota? Ludzie niszczyli całe cywilizacje dla mniej wartościowych mrzonek.

-Posłuchaj, Kordelio, musisz mi zaufać – skrzywiła się, kiedy to usłyszała - a ja spróbuję ci pomóc, jak tylko będę potrafił. To, co wiem i czego nie wiem, nie jest na razie ważne. Ważne jest, by ocalić twe ziemie przed Varradem. Ludzie tu żyją spokojnie. Nie chcę, by wilcze stada spustoszyły ich domy, nie chcę widzieć pożogi i stosów trupów, nie chcę, by świst strzały był ostatnią melodią, jaką usłyszają ich uszy. Chcę wiedzieć, jak wysoko oceniasz moje szanse na przeżycie, kiedy się zjawię u Suzerena? Czy mam lecieć do niego i prosić o pomoc?

- Ty naprawdę chcesz to zrobić. - Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. - Zmieniłeś się, Lanne. Naprawdę się zmieniłeś. I teraz już wiem, że ta zmiana mi się podoba. Ale wiem też, że nie chcę, byś umarł.

Przynajmniej na razie - zastrzegła natychmiast - i nie w lochach Suzerena. Spróbujemy bronić się w zamku i czekać na posiłki albo na wysłanników Suzerena. Nawet Varrad nie będzie mógł się sprzeciwić ich woli.

Pomyślałem, że skoro tak, to i jej trudno będzie wpłynąć na wysłanników, by nie zabrali mnie do swego pana, który aż tak bardzo chce się ze mną spotkać. No, ale tutaj jednak byłem znacznie bardziej bezpieczny.

Lecz jeśli będę zmuszony z jakichś względów uciekać z zamku Kordelii, to dokąd, na Boga, mam się udać?

I co robić? Kto wie, pomyślałem, może pamięć, która płątała mi już takie figle i ujawniała światło minionych dni, znowu odezwie się i znowu przypomnę sobie jakieś dziwne zdarzenia z tego życia-nie życia.

I nagle wpadła mi do głowy genialna myśl, zresztą zupełnie bez powiązania z poprzednimi. Aż palnąłem się w czoło, zdumiony, że przedtem nie pomyślałem o sprawie tak banalnej. W czasie pierwszej wojny światowej, kiedy lotnictwo znajdowało



się jeszcze w powijkach, piloci zabierali na pokład granaty, a bywało, że nawet cegły, i rzucali je na głowy wrogiej piechoty.

A czym różnił się mój smok od prymitywnego samolotu, poza tym, że był napędzany mięśniami, a nie silnikiem spalinowym? Dlaczego wyobrażałem sobie, że mam szarżować na wroga i walczyć z powietrza mieczem? Przecież unosząc się trzysta, czterysta czy więcej metrów nad ziemią, można razić przeciwników pociskami! Nie mogłem sobie przypomnieć, jaki jest zasięg strzały z kuszy lub łuku, ale byłem pewien, że trafienie do celu przesuwanego się na wysokości kilkuset metrów nad ziemią z szybkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę nie będzie prostym zadaniem dla żadnego strzelca nieposiadającego wyrzutni stingerów lub choćby działka przeciwlotniczego. Oczywiście nie mogłem liczyć na spektakularne wyniki, na to, że sam rozgromię wrogą armię. Ale pamiętałem, jak ogromne znaczenie w średniowieczu miało morale wojsk. Czy oddziały bombardowane z nieba kamieniami będą maszerowały radośnie i bez namysłu, czy też żołnierze się zastanowią: „Co czeka mnie pod murami zamku, skoro kilka dni drogi od niego muszę trzymać nad głową tarczę, kuląc się i wpatrując w niebo płochliwym wzrokiem?”. Tak, to była myśl godna realizacji i aż wstyd, że tyle czasu zajęło mi dojście do takich oczywistych wniosków. Jedynym wytłumaczeniem mógł być fakt, że nie miałem doświadczenia w podniebnych walkach, czy to prowadzonych z pokładu samolotu, czy też grzbietu smoka.

-Wybioreę się na mały rekonesans - poinformowałem Kordelię, która przypatrywała mi się w milczeniu.

- Varrad będzie wściekły - pstryknąłem palcami - a my spotkamy się po moim powrocie.

-Jak sobie życzysz - odparła.

Kiedy wyszedłem, dostrzegłem, że Glejar jest pogrążony w rozmowie z młodziutką i apetyczną służącą.

Zobaczyli mnie i odskoczyli od siebie. Dziewczyna pochyliła się w ukłonie, żołnierz poczerwieniał.

-Glejar, mój chłopcze, mam dla ciebie ważne zadanie - rzekłem.

-Słucham, wasza miłość.

-Weźmiesz kilku żołnierzy i każesz im nazbierać kamieni, mniej więcej takiej wielkości. - Pokazałem mu pięść. - Najlepiej, żeby nie były okrągłe, lecz ostre po brzegach. Rozumiesz?

-Tak jest, lordzie Lanne, ale...

-Posłuchaj, Glejar, jeśli ktoś zechce ci przeszkodzić, to masz powiedzieć, że będzie miał ze mną do czynienia. Niech zbiorą dwa duże worki takich kamieni i przyniosą je do mojego smoka. Tylko worki muszą być solidne, żeby nie pękły pod ciężarem. I jeszcze jedno. Niech przewloką u wylotu metalowe obręcze, bo worki powinny być cały czas otwarte. Potem, Glejar, pójdziesz do kuźni i każesz kowalowi wykuć żelazne kule najeżone ostrzami, takie jak głowice morgensternu, rozumiesz?

-Tak jest, lordzie Lanne.

Wyraźnie widziałem, że był jednocześnie przerażony i zachwycony swoją nową rolą. A zachwycony zwłaszcza tym, że lord Lanne powierza mu ważne zadanie na oczach tej młodziutkiej dziewczyny.

-Tyle że mają być mniejsze, powiedzmy wielkości pół pięści. Niech kowal się tym zajmie i ostrzeż go, że jeśli będę niezadowolony z jego pracy, to wyląduję na własnym kowadle, rozumiesz?

-Tak jest, wasza miłość.

-Spisz się dobrze, Glejar, to nie zapomnę o tobie. No, zmykaj już, chłopcze, a jak się pospieszysz, będziesz miał jeszcze czas, żeby spotkać się ze swoją śliczną przyjaciółką. - Uśmiechnąłem się do dziewczyny, która splecioną, cały czas trwała w głębokim ukłonie.

-Wasza miłość - bąknął Glejar - dziś sierżant wyznaczył mi...

-Chłopcze - powiedziałem twardo - od tej chwili podlegasz tylko moim rozkazom. Zapomnij o jakichkolwiek sierżantach. Zrozumiano?

-Tak jest, wasza miłość! Nie zawiodę, wasza miłość! - wrzasnął i pobiegł w głąb korytarza.

Mniej więcej po czterdziestu minutach kilku żołnierzy, poganianych przez zachwyconego nową rolą Glejara, przy dźwigało dwa wory. Czekałem na nich przy smoku. Teraz należało je rozsądnie umieścić, tak bym w czasie lotu mógł zrzucić kamienie na wroga.

-Nie obrazisz się, staruszk, że robię z ciebie bombowiec? - Nie byłem pewien, czy smok zaakceptuje ten dziwny ciężar, lecz on tylko spojrzał leniwie na żołnierzy, potem na worki i zamknął z powrotem oczy.

Kazałem żołnierzom złączyć wory linami i przerzucić liny przez grzbiet smoka. Zrobili to z ledwo ukrywanym przerażeniem, zwłaszcza kiedy mój przyjaciel uniósł powieki i zaczął się uważnie przyglądać, co z nim wyprawiają. Poklepałem go po kołnierzu.

-Wybacz, stary - poprosiłem - i zrób to dla mnie, dobrze?

Złociste oczy przez moment stopiły się z moim wzrokiem, po czym smok znowu opuścił łeb.

- Czy możemy udać się na nieco dłuższy spacer? - zapytałem, siadając na jego grzbiecie.

Rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze. Nie zauważyłem żadnej różnicy pomiędzy tym, jak startował z nowym obciążeniem i jak startował bez niego.

- Pamiętaj o kulach, Glejar! - krzyknąłem na pożegnanie i już po chwili szybowaliśmy nad zamkowymi murami.

Teraz skierowałem smoka w przeciwną stronę niż dzisiejszego ranka. Lecieliśmy na spotkanie wilczym stadom oraz armii Varrada. Teren był pofałdowany łagodnymi wzgórzami, czasem porośnięty młodymi zagajnikami i pocięty wstążkami strumieni. Dobrze, że nie było w okolicy gęsto rosnących drzew, bo moje bombardowanie w lesie okazałoby się zapewne o wiele mniej skuteczne. Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby całej operacji przeprowadzić w nocy, kiedy lecące z nieba kamienie mogły zasiać dodatkową grozę, ale uzmysłowiłem sobie, że żołnierze mogą spać pod namiotami, których materiał osłabiłby uderzenia. Zastanawiałem się nad tym, jaką siłę może mieć kamień spadający z wysokości dwustu, trzystu metrów. Z całą pewnością taki pocisk zabije człowieka, kiedy trafi go w głowę. Lecz czy przebije tarczę, którą można się osłonić? Dlaczego nie pamiętałem odpowiednich wzorów z fizyki? Ale zaraz, przecież mogę to sprawdzić w rzeczywistym świecie! Mając dobrą podbudowę teoretyczną, będę wiedział, czego się spodziewać. Oczywiście nie mogłem liczyć na to, że każdy kamień trafi w cel. Jednak wystarczyłoby, że grad takich pocisków rozorze ziemię, a wtedy żołnierze poczują się zagrożeni. Nagle zdałem sobie sprawę, że to nie jest już zabawa. Oto godzę się na to, by zabijać i okaleczać ludzi.

Jedynym usprawiedliwieniem był fakt, że oni przyszli właśnie, by zabijać i okaleczać innych – spokojnych poddanych Kordelii. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. A burza tego dnia będzie wyjątkowo paskudna!

Cały czas jednak bałem się, żeby coś nie pokrzyżowało moich planów. Nie za bardzo wierzyłem, by ktoś zdołał zranić lecącego na tej wysokości smoka, ale przecież zdarzały się dziwniejsze przypadki. Słyszałem, że w czasie drugiej wojny udawało się strącić wrogie samoloty, strzelając pilotowi w głowę ze zwykłego karabinu. To była szansa jedna na milion, ale jednak była. A czy Varrad nie zna magicznych sposobów zdolnych mnie powstrzymać? Czy skoro potrafił pojawić się w misie wody i rozmawiać ze mną na odległość, to nie ma również mocy sterowania pociskami? Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby jeden z kamieni trafił w jego czaszkę, rozwiązując problem,

lecz na taki uśmiech szczęścia nie miałem co liczyć. Poza tym, po chwili zdałem sobie sprawę z zaskakującej myśli: wcale nie życzyłem mojemu wrogowi takiej właśnie śmierci.



**-M**ożemy wylecieć za trzy dni - rzekłem.  
- Dobrze - odparła Anna.  
- A nie interesuje cię dokąd? - zapytałem.

- Nieważne, byle dalej stąd. I mam nadzieję, że wybrałeś miły, ciepły i spokojny kraj.

- Mam nadzieję, gdyż ten kraj to Kreta. O ile wiem, ostatnia wojna toczyła się tam między Tezeuszem a Minotaurem. - Uśmiechnąłem się, ale zaraz wpadła mi do głowy pewna mało przyjemna myśl. - Słuchaj, czy ty w ogóle masz paszport?

- Oczywiście, myślisz, że skąd się urwałam?

- Tego właśnie chciałbym się kiedyś dowiedzieć - odpowiedziałem całkiem serio - no ale będziemy mieli trochę czasu na dyskusje. O tym, czym kapusta jest, a czym królowie...

- Słucham?

- Ach, nic. Cytat z ulubionej książki dzieciństwa...

Usiadła mi na kolanach i zarzuciła ręce na ramiona.

Czułem od niej świeży zapach szamponu, mydła i dopiero co wypranego szlafroka. Pocałowała mnie w policzek.

- Wszystko będzie dobrze - obiecała - zobaczysz, że nie pożałujesz. Zobaczysz, że to będzie najbardziej fascynująca przygoda twojego życia.

- Och, to już jest najbardziej fascynująca przygoda mojego życia - odparłem szczerze. - Ale ciekawe, czy reżyser przewidział happy end? Czy też może we śnie skończę jako ofiara niewątpliwie interesujących doświadczeń nad wytrzymałością ludzkiego organizmu, które przeprowadzi kat Suzerena? A w realnym życiu zatłuką mnie bejsbolami twoi dziwni przyjaciele...

-To nie są moi przyjaciele - rzuciła ostro, wyslizgując się z moich ramion - i nie mów tak nawet żartem!

Wtedy zadzwonił telefon i już podnosząc słuchawkę, byłem pewien, że dzwoni moja łózkowo-teatralna znajoma-nieznajoma. Nie pomyliłem się.

-Nie chciała góra do Mahometa, musiał Mahomet do góry - powiedziała na przywitanie. - Jak straty moralne i materialne?

-Moralne większe - odparłem zgodnie z prawdą.

-Mógłbyś mi wyjaśnić jedną rzecz?

-Bardzo proszę.

-Możesz mi wyjawić, w jaki sposób, siedząc w teatrze na, skądinąd beznadziejnym, przedstawieniu wiedziałeś, że ktoś włamuje się do twojego mieszkania?

-Przecucie. - Znów nie minąłem się nawet o włos z prawdą. - Po prostu coś powiedziało mi, że muszę natychmiast wrócić do domu. Zabawne, prawda?

-Zabawne? Nie. Ale dziwne. - Przez chwilę słyszałem w słuchawce tylko lekkie trzaski, jak to zwykle na naszych łączach. - Bądź u mnie za godzinę, półtorej, dobrze? Chciałabym z tobą porozmawiać. Proszę - dodała.

-Oczywiście - odrzekłem, gdyż naprawdę ją lubiłem i powoli stawała się jedyną ostoją normalności w tym zwariowanym świecie, do jakiego trafiłem.

-Będę też pamiętał, że należy ci się rewanż za zmarnowany wieczór.

-Och, o tym nie omieszkam przypomnieć. W takim razie czekam. - Rozłączyła się bez pożegnania.

-Znowu będziesz wychodził, prawda? - zapytała Anna, niby obojętnym tonem, ale czułem, że jest wściekła.

-Posłuchaj, Anno - usiadłem wygodnie i sięgnąłem po papierosa - za trzy dni wyjeżdżamy. I przez te trzy dni muszę załatwić pewne sprawy. Nie tylko prywatne, lecz również zawodowe. Na przykład postarać się, by nie wyrzucono mnie z pracy. Specjalnie jej sobie nie cenię, chciałbym jednak mieć z czego żyć po powrocie. Chciałbym też, by kobieta, z którą się spotykam, zechciała się jeszcze kiedykolwiek ze mną zobaczyć.

Kiedy wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę, że naprawdę chciałbym się spotykać z moją majową miłością, o której imieniu nadal nie miałem pojęcia.

-Dobrze. - Anna wzruszyła ramionami. - Wiem, że nie powinnam wtrącać się do twojego życia. Ale zrozum: jestem przerażona.

Wcale nie była przerażona. Konsekwentnie dążyła do pewnego celu, do zakończenia układanki, której byłem ważnym elementem. Lecz przerażenia w tym nie

było na pewno. Raczej obawa przed pokrzyżowaniem planów. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się smutno.

-Rozumiem, że czasami moja obecność ci przeszkadza, ale spróbujmy sobie poradzić ze wszystkim i z nami samymi nawzajem, dobrze?

Podszedłem do niej i pocałowałem ją w policzek.

-Wszystko dobrze się ułoży - obiecałem - za trzy dni wylądujemy na ciepłej wyspie i naszym jedynym problemem będzie właściwy wybór drinków.

-Bardzo słusznie. - Klasnęła w dłonie. - Powinniśmy pójść na zakupy, nie sądzisz? Przydałby mi się jakiś wspaniały kostium. Bardzo wyzywający!

- *Thafs my girl.* - Roześmiałem się. - Okej, pójdziemy jutro na zakupy, dopóki jeszcze ktokolwiek będzie chciał honorować moje karty.



Służący wszedł do komnaty bez pukania. Zauważyłem, że służba czasem raczyła tutaj zastukać do drzwi, a czasami nie. A oficjele mieli zwyczaj traktować ją jak powietrze. Wiele średniowiecznych państw upadło tylko dlatego, że arystokraci nie przywiązywali wagi do tych, którzy jak cień stali gdzieś pod ścianami, gotowi na każde ich skinienie. A jednak patrzyli i słuchali. Owszem, byli pewni mądrzy władcy, którzy zatrudniali niemowy, lub mądrzy i okrutni, którzy kazali służącym wyrywać języki.

-Lordzie, pewien starzec błaga o posłuchanie - oznajmił człowiek, który tak bezceremonialnie wkroczył do mojej komnaty. - Jego imię... jego imię...

Zauważyłem, że ma taki wyraz twarzy, jakby nawdychał się za dużo ziół. Chyba nie do końca wiedział, co robi i co mówi.

-Wprowadź - rozkazałem i odesłałem go skinieniem.

Do komnaty wszedł niski, siwy mężczyzna ubrany w coś, co przypominało połączenie poncho z habitem.

Cokolwiek to było, pośrodku spinała je ozdobna brosza z dużym kamieniem. Mężczyzna trzymał w palcach czarne, inkrustowane pudełko.

-Lordzie Lanne - stary człowiek uklęknął z wysiłkiem i wyciągnął dłonie przed siebie - przynoszę to, co raczyłeś zostawić mi na przechowanie.

Starając się nie okazać zdziwienia, odebrałem pudełko z jego rąk i zważyłem w dłoniach. Było lekkie. Na pewno zrobiono je z drewna i inkrustowano srebrem, ale tak delikatnie, że inkrustacje te przypominały srebrną pajęczą nić i wplatały się w czerni drewna dziwnym wzorem, na którym ciężko było skoncentrować wzrok. Rysunek wyglądał, jakby się rozmazywał przed oczyma. Przed chwilą byłeś w stanie ustalić, w jakim kierunku układają się srebrne nici, a zaraz potem widziałeś, że popełniłeś błąd. Magia czy sztuka wytrawnego rzemieślnika? Ostrożnie odłożyłem pudełko na stół. Jeśli kiedykolwiek dałem, czy raczej jeśli kiedykolwiek Lanne Lloch i'Annah dał je temu człowiekowi, to musiał mieć w tym cel. I z pewnością było cenne. Stary człowiek klęczał cały czas, więc dotknąłem jego ramienia.

- Wstań - powiedziałem. - Dziękuję, że pamiętałeś o mnie.

- A ty? Czy pamiętasz moje imię, lordzie?

No tak! I znowu zaczynały się schody!

- Pamiętam, że obdarzyłem cię zaufaniem - odparłem oględnie.

Rozpłakał się. Czy widzieliście kiedyś płaczącego starca? Czy widzieliście kiedyś starca, który płakałby, klęcząc przed wami?

- Czy wybaczysz mi, lordzie? - wydukał wśród szlochów. - Czekam już tylko na twe przebaczenie, by spokojnie odejść. Może zapomniałeś o mistrzu Hamrodzie, ale Hamrod nie zapomniał o tobie!

Jakież to winy miałem wybaczyć temu starcowi?

Z całą pewnością nie mogłem o to zapytać. Czy zdradził mnie, czy też jedynie wydawało mu się, że zdradził? Czy sprzymierzył się z wrogami Lanne Lloch i'Annah? Jeśli był poddanym Kordelii, która kiedyś, a może i teraz, mnie nienawidziła, to kto wie? Może został zmuszony do wydania jakichś tajemnic? Ale przez te wszystkie lata przetrzymał dla mnie dziwne, połyskujące srebrnymi nićmi czarne pudełko. Cekał na mój przyjazd, choć mówiono, że umarłem. Nikomu go nie oddał.

- Wybaczam ci, cokolwiek uczyniłeś, mistrzu Hamrodzie - rzekłem uroczystym tonem. - I myśl o życiu, a nie o śmierci. Spieszmy się żyć, bo życie przemija zbyt szybko.

- Moje już przeminęło, panie - odparł cicho - lecz teraz mogę odejść w pokoju.

Wstał z klęczek i opuścił komnatę, cały czas w głębokim pokłonie. Zasunąłem skobel w drzwiach. Cokolwiek znajdowało się w środku pudełka, było rzeczą, do której Lanne Lloch i'Annah przykładła dużą wagę. Nie chciałem więc, by zobaczyły to niepowołane oczy. Dotknąłem cienkiej deseczki wieczka. A jeśli to pułapka? - pomyślałem. Jeśli pudełko zostało skonstruowane tak, by w trakcie próby jego

otworzenia wbić zatruty kolec w dłoń niepowołanej osoby? Jeśli należało odemknąć je w jakiś specyficzny sposób? Poruszyć tajną zapadkę lub coś w tym rodzaju? Dokładnie przeciągnąłem palcami po drewnie. Po powierzchni, bokach i krawędziach. Ale nie wyczułem niczego poza gładkim, suchym drewnem i rysunkiem srebrnych nici. Trzeba było więc zaryzykować. Najostrożniej, jak tylko mogłem, uniosłem przykrywkę. Nic się nie stało, więc zajrzałem głębiej.

W środku, w wymoszczonej czarnym aksamitem przegródce leżała talia kart. Widziałem tylko ich koszulki, czarne jak smoła - wydawało się, że ta czerń mogłaby wciągać w otchłań. Odwróciłem wzrok i zamrugąłem.

Powoli i ostrożnie wyjąłem talię. Karty były prostokątne, duże i zaskakująco cienkie.

Ale wyglądały na tak mocne, jakby zostały laminowane plastikiem. Co, rzecz jasna, nie było możliwe. Odwróciłem je i zobaczyłem obrazek na wierzchniej karcie. Przedstawiał wysoki zamek o strzelistych wieżycach, stojący na stromym wzgórzu. Od jego podnóża po samą bramę ciągnęła się kręta i wąska droga. Nad wschodnią basztą było widać rąbek różowego słońca.

- Warownia - szepnąłem i nagle pojąłem, że tak właśnie nazywa się ta karta. Warownia.

Odłożyłem ją na bok i przyjrzałem się drugiej karcie.

Na szarym tle była wyrysowana pękata wieża bez okien i otworów strzelniczych. Do jednej trzeciej jej wysokości sięgała góra usypana z ludzkich czerepów.

- Wieża Czaszek - powiedziałem, zdając sobie sprawę, że znowu odgadłem nazwę karty.

Skąd to wiedziałem? I skąd wiedziałem, że talia należała do mnie od lat? Chociaż nie byłem jej pierwszym właścicielem. Czułem, że kiedyś, dawno temu, tej talii dotykały inne dłonie. Wiele innych dłoni. Starych i młodych. Dotykały jej sękaty palce rycerza i szczupłe, delikatne palce kurtyzany. Obecność tych ludzi została zatopiona w kartach. Byli wszyscy, gdzieś tam, w głębi. Ich dążenia, nadzieje i oczekiwania. Ich pragnienia, mroczne żądze i wzniosłe myśli. Wszystko to kłębiło się gdzieś na granicy zapomnienia, ale jednak dostrzegalne.

Trzecia karta przedstawiała człowieka, którego oblicze było w połowie męskie, a w połowie kobiece. Nazywała się Wybór. Czwartą tworzył zagmatwany rysunek składający się z linii przechodzących pod zdumiewającymi kątami. Kiedy patrzyłem na nią zbyt długo, rozboleły mnie oczy. Przedstawiała Labirynt Wyobraźni. Gdy odstłoniłem piątą kartę, o mało nie wypuściłem z rąk całej tali. Rysunek ukazywał



jasnowłosego człowieka o zielonych, hardych oczach, który z uśmiechem unosił srebrny puchar. Miał zielony kaftan, szamerowany srebrem i wąski miecz u boku. To byłem ja. Wiedziałem, że nie jestem podobny do mężczyzny na karcie. Nie mam długich jasnych loków i chciałbym mieć tak zielone oczy o tak hardym spojrzeniu. Nigdy nie nosiłem zielonego kaftana, a mój miecz był solidną bronią, a nie takim wąskim szpikulcem. A jednak to byłem ja.

A przynajmniej wiedziałem, że właśnie mnie symbolizuje rysunek.

-Rycerz Kielichów - szepnąłem. - Rycerz Kielichów.

Odłożyłem talię na stół. Byłem wstrząśnięty swoją wiedzą na jej temat. W dodatku podświadomie czułem, że potrafię ułożyć karty tak, by utworzyły przepowiednię.

-Jaka będzie moja przyszłość? - zapytałem i przetasowałem ostrożnie talię.

Ułożyłem cztery karty wokół Rycerza Kielichów, a piątą przykryłem jego oblicze. Odsłaniałem je powoli. Po prawej stronie był Szubieniczny Dzwon, symbolizujący nieszczęście i upadek, po lewej znajdowało się Miasto Radości - karta wręcz jaśniejąca wesołością, barwna i pełna rozradowanych ludzi. Na dole odsłoniłem Ostrze Zagłady. Wyobrażała srebrne ostrze na smolistoczarnym tle, a na górze Zdrajcę – rysunek uśmiechniętego człowieka z pucharem w dłoni, który lewą dłoń trzymał pod fałdami płaszcza.

A jaka była najważniejsza karta? Karta, która leżała na Rycerzu Kielichów. Coś mi mówiło, bym zaprzestał tej zabawy, żebym złożył karty, lecz pokusa była zbyt mocna. Wziętem głęboki wdech i odsłoniłem ją. Była na niej przedstawiona najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem - sama słodycz, wdzięk, czar i obietnica. Miała oczy zielone jak jeziora jadeitu, a jej jasne włosy spływały za ramiona. Uśmiechała się łagodnie i jakby w zamyśleniu, a ten uśmiech zniewalał i przyciągał. W dłoniach trzymała zamkniętą księgę. Szczupłe palce wydawały się wręcz nieludzko doskonałe.

-Boże - powiedziałem.

To była Śmierć. Skąd wiedziałem, że ta przepiękna dziewczyna symbolizuje Śmierć? Nie było w niej nic złowrogiego. Nic z ciemności, mroku czy żałoby. To fakt: miała zamysłone oczy i uśmiechała się nostalgicznie, lecz to pasowało do delikatnych rysów twarzy.

A jednak była Śmiercią, niezależnie od tego, jak wyglądała. I kiedy przypatrywałem się niezwykłemu rysunkowi, poczułem, że ogarnia mnie słabość. To już nie było takie proste, jak przy poprzednich kartach. Nie mogłem odwrócić wzroku.

Wpatrywałem się w nią jak urzeczony, a jej szmaragdowe oczy stapiały się w jedno z moim wzrokiem. Zanim zdążyłem poruszyć się, ba, nawet pomyśleć, postać z karty stanęła przede mną. W białej sukience na wąskich ramiączkach. Wysoka, prawie tak wysoka jak ja, smukła i zwiewna niczym mgła.

-Lanne Lloch l'Annah - powiedziała dźwięcznym głosem - mój najdroższy Lanne.

Poczułem zapach, przywodzący na myśl łąkę pełną kwiatów i ziół. Słodki i upajający.

-Pani. - Uklęknałem u jej stóp.

-Wstań, kochany - nakazała łagodnie. - A więc tutaj cię znajduję. - Spojrzała na mnie w zamyśleniu - Los i czas płatają nam dziwne figle, mój Lanne. Nie pamiętasz mnie, prawda?

-Ja nic nie pamiętam, pani - odparłem. - Czasem odnajduję strzępy przeszłości, ale... - Rozłożyłem ręce.

-Nie pamiętasz moich pocałunków, Lanne? - zapytała smutno. - Kiedy całowałam cię tam, na pustyni.

-I nie pamiętasz mnie również z dawnych lat?

-Pamiętam smoka - powiedziałem - ale nie pamiętam ciebie. Wybacz.

Kiedy to mówiłem, moje serce rozdzierał żal, że nie pamiętam, iż całowałem te cudowne usta.

-Nie prosz o wybaczenie. To nie twoja wina. Czy chcesz, bym cię teraz znowu ucałowała?

Pragnąłem dotyku jej ust jak niczego przedtem na świecie. Wiedziałem, że da mi wszystko, czego najbardziej pragnę. Ale jednocześnie jakiś głos mi podpowiadał: „Nie, jeszcze nie czas. Jeszcze nie czas”.

-Wydaje mi się - rzekłem z trudem, bo najchętniej wpatrywałbym się bez końca w jej twarz - że powinienem zostać. Chyba muszę coś zrobić, zostałem wezwany...

Umilkłem, nie wiedziałem bowiem, co powiedzieć, poza tym, że zawsze o niej marzyłem i jej pragnąłem.

Pogłaskała mnie delikatnie po policzku, a w jej oczach zalśniły łzy.

-O, tak - westchnęła - biedny Lanne. Tyle bólu, tyle cierpienia, tyle zdrady.

Ujęła w dłoń moją twarz.

-Będę na ciebie zawsze czekała, Lanne. Lata nie sprawią różnicy mnie, która jestem samotna od eonów.

Zawołaj mnie, kiedy zapragniesz mego pocałunku.

- Kim ja jestem? - spytałem z rozpaczą.

- Jesteś, kim jesteś, Lanne - odpowiedziała – jesteś moim rycerzem i moim zbawieniem. Jesteś moją największą miłością. Resztę odnajdziesz sam – dotknęła mojej piersi - w sercu.

Mój Boże, jak bardzo pragnąłem za nią pójść. Wziąć ją za rękę i poczuć jej usta na moich ustach. Zanurzyć się w jej objęciach, w których każda następna chwila byłaby piękniejsza od poprzedniej. Ale nie mogłem.

Byłem, kim byłem - tak jak powiedziała - byłem Lanne Lloch l'Annah i nie mogłem jeszcze odejść.

- Będę o tobie marzył - obiecałem - i śnił. Będziesz w każdym uderzeniu mego serca i w każdym moim oddechu.

- Wiem, kochany. - Uśmiechnęła się. - Wiem, jak mocno mnie pragniesz, i dlatego tym bardziej podziwiam cię, że zostajesz. W końcu zakochałam się właśnie w tobie, prawda?

Znowu uklęknąłem i ucałowałem kraj jej sukni. Byłem przepełniony szczęściem, a jednocześnie pełen żalu i smutku. Szczęściem, bo każda chwila z nią była niczym zbawienie; smutek brał się ze świadomości tego, że za moment będzie musiała odejść. I było w tym uczuciu także cierpienie związane z nadzieją, jaką mi pozostawiała. A więc wystarczyło ją tylko przywołać?

O czym innym będę mógł myśleć, jeśli nie o tym, by w końcu zawołać: „Moja pani, przybądź po mnie!”.

Spojrzała, jakby czytała w moich myślach.

- Teraz odejdę, kochany - powiedziała - lecz na pożegnanie ofiaruję ci pewien dar.

Odsunęła rękaw sukni i ze szczupłego nadgarstka zdjęła srebrną bransoletę w kształcie węża sięgającego po własny ogon. Wąż rozwinął się na jej dłoni i zasyczał. Poglądziła go opuszką palca po głowie.

- Weź go, Lanne, i noś zawsze. Przyniesie spokój myśli i ukojenie. Nie chcę, byś cierpiał, nie chcę, by twe życie było tylko marzeniem o moim powrocie.

Wyciągnąłem dłoń, a wąż zręcznie prześlizgnął się na nią i wsunął pod rękaw kaftana. Poczułem, jak się owija wokół mego nadgarstka, chłodny i zwinny. Potem zamarł i znów był już zaledwie srebrem.

- Zanim odejdiesz, czy mogę zadać ci pytanie? - Podniosłem na nią wzrok.

- Pytaj, najdroższy. O co zechcesz. Lecz wiesz, że mogę nie znać odpowiedzi na twe pytania, prawda?

- Jesteś od zawsze, pani. Moje życie jest mgnieniem oka w porównaniu z twoim. Czy to, że tutaj pozostaję, ma jakiś sens?

- Lanne, ależ tego nikt nie może wiedzieć! Skoro chcesz zostać, widać ma to sens dla ciebie. Nie wiem, czy zmienisz ten świat, a jeśli nawet, to czy będzie miało to jakiegokolwiek znaczenie dla kogokolwiek. Ze mną jednak musisz odejść wolny od pragnień, które są tutaj. Nie możesz tego nigdy żałować, Lanne. Bo z drogi, w którą się wybierzemy, nie ma powrotu. – Spojrzała na mnie, zastanawiając się przez moment. - A przynajmniej teraz już nie będzie. Jeśli poszedłbyś ze mną i choć chwilę żałował tego, co pozostawiasz, to nasza miłość nie byłaby tym, czym mogłaby być. Chcę, żebyś był wolny i szczęśliwy, gdyż wtedy ja będę wolna i szczęśliwa.

Dotknęła palcami mojego policzka.

- Będę tęskniła za tobą - obiecała i jej postać zamigotała w powietrzu.

Przez chwilę widziałem jej uśmiech i zobaczyłem, jak odgarnia włosy z czoła. A potem zniknęła i znowu była tylko na karcie. Wydawało mi się, że wygląda teraz nieco inaczej i że jej oczy są rozjarzone wewnętrznym blaskiem. Ale być może to było jedynie złudzenie. Poczułem, jak srebrny wąż mocniej ściska mój nadgarstek, i miałem wrażenie, że chłód bijący od jego skóry wlewa się w moje żyły i zmierza prosto ku sercu. A później odetchnąłem głęboko i nie czułem już nic.



**O** tym, jak powitała mnie moja majowa przyjaciółka, można powiedzieć wszystko, ale nie to, że było to powitanie gorące. Była uprzejma, lecz chłodna, a ten chłód został jeszcze podkreślony przez strój. Tym razem ubrała się w bluzkę ze stójką i spódnicę za kolana. To było wyraźne przesłanie: „Musisz się bardzo postarać, zanim zobaczysz coś więcej”. Tylko ja nie wiedziałem, czy chcę się starać. Zarówno sny, jak i rzeczywistość przytłaczały mnie za bardzo, bym mógł się przejmować fochami osoby, której prawie w ogóle nie znałem. Choć nie ulega wątpliwości, że lubiłem.

Podawała mi szklanekę soku i usiedliśmy w głębokich fotelach.

-Może chciałbyś mi coś opowiedzieć? - zapytała.

Zastanawiałem się przez chwilę.

-Niekoniecznie - odparłem.

Odgarnęła włosy nerwowym ruchem i zapaliła papierosa, nie częstując mnie.

-Kiedy pierwszy raz do ciebie zadzwoniłam, powiedziałam, że mam pewną propozycję, pamiętasz?

-Pamiętam.

-Nie wiem, czy jest sens, żebym teraz o tym mówiła. - Urwała, jakby czekała na zachętę, ale ja milczałem. - No dobrze. Dostałam dwa bilety lotnicze na Kanary, rezerwację dwuosobowego pokoju w dobrym hotelu na tydzień. Pomyślałam, że może zechcesz mi towarzyszyć. Wylot w sobotę.

Zaskoczyła mnie. To było niespodziewane posunięcie. Aż tak zapadłem jej w pamięci, a może nawet w sercu? Wylot w sobotę, tymczasem ja w piątek miałem zabrać Annę na Krete. Osiołkowi w żłoby dano?

-Dziękuję ci za propozycję - starałem się, by mój głos zabrzmiał ciepło - naprawdę jestem zdumiony...

-Rozłożyłem ręce.

-Zastanów się - patrzyła na mnie nadal chłodno, lecz z wyraźnym oczekiwaniem w spojrzeniu - i daj mi jutro znać.

Nagle wstała i usiadła obok mnie, na szerokiej poręczy fotela. Przejechała mi dłonią po włosach. Nerwowo, mimo to czule.

-Masz kłopoty, prawda? - zapytała. - Mogę ci w jakiś sposób pomóc?

Co mogłem odpowiedzieć? Że pewna dziewczyna śni dla mnie sny, w których jestem bohaterem latającym na grzbiecie potężnego smoka? Zapewne uznałyby, że najlepszą pomocą dla mnie byłaby wizyta u dobrego psychiatry. Sam zresztą zaczynałem mieć wątpliwości, czy nie powinienem się zgłosić do takiego właśnie specjalisty. A może po prostu zniknąć z życia Anny i pozwolić, by ona zniknęła z mojego? Może wybrać się na tydzień na Kanary? Na uroczy tydzień, który spędzę, wylegując się na rozgrzanej plaży z lodowatym drinkiem w dłoni i kochając się z kobietą, z którą lubię się kochać? A co z moją misją w tamtym dziwnym świecie? Co z moim smokiem, który będzie czekał cierpliwie przy zamkowych murach? Co z armią Varrada maszerującą na zamek Kordelii? Co z piękną dziewczyną, której wizerunek zobaczyłem na licu karty i za którą tęskniłem, mimo srebrnej, węzowej bransolety okalającej mój nadgarstek? Zerknąłem machinalnie na przegub. Bransolety, oczywiście,

nie było, za to zobaczyłem, że mam zaczerwienioną skórę, tak jakby ktoś mocno ścisnął mnie w tym miejscu.

-Nie możesz mi pomóc - odparłem i ująłem ją za rękę. - Szkoda, że nie spotkaliśmy się kiedy indziej.

-Masz kogoś, prawda? - Usłyszałem napięcie w jej głosie.

-Nie - powiedziałem po chwili, bo przecież Kordelia była tylko kobietą ze snu, a Anna jedynie przyjaciółką. Jeśli była przyjaciółką. - Nie mam. Ale mam pewne - zastanawiałem się przez moment - zobowiązania.

-Szkoda. - Wstała. - Więc nie pojedziesz ze mną?

Musiałem podjąć decyzję, chociaż nie była to decyzja łatwa. I musiałem podjąć ją teraz, a nie jutro.

-Nie - odpowiedziałem - wybacz.

-Nigdy ci nie przebaczę, choć nigdy też nie przypuszczałabym, że będziesz poprosił o wybaczenie. Nie dam się nikomu ranić. Już nigdy więcej.

-Nie chciałem cię zranić.

-To nie ma znaczenia. Idź już sobie. - Odwróciła się do okna.

Wstałem i postąpiłem pół kroku w jej stronę, po czym się cofnąłem. Tak, to nie miało znaczenia – czy chciałem ją ranić, czy nie. Poświęciłem znajomość z żywą, zainteresowaną mną kobietą na rzecz mrzonek, złud i postaci ze snu. A najgorszy był fakt, iż byłem święcie przekonany, że mam rację. Być może świadczyło to o ogarniającym mnie szaleństwie. Szklankę z resztką soku postawiłem na stoliku i wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi.



**T**ym razem twarz Varrada pojawiła się w małym, upstrzonym muszymi kupami lustrze, w którym usiłowałem się przejrzeć. Był wyraźnie wściekły, choć próbował to ukryć.

- Dałeś nam się we znaki, Lanne. – Usłyszałem w jego głosie nutę niechęci, ale i szacunku. – Zabiłeś i poraniłeś moich ludzi.

-Ostrzegalem cie, ze mam swoja talię - odparłem - i może jest w niej tylko jedna karta, za to bijąca wszystkie twoje.

-Tak, ten twój diabelski smok... - warknął. – Ale jeden smok i pociski nie zniszczą mojego wojska. Zabijesz kilku, może kilkudziesięciu, reszta przejdzie...

-Varradzie, Varradzie - pokręciłem głową – czy naprawdę jesteś aż tak głupi? Zastanów się, co powiedzą twoi żołnierze bombardowani co noc pociskami, wpatrujący się w niebo, w strachu, czy nie zobaczą skrzydeł mego smoka, ciągle przerażeni, coraz bardziej przerażeni i coraz bardziej wściekli? A kiedy się rozłożą pod murami zamku? Czy myślisz, że mój smok nie udźwignie beczek z wrzącą smołą lub choćby z gotującą się kaszą? Jak długo będą mieli ochotę prowadzić oblężenie sieczeni kamieniami, żelaznymi ostrzami i oblewani wrzątkiem? Nie mogą nigdzie znaleźć schronienia? Jak myślisz, po jakim czasie przyniosą mi twoją głowę w darze? Tylko za nadzieję, że puszcze ich wolno?

Varrad wpatrywał się we mnie wzrokiem, w którym szacunek walczył o lepsze z nienawiścią. To, co powiedziałem, musiało otworzyć mu oczy i na pewno dało wiele do myślenia.

-Zanim odejdę, spustoszę wszystko wokół zaniku.

Kordelia będzie rządzić w księstwie ruin. A może wyda mi ciebie w zamian za przyjaźń?

-Myślisz, że mój smok pozwoli mnie wydać? Zabić? Sądzisz, że Kordelia oszalała i chce walki, która rozegrałaby się na dziedzińcu jej zamku? Ilu żołnierzy by poległo, zanim zabiliby mnie i smoka? A nie przyszło ci do głowy, że kiedy wydałaby taki rozkaz, to jej ludzie by się poważnie zastanowili, czy zamiast księżnej nie byłby lepszy książę? Potężny książę na potężnym smoku, potrafiący sam pokonać Varrada i jego przeklętą armię?

-Ha! - Varrad zamyślił się. - Cóż więc zrobimy?

-Wracaj do domu, póki żyjesz – zaproponowałem - i dziękuj bogom, że Lanne Lloch l'Annah ma litościwe serce. Choć być może - zawiesiłem głos - nadejdzie dzień, w którym to ja cię odwiedzę.

-Ty i ja - wycelował we mnie palec - tylko my dwaj. Uczciwa walka na uczciwych zasadach, a wygrywający bierze wszystko.

-Pamiętam twoją uczciwą walkę na pustyni. - Uśmiechnąłem się i ten uśmiech przyszedł mi nawet bez trudu. Sukcesy zatępiły pamięć o dawnych klęskach i ranach. A przynajmniej taką miałem nadzieję. - Nie, lepiej poczekam jeszcze kilka dni i polatam sobie przez ten czas nad twoją armią. Zobaczymy, jaka będzie następna propozycja.

-Tchórzysz, Lanne? - Varrad zacisnął usta. - Odmawiasz mi prawa do pojedynku?

-Nie jesteś godny, by skrzyżować z tobą ostrza - powiedziałem takim tonem, że przez jego twarz przebiegł grymas. - Zdradziłeś mnie i próbowałeś zabić - powinienem raczej rzec: „zabiłeś” - ale powiem twoim ludziom, by wydali cię żywcem. - Zamyśliłem się na chwilę. - I każę cię obwozić po wsiach i miasteczkach w żelaznej klatce.

Wiedział, że z niego drwię, i to wcale nie poprawiało mu humoru.

- Postawię pod murami las szubienic i pali - zagroził - będziecie mogli oglądać sobie z Kordelią, jak umierają jej poddani, i boleć nad własnym tchórzostwem.

Wiedziałem, że to zrobi, a on wiedział, że ja wiem.

Pojedynek był uczciwym rozwiązaniem. Łatwym rozwiązaniem. Łatwym dla Lanne Lloch l'Annah. Ale nie dla mnie. Ja bowiem nie miałem jeszcze okazji walczyć mieczem, który tak dumnie nosiłem w pochwie przewieszanej przez plecy. Varrad musiał być pewien własnych sił, skoro dążył do pojedynku. Nie bał się konfrontacji z Lanne Lloch l'Annah, więc ja powinienem bać się konfrontacji z nim. Czy kiedy ujęm rękojęść mego miecza, czy kiedy jego ostrze zabłyśnie w promieniach słońca, to wtedy poznam nagle tajniki szermierczego kunsztu? Czy też raczej po kilku nieporadnych ruchach, cięciach i zasłonach umrę z ustami wypełnionymi krwią? Nie bałem się śmierci, lecz nie chciałem umierać właśnie w taki sposób i właśnie z ręki tego człowieka. Wiedziałem jednak, że spełni swoją groźbę, a nie byłem w stanie znieść myśli o tym, że nieznani mi i niewinni ludzie będą cierpieć i umierać z mojego powodu. Cóż, byłem człowiekiem XXI wieku i widok śmierci oraz tortur był mi obcy i wstrętny. Przynajmniej na razie. Chociaż... w końcu zbombardowałem armię Varrada kamiennymi pociskami, zdając sobie sprawę, że ranie i zabijam zwykłych żołnierzy, idących bezwolnie tam, gdzie poprowadzi ich wódz, któremu ślubowali posłuszeństwo. Cóż się stanie, kiedy Varrad zabije mnie na oczach Kordelii, wodzów i żołnierzy obu armii? Legenda Lanne Lloch l'Annah zginie wraz z moją śmiercią.

Gorzej, że Kordelia nie oprze się szturmującym.

A smok? Co się stanie z istotą, z którą połączyły mnie zdumiewające więzy o nieznannej sile? Odpowiadałem nie tylko za swój los, również za los innych. I trzeba było dokonać wyboru.

-A więc ty i ja - zdecydowałem wbrew sobie i wbrew logice - pieszo, bez zbroi, tarczy, z nagim mieczem w dłoni. I bez magicznych sztuczek. Pamiętaj o tym, bo mój smok będzie stał obok.



Swoich szans upatrywałem w szybkości oraz jednym, celnym ciosie. Gdybyśmy stanęli naprzeciw siebie okuci w ciężkie zbroje i z tarczami w dłoniach, zabiłby mnie prawdopodobnie tak łatwo jak zamkniętego w skorupie żółwia.

Machinalnie sięgnąłem do lewego nadgarstka i przesunąłem palcami po srebrnej bransolecie w kształcie węża. Cały czas czułem jej ucisk, ale nie można było jej ani zdjąć, ani rozluźnić. Kiedy dotykałem zimnego metalu, przez chwilę zdawało mi się, że wąż drgnął.

-Mamy się więc bić jak hołota? - Varrad się skrzywił. - Szkoda, że nie chcesz, byśmy walczyli pałkami albo kijami.

-Cóż, zastanów się - powiedziałem. - Dziś w nocy znowu przelecę się nad twoją armią. Może to pomoże ci w podjęciu decyzji.

-Zresztą, co za różnica w jaki sposób cię zabiję?

- Wzruszył ramionami. - Niech będzie po twojemu.

Mam nadzieję, że pamiętasz choć część sztychów, których cię wyuczyłem?

Czy naprawdę był aż tak dobry, by uczyć Lanne Lloch i'Annah zasad szermierki? Zapewne dowiem się tego dopiero wtedy, kiedy staniemy naprzeciw sobie na ubitej ziemi. I zapewne będzie wtedy zbyt późno na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków.

-Gdzie i kiedy? - zapytałem, ignorując jego pytanie.

-W tej pięknej dolinie pomiędzy Kowadłami - odparł i uśmiechnął się lekko. - Pamiętasz ją, Lanne?

Dopóki nie zadał pytania, nie pamiętałem. Lecz, kiedy usłyszałem słowo „Kowadła”, wyrósł mi przed oczami obraz dwóch płaskich wzgórz, pomiędzy którymi wił się strumień. Mała dolinka leżała tuż przy rozlewisku, tam gdzie woda przeciskała się wśród wielkich, wygładzonych w ciągu wieków głazów. Przypomniałem sobie pewien dzień, kiedy siedzieliśmy na trawie, piliśmy wino i ogryzaliśmy z mięsa soczyste kapłony, a nasze konie pasły się tuż obok. Był to dzień upalny i parny, pełen planów na przyszłość, pełen rubasznego śmiechu Varrada, dzień, który zakończył się noclegiem w zroszonej rosą trawie i długim, chwiejnym powrotem do zamku Kordelii o poranku. Tak, pamiętałem tę dolinę, i powiedziałem o tym Varradowi.

-Wszystko może wrócić, Lanne - rzekł ciepłym głosem - myślisz, że nie boleję nad śmiercią naszej przyjaźni? Powiedz tylko słowo, a będziemy tam pić i jeść, zamiast krzyżować ostrza.

-A nóż w plecy wbijesz mi, kiedy już zjemy, czy wcześniej? - Zaśmiałem się, choć jego słowa zabolaty bardziej, niż chciałbym przyznać przed samym sobą.

Milczał przez kilka chwil.

-Cóż... Nikt nie powie, że nie pragnąłem zgody. - Tym razem nie był to już głos przyjaciela, lecz dyplomaty. - Zjaw się pojutrze o świcie. Będą mi towarzyszyć dwaj generałowie oraz kilkoro sług...

-Kilkoro? - zapytałem.

-Powiedzmy: sześciu - odparł. - A tobie?

-Będę ja i mój smok - rzekłem, ale w tym momencie pomyślałem, że może, kiedy będę umierał, chciałbym mieć przy sobie życzliwą ludzką istotę. - I jeden żołnierz. Pamiętaj, Varradzie, że z grzbietu smoka dostrzegę, czy nie szykujesz zasadzki - dodałem. - Jeśli zobaczę kogoś więcej, zabiję was wszystkich.

-Niech i tak będzie - zgodził się. - A jakie ja mam gwarancje, że twój smok nie zaatakuje nas, kiedy umrzesz?

-To się nie stanie - powiedziałem, ale sam nie wiedziałem, czy mówię o ataku smoka, czy o swojej śmierci - masz moje słowo. I pamiętaj, że jeśli użyjesz przeciw mnie magii, smok również was wszystkich zabije.

-Masz mnie za idiotę? - zapytał bez gniewu w głosie. - Nie chcę mieć do czynienia z twoim potworem.

Chcę zakończyć sprawę uczciwie i szybko.

-A więc do zobaczenia pojutrze - odsunąłem się od lustra - mój ty uczciwy człowieku.

-Lanne! - Usłyszawszy wołanie, odwróciłem się. - Przykro mi, że to się kończy właśnie w taki sposób.

Byłem pewien, że w jego głosie słyszę naprawdę szczery żal.

-Mnie też, przyjacielu - powiedziałem - mnie też.



**P**ostanowiłem opowiedzieć Kordelii o tej rozmowie. Kiedy wszedłem do komnaty, czesała włosy. Była ubrana w białą, prostą suknię. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

-Słyszałam, że miałeś gościa, Lanne. Czego chciał?

-Wybaczenia - odparłem natychmiast, gdyż spodziewałem się tego pytania.

-A co przyniósł w czarnym pudełku inkrustowanym srebrem?

- Gratuluję, widzę, że odrobiłaś lekcje.

Popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc.

- Nic nie uniknie twemu spojrzeniu – wyjaśniłem grzecznie.

- A odpowiedź na moje pytanie? Kto to był?

- Mistrz Hamrod - odrzekłem, nie widziałem bowiem sensu w ukrywaniu przed nią tej informacji.

- Któż taki? - Zmrużyła oczy.

- Nie znasz własnych poddanych, Kordelio?

- Tego imienia jakoś nigdy nie słyszałam. - Przyglądała mi się podejrzliwie.

- Pojutrze będę się pojedynkował z Varradem - obwieściłem, nie mając chęci kontynuować poprzedniego wątku - w dolinie między Kowadłami.

- Będziesz się pojedynkował z Varradem - powtórzyła. - Czyś oszalał?!

- Nie - wzruszyłem ramionami - to uczciwe rozwiązanie.

- Biorąc pod uwagę, że jest najlepszym szermierzem, jakiego znałam, to tak: uczciwe. Dla niego. Co ty knujesz, Lanne? Chcesz go wciągnąć w pułapkę i zabić?

Nie można powiedzieć, by wierzyła w moje zdolności. Nie można też powiedzieć, by jej uznanie dla umiejętności Varrada mogło być dla mnie pocieszeniem.

- Zamierzam się z nim bić - odparłem - nie jestem zdrajcą.

- Nie? - zapytała z ledwo dającym się słyszeć szyderstwem w głosie. - Skoro tak mówisz.

- Dlaczego Varrad ma mnie zabić? - Poczulem, jak ogarnia mnie wściekłość. - Dlaczego sądzisz, że to on zwycięży?

Spojrzała na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- Dlatego, że nazywają go Varrad-od-Miecza? Dla tego że przez kilka lat uczył cię fechtunku? A może dlatego że pokonał w pojedynkach więcej ludzi niż ktokolwiek inny kogo znałam? Wybierz, którą chcesz z tych odpowiedzi. A teraz szczerze: każesz smokowi go zabić?

- Nie, do cholery! - krzyknąłem. - Zamierzam stanąć do uczciwego pojedynku. On i ja. Bez zbroi, bez tarczy, każdy z nagim mieczem!

- Aha. - Spoglądała na mnie niczym entomolog na okaz wyjątkowo rzadkiego owada. - Aha – powtórzyła i wróciła do czesania włosów.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Na razie tak. Może przyjdzie mi jeszcze coś do głowy, kiedy będę układała epitafium na twoim grobowcu.

-Potrafisz dodać otuchy, Kordelio - warknąłem. Byłem już naprawdę wściekły. -  
To ładne podziękowanie za ostrzeżenie i walkę.

Odłożyła szczotkę z takim impetem, że wykładana perłową macicą rączka pękła na dwoje.

-Czego ode mnie chcesz, Lanne?! - krzyknęła, wstając. - Przyjeżdżasz tu i przypominasz mi o dawnych dniach, tylko po to, by zaraz dać się zabić? Czy myślisz, że nie mam żadnych uczuć? Myślisz, że z radością usłyszę, że zginąłeś z jego ręki? Tak, kiedyś sama chciałam cię zabić. Kiedyś. Może czasem czuję to i teraz. Ale nie on, Lanne! Nie on!

Próbowałem ją objąć, zdumiony zarówno tym wybuchem, jak i tak nagłym wyznaniem uczuć. Ale wymknęła się z moich ramion, zwinnie jak kot.

-Nie bądź głupi, Lanne. Ściągnij go do doliny i zabij. Po tym, co ci zrobił, nikt nie uzna tego za zdradę.

-Ja uznam. - Odwróciłem się w stronę drzwi.

-Zmieniłeś się - usłyszałem na pożegnanie - bardzo się zmieniłeś, Lanne Lloch l'Annah. Szkoda, że nie będę mogła bliżej poznać tego nowego wcielenia.

A to jeszcze zobaczymy, pomyślałem, lecz teraz wiedziałem już równie dobrze jak ona, że zielona, soczysta trawa doliny, która poła się winem wylewanym z naszych kielichów, pojutrze napoi się moją krwią.

Nie było jednak we mnie strachu ani żalu, tylko zimna wściekłość. Srebrny wąż poruszył się niespokojnie na nadgarstku i kiedy wychodziłem z komnaty Kordelii, znowu poczułem w przegubie dłoni lodowate ukłucie, które niczym sopel popłynęło żyłami do serca. Jak wtedy, gdy go dostałem.



**J**ednopiętrowe budynki hotelu tworzyły podkowę, pośrodku której znajdował się duży basen. W wodzie taplało się leniwie parę osób. Dziewczyna o oliwkowej cerze i jasnych włosach, leżąc na leżaku, łapała jeszcze ostatnie promienie słońca, a kiedy weszliśmy, zsunęła przeciwsłoneczne okulary i przyjrzała się

nam uważnie. Wszędzie rosły bujne, zielone krzaki, obsypane pąkami czerwonych kwiatów. Dostaliśmy dwupokojowy apartament na piętrze; wchodziło się do niego po schodkach biegnących na zewnątrz budynku.

-Ślicznie tu - stwierdziła Anna.

-Jeśli macie cenne przedmioty, radzę skorzystać z sejfu - powiedziała przysadzista kobieta w średnim wieku, która skierowała nas do apartamentu. - Ręczniki i pościel zmieniamy co drugi dzień.

-A gdzie jest plaża? - zapytałem.

Uśmiechnęła się i machnęła dłonią.

-Za oknem. Do miasta jeżdżą autobusy z tego przystanku - machnęła dłonią w drugą stronę - a zaraz obok możecie wypożyczyć skuter albo samochód.

-Dziękuję - powiedziałem i wnieśliśmy do pokoju torby. - Najpierw się rozpakujemy czy mały spacer? - zapytałem Annę.

-Może spacer - odparła po chwili namysłu. - Skoro słońce już zachodzi, to chyba dobra pora, żeby się przejść po mieście.

-O, tak. I znaleźć miłą, grecką tawernę, w której będę mógł przez dłuższy czas poświęcać się jedzeniu!

-Taki jesteś głodny?

-Jak wilk. Na samą myśl o tsatsiki ze świeżym pieczywem robi mi się po prostu błogo. A potem ogromna porcja suvlaki i na deser baklava z lodami. Ach - westchnąłem teatralnie.

-Chyba będę musiała się nauczyć greckich nazw, bo na razie nic a nic mi nie mówią. - Uśmiechnęła się.

-Dobrze. Ale wykład już na miejscu.

Do centrum miasteczka dojeżdżał prawie pusty autobus. Angielscy turyści z puszkami piwa w dłoniach pokrzykiwali coś do siebie tak koszmarną angielszczyzną, że nie rozumiałem niemal niczego z ich rozmów, poza często powtarzonym słowem *fuck*. Dziewczyny były grubokościste, blade, z ogromnymi tatuażami na przedramionach, a chłopcy nosili czapeczki odwrócone daszkiem do tyłu. Jednak jak na Anglików zachowywali się nawet w miarę przyzwoicie, to znaczy nie interesował ich nikt spoza własnego towarzystwa.

Jak w większości greckich miasteczek, zabytkowe centrum było plątaniną wąskich uliczek, zabudowanych niewysokimi domami, między którymi z trudem przeciskały się tłumy przechodniów. Na zewnątrz wystawiano mnóstwo towarów. Od pamiątkowych T-shirtów, poprzez naturalne gąbki w kształtach sugerujących, że

tworzący je Pan Bóg musiał akurat mieć figlarny humor, aż po owoce morza. Przy jednym ze sklepów stała akwaria z żywymi krabami i homarami, które leniwie ruszały szczypcami ku uciechu zgromadzonych przed nimi dzieci. My też przystaliśmy, podziwiając ogromne skorupiaki, chociaż jak zwykle zrobiło mi się trochę żal, że zamiast pływać sobie spokojnie w morzu, muszą czekać, aż wybierze je klient, po to by zaraz potem sprawiono im bardzo gorącą i bardzo ostatnią kąpiel.

Zboczyliśmy w jedną z uliczek odchodzących od głównych handlowych szlaków. Było tu nieco luźniej i tylko niemiecka para sprzeczała się w swym jakże uroczym i śpiewnym języku, czy kupić różową koszulkę z jaskrawozielonym napisem „Marina”. Na drzwi sklepu z porcelaną wpadliśmy właściwie przypadkiem. Na wystawie przeżyły się mitologiczne stwory, zawały ją stosy talerzyków, filiżanek i popielniczek we wszelkich kolorach, z namalowanymi przeróżnymi scenami. Pokazałem Annie wazę, na której kilka wyrysowanych postaci było splątanych w nad wyraz odważnej i nie do końca heteroseksualnej scenie erotycznej.

Roześmiała się.

- Wejdziemy? - zapytała.

- Czemu nie?

Zerknąłem raz jeszcze na wazę i pomyślałem, że obrazek przedstawia chyba Achillesa oddającego się przyjemnościom z Patroklosem i towarzyszami po znojnym dniu bitwy.

Sklepik był niewielki, zagracony ponad miarę. Naprawdę trzeba było uważać, przeciskając się pomiędzy półkami i regałami, załadowanymi do granic możliwości, głównie porcelanowymi oraz fajansowymi naczyniami. Anna oglądała właśnie jakieś dwie urokliwe czarki na wino, kiedy w kącie dostrzegłem leżącą na podłodze kartę. Leżała licem obróconym do góry, a postać na niej wyrysowana uśmiechała się do mnie i unosiła puchar z winem. Nie musiałem specjalnie się zastanawiać, by rozpoznać, że jest to taka sama karta, jak ta, którą widziałem we śnie. Karta Rycerza Kielichów. Karta symbolizująca mnie. A przynajmniej tak to sobie wyobrażałem. Zbliżyłem się i podniosłem ją. Była twarda, chłodna w dotyku, jakby przez dobrą chwilę leżała w głębokim cieniu. Obejrzałem ją dokładnie. Nie ulegało wątpliwości, że bliźniaczo podobną kartę widziałem we śnie. Roześmiany blondyn z zielonymi, zuchwałymi oczyma. Jego kaftan był równie zielony jak oczy, bogato szamerowany srebrem. Mężczyzna miał u boku wąski miecz, czy raczej rapier. Odwróciłem kartę. Pamiętałem, jak głęboka była czerń koszulek talii ze snu.

W tym wypadku jednak nie były czarne. Widniała na nich skomplikowana przeplatanka czerwonych i zielonych rombów. Tak zagmatwana, że trudno było odróżnić poszczególne figury, a wszystko zlewało się w czerwono-zielony galimatias.

Podszedłem do sprzedawcy, który ze stoickim spokojem czytał sportową gazetę i nie zwracał na nas uwagi.

- Komu pan kibicuje? - zapytałem.

- Jak to komu? - Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Pewnie, że Koniczynkom.

Koniczynkami nazywano, znakomity skądinąd, zespół Panathinaikosu Ateny, a lokalna drużyna OFI Kreta stanowiła jego nieoficjalne zaplecze.

- Wygrali?

- Zremisowali - westchnął i popatrzył na kartę w moim ręku.

- Chciałbym ją kupić - powiedziałem. - Nie ma pan przypadkiem reszty talii?

Wziął kartę z moich palców i przyjrzał się jej z wyraźną konsternacją.

- Gdzie pan to znalazł?

- Leżała na półce.

- To jakiś żart? - Łypnął na mnie podejrzliwie. - Nigdy nie sprzedawałem takich kart. W ogóle nigdy nie sprzedawałem kart!

- Tak czy inaczej, chciałbym ją kupić – spojrzałem na Annę, którą podchodziła właśnie z dwoma naczyniami w rękach - i te dwa pucharki.

- Pięć tysięcy - powiedział - a kartę proszę sobie wziąć, jeśli pan chce. Nie jest moja. Pewnie zgubiło ją jakieś dziecko.

Anna popatrzyła na nas ze zdziwieniem, później przyjrzała się Rycerzowi Kielichów. Czy mi się tylko wydawało, czy pobladła? W każdym razie w milczeniu podała Grekowi pucharki, a on zajął się pakowaniem.

- Widzisz, co to jest? - spytałem.

- Widzę - odrzekła.

- Poznajesz ten rysunek?

- Tak.

- To wszystko? „Widzę” i „tak”?

- A co mam jeszcze powiedzieć?

- Na przykład to, że jesteś zdumiona, widząc w rzeczywistym świecie przedmiot, który jest identyczny z przedmiotem z mojego snu. - Starłem się mówić spokojnie, ale nie wiedziałem, czy mi się to udaje. - Bo ja jestem zdumiony.

-Porozmawiamy przy kolacji. - Uśmiechnęła się do sprzedawcy i odebrała zręcznie zapakowaną paczuszkę.

Wyjąłem z portfela pięć banknotów po tysiąc drachm i zapłaciłem. Grek wrócił do czytania gazety.

-Dobrze - odparłem. - Jeśli chcesz, porozmawiamy przy kolacji, ale chciałbym kiedyś usłyszeć odpowiedzi na pytania, które zadaję.

Wybraliśmy niewielką tawernę z tarasem wychodzącym na brzeg morza. Anna była wyraźnie nie w humorze, wybrała coś z menu szybko, na chybił trafił, nie pytając mnie nawet o nazwy potraw. Postanowiłem jednak na razie nie przejmować się jej nastrojem. Zapomniałem już, jak to jest siedzieć w knajpce wystawionej na podmuchy wieczornej bryzy, popijać białe, dobrze schłodzone wino i jeść tłuste krewetki o smutnych oczach z czarnych guziczków. Teraz zamierzałem sobie to wszystko przypomnieć i nie miałem ochoty, by ktokolwiek lub cokolwiek zepsuło mi tę przyjemność. Czas na martwienie się kłopotami być może przyjdzie później. Właściciel tawerny przysiadł się do nas na chwilę, by spytać, skąd jesteśmy i jak długo zostaniemy, po czym nalał nam po szklaneczce ouzo, które zmieniło kolor na mlecznobiały, kiedy rozcieńczył je wodą. Wódka pachniała niczym anyżkowe cukierki, a to był zapach mojego dzieciństwa.

Jak dziś, pamiętałem wysokie, metalowe puszki pełne lepkich landrynek o mocnym, anyżowym aromacie.

Stuknęliśmy się szklankami i nawet Anna uśmiechnęła się do właściciela, na Krecie bowiem nie sposób przez dłuższy czas mieć złego humoru. Ta wyspa, jak żadna inna, pozwalała człowiekowi zapominać o troskach.

Być może to my, narody z dzikiej Północy, zahartowani życiowymi trudami traperzy, myśliwi i wojownicy kształtowaliśmy oblicze współczesnego świata, ale swój właściwy sens odnajdzie on tylko na ciepłych wyspach, gdzie jedynym zmartwieniem człowieka jest zastanawianie się, jakie można by przygotować na jutro atrakcje.

Kiedy kelner przyniósł krewetki, spojrzałem z uznaniem na ogromny talerz, pełen długich na pół dłoni, wąsatych skorupiaków. Właściciel życzył nam smacznego i koniecznie namawiał, by jutro na obiad skosztować homarów. Rozlałem do kieliszków resztkę wina. Było młode, o kolorze dojrzałych i napęczniałych od słońca winogron. Stuknąłem kieliszkiem o kieliszek Anny.

-Za Grecję. I niech te wakacje będą naprawdę miłe.

Poważnie skinęła głową.



-To dobry toast - powiedziała - i zobaczysz, że się spełni.

Cóż, pomyślałem smakując wino, przynajmniej można mieć taką nadzieję.

Postanowiliśmy wracać do hotelu na piechotę, wzdłuż promenady ciągnącej się przy samej plaży.

Po prawej stronie mijaliśmy rząd sklepów i knajpek. W czasie pory kolacji wyrosli tu jak spod ziemi naganiacze, którzy głośno, choć nie nachalnie, i serdecznie zapraszali do swoich lokali. Pomyślałem, jak wiele straciłem przez ostatnie lata, nie wychylając nosa z wielkiego miasta i startując w wyścigach szczurów, które nigdy ani mnie nie podniecały, ani nie bawiły. A przecież prawdziwe, warte grzechu życie toczyło się w miejscach takich jak to. Zgiełk wielkiego miasta, jego mroczne problemy i pospieszne radości zostały gdzieś daleko, skryte za linią horyzontu, na której seledynowe morze spotykało się z błękitnym niebem.

I kiedy byłem już bliski pograżenia się w rozmarzeniu i patrzenia na świat z wielkoduszną łagodnością, zobaczyłem coś, co mnie zaniepokoiło i odebrało mi humor. Oto (a chwila ta trwała tak krótko, że gdybym zmrużył właśnie oczy, nic bym nie dostrzegł) zobaczyłem znajomą postać. Wysoka kobieta z piękną twarzą i krótkimi, ciemnymi włosami, ubrana w błękitną sukienkę bez ramiączek. Mignęła tylko wśród tłumu i zaraz zniknęła za czymiś plecami. Ale nie miałem wątpliwości, że jest to moja urocza nieznajoma, z którą spędziłem tak miłą noc przed wyjazdem do Grecji. Albo ktoś, kto przypominał ją niczym dwie krople wody. Tymczasem ona miała być na wakacjach. Na Wyspach Kanaryjskich, a jeśli dobrze pamiętałem, od Teneryfy czy Gran Canarii dzieliły nas co najmniej trzy tysiące kilometrów. Długość całego Morza Śródziemnego i jeszcze trochę. Zatrzymałem się jak wryty. Nie miałem szans wyśledzić jej w tłumie, który zniknął właśnie w lokalach i sklepach. A szkoda, bo bardzo chciałem się przekonać o własnym błędzie i o tym, że zobaczyłem kobietę jedynie podobną do niej. A jeśli to rzeczywiście ona? Ha, w takim razie znalazłem się w tarapatach, gdyż oznaczało, że celowo udała się moim śladem. Nie wierzę w przypadki, a podejrzewam, że prawdopodobieństwo przypadkowego spotkania jej na Krecie było mniej więcej takie, jak wpadnięcia meteorytu do torby na zakupy.

-Co się stało? - zapytała Anna, przyglądając mi się ze zdziwieniem.

-Nic, nic - odparłem - wydawało mi się, że zobaczyłem kogoś znajomego.

Przetarłem oczy dłonią.

-Ale to musiał być tylko ktoś bardzo podobny - powiedziałem, usiłując pocieszyć i przekonać samego siebie.

Radosny nastrój prysnął. Znowu poczułem się, jakbym uczestniczył w grze, w której byłem zaledwie pionkiem. Stawiano mnie tu i tam na szachownicy, i mogłem się jedynie zastanawiać, czy zamiarem gracza jest zamiana mnie w hetmana, czy też poświęcenie w przemyślnym gambicie. Zresztą, jeśli byłem naprawdę pionkiem, to żadne przemyślnie gambity nie były potrzebne. Pionki poświęca się czasem tylko po to, by zyskać przewagę pozycyjną, a nie materialną. Tak czy inaczej, z całą pewnością rola pionka nie była moim wymarzonym sposobem na życie. Co w zasadzie mogłem zrobić? Ha! Wszystko! Wyjechać z Grecji. Po prostu spakować się i wsiąść w najbliższy samolot albo chociażby na prom płynący na kontynent. Zerwać tę dziwną i niesamowitą znajomość. Ale jednak doskonale zdawałem sobie sprawę, że ciekawość przemoże. Czy mógłbym spokojnie spać, wiedząc, że ominęła mnie tak niezwykła przygoda? Wejść znowu w kierat codziennych zajęć i obowiązków, pospiesznych przyjemności? Dać umknąć tajemnicy? Dlatego wiedziałem, że jeśli sytuacja nie zrobi się niebezpieczna, będę brnął dalej.

Milczeliśmy aż do momentu, kiedy usiedliśmy na krzesłach w pokojowym hotelu.

- Może drinka? - spytałem, a Anna skinęła apatycznie głową.

Nalałem nam po szklaneczce whisky i wrzuciłem po dwie kostki lodu, choć zwykle doprawianie whisky lodem uważam za barbarzyństwo. Ale w pokoju było naprawdę bardzo ciepło. Klimatyzacja niby działała, mimo to nie wydawało się, by to działanie przynosiło jakiegokolwiek efekty poza cichym jednostajnym szumem. Anna ujęła w dłoń szklanekę i przekręciła ją kilka razy w palcach.

- Kogo zobaczyłeś? - zapytała.

- Kogoś, kogo tu nie powinno być - odpowiedziałem ostrożnie - ale nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z tobą. Może lepiej odpowiesz mi, co w greckim sklepie z pamiątkami robiła karta z mojego snu?

Wyjąłem z portfela kartę i położyłem na stole. Rycerz Kielichów uśmiechał się przekornie. Rysunek był wykonany z niezwykłym kunsztem. Każdy szczegół stroju postaci, ba, nawet ornament na kielichu czy krople wina były tym bardziej wyraźne, im dłużej się w nie wpatrywałem. Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się za popielniczką. Znalazłem ją za zasłoną i postawiłem na stole.

Anna cały czas milczała.

- Doczekam się odpowiedzi?

- Dlaczego myślisz, że znam wszystkie odpowiedzi? - rzuciła rozdrażniona. - To karta do tarota. Takich wzorów muszą być setki tysięcy na całym świecie.

- Nie sądzę, żeby to była karta do tarota - odparłem.

- Sądzę natomiast, że ktoś zostawił ją w tym sklepie.

Ktoś, kto był tam chwilę przed nami i chciał, żebym ją znalazł. Tylko co to ma być: ostrzeżenie? A może oznaka sympatii? Zachęta do kontaktu?

- Fantazjujesz. - Pokręciła głową.

- Fantazja i rzeczywistość zaczynają mi się zacierać.

- Nawet się nie uśmiechnąłem. - A to, że jestem tutaj z tobą wydaje mi się tak samo realne, jak to, że jutro... że w moim śnie - poprawiłem się - będę walczył z dziwnym facetem, który koniecznie chciał mnie kiedyś zabić. Nie sądzisz, że powinnaś wreszcie powiedzieć mi, co jest grane? Jeśli mam ci pomóc, wolałbym robić to świadomie.

Tak naprawdę zastanawiałem się, czy chcę jej w czymkolwiek pomagać. Wykorzystywała mnie w sobie tylko wiadomym celu, choć, Bóg mi świadkiem, nie miałem pojęcia, na co komu mogły być potrzebne moje sny.

- No dobrze - upiła łyk i skrzywiła się lekko - przypuśćmy, że są ludzie, którzy bardzo poważnie traktują to, co się dzieje w twoim śnie, i którzy chcieliby nas rozdzielić. Napad w twoim mieszkaniu był ostrzeżeniem dla ciebie i dla mnie. Ta karta może znalazła się w sklepie przypadkowo, a może nie. Jeśli nie, to znaczy, że ktoś wie, że tu jesteśmy. A karta jest sygnałem ostrzegawczym.

- Dlaczego ktoś miałby poważnie traktować moje sny? - zapytałem. - I zadawać sobie aż tyle trudu?

Uczestniczyłaś w jakichś wojskowych eksperymentach? Byłaś w sekcie? W służbach specjalnych?

- Nie, nie i nie, nic z tych rzeczy.

Dopiła alkohol jednym haustem. Lód w szklance zdążył się dawno rozpuścić.

- Jestem zmęczona - powiedziała - muszę się przespać.

Chciałem zaprotestować, lecz przerwała mi niecierpliwym ruchem dłoni.

- Proszę cię. To wszystko nie jest takie proste. Nie naciskaj. Postaram się powiedzieć ci, co wiem, ale daj mi trochę czasu.

Zgasilem papierosa w popielniczce i starannie go rozgniotłem. Obietnice. Słyszałem je z jej ust już nie po raz pierwszy.

- Cóż - odparłem - skoro tak chcesz.

Sam byłem śpiący i zmęczony. Nie miałem ochoty na rozmowy z Anną, polegające na wydzieraniu jej z gardła każdego zdania. Może rzeczywiście powinniśmy się przespać. Poza tym bardzo mnie interesowało, jak się zakończy historia pojedynku z Varradem. Przecież w moim śnie miałem stawić czoło słynnemu szermierzowi i, oczywiście, jako główny bohater pozytywny, wyjść zwycięsko z tego starcia.

Przynajmniej tak być powinno, co nie oznaczało, że tak być musiało. Rozmowa mogła faktycznie poczekać do jutra. Liczyłem, że dowiem się więcej, kiedy Anna zdecyduje się na szczerość i nie będę jej musiał do niej przymuszać na każdym kroku.

-Okej - powiedziałem. - Kto się kąpie pierwszy?

Spojrzała na mnie z wdzięcznością.

-Może ja, jeśli pozwolisz.

Siedziałem, paliłem papierosa i słuchałem szumu wody lejącej się z prysznicza.



**N**ocy poprzedzającej pojedynek nie spędziłem z Kordelią. Bóg mi świadkiem, że bardzo tego pragnąłem, wiedziałem jednak, iż o świecie przyjdzie mi skrzyżować miecz z człowiekiem, którego kunszt szermierczy przewyższa wszystko, czego mógłbym się nauczyć przez całe życie. Siedziałem w swojej komnacie i przyglądałem się mieczowi. Wyjąłem ostrze z pochwy; wymknęło się z niej, niczym posmarowane olejem. Na ciemnosrebrnej powierzchni dostrzegłem rząd znaków przypominających skandynawskie runy.

Co symbolizowały? Nie miałem najmniejszego pojęcia. Równie dobrze mogły być podpisem płatnerza jak magicznym zaklęciem. Ostrze miało mniej więcej cztery stopy długości. Kiedy oparłem rękojeść na biodrze, zubek miecza dotykał ziemi. Krawędzie były ostre niczym brzytwa. Bardzo ostrożnie przeciągnąłem po nich palcami, tak jakbym sprawdzał żyletkę, a mimo to ujrzałem, że po metalu spływa strużka krwi. Uniosłem palce do oczu i zobaczyłem, że są rozcięte. Dziwne, nawet nie czułem bólu. Przypomniała mi się opowieść o samurajskich mieczach, które zanurzone w górskim strumieniu potrafiły przeciąć płynący po wodzie liść.

Czyżby mój miecz należał do tej niezwykłej rodziny niemal magicznego oręża, którego tajniki wykuwania dawno temu zaginęły we mgle historii? A może w tym świecie płatnerze nadal dysponowali tak cudownymi zdolnościami, by wytwarzać podobną broń? Ale nie, coś mi mówiło, że mój miecz jest orężem wyjątkowym, że jest tak wyjątkowy, jak ja i towarzyszący mi smok. Czy wobec tego miałem prawo nim walczyć? Ja, który nie byłem Lanne Lloch l'Annah, lecz jedynie używałem jego imienia? Przecież wiedziałem, że potrafię jedynie zamachnąć się niczym cepem lub

kosą, nieporadnie, bez kunsztu ani maestrii. A może we śnie zyskałem niezwykle umiejętności szermiercze? Ująłem rękojeść w prawą dłoń i bez przekonania kilkakrotnie przeciąłem powietrze. Nic nie wskazywało na to, żebym był w stanie wykonać wyrafinowane bloki, finty lub parady. Ot, moja znajomość sztuk walki sprowadzała się do obejrzenia kilkunastu filmów płaszcza i szpady oraz *Kill Bill* w reżyserii Tarantino. Zobaczyłem ćmę, która wpadła do pokoju przez uchylone okiennice, zwabiona blaskiem świec, i nagle moja dłoń, jakby wbrew woli, zatoczyła krótkie kółeczko, a martwy, przecięty na pół owad spadł na podłogę. Zamarłem.

Szybko lecącą ćmę niełatwo jest trafić nawet zwiniętą w rulon gazetą. A ostrze tego miecza nie przypominało zwiniętej w rulon gazety, było mniej więcej grubości krawędzi żyłki. Czy mogłem sobie kiedykolwiek wyobrazić, że trafię ćmę żyłką? Nie! W najśmielszych snach! Przyjrzałem się mieczowi z jeszcze większym szacunkiem. Czy moc tkwiła w nim, czy we mnie?

Czy pojawienie się tego nieszczęsnego owada podziałało jak wyzwalacz mego instynktu szermierza oraz zabójcy? Czy też miecz sam dostrzegł cel i zaatakował go, zmuszając dłoń do wykonania stosownych ruchów?

Dość już widziałem wszelakich dziwów, by poważnie brać pod uwagę drugą ewentualność. Chociaż, rzecz jasna, wolałbym, aby prawdziwa była pierwsza. Zresztą w czasie walki z Varradem nie mogłem liczyć na podobne cuda. Varrad na pewno nie przypominał bezbronnej ćmy lecącej do światła. Był nauczycielem szermierki i zabójcą, człowiekiem, którego powinien się bać sam Lanne Lloch l'Annah, a nie tylko ja, żyjący w chwale jego cienia. Czy mogłem jednak wykorzystać przeciwko Varradowi fakt, że wychowałem się w XXI wieku? W epoce betonu, szkła, stali i komputerów? Nie przychodziły mi do głowy żadne pomysły, które mogłyby przeciwstawić moją wiedzę jego kunsztowi. Szczerze mówiąc jedyną stosowną lekturą, o której pomyślałem, był *Jankes na dworze króla Artura*, ale nie miałem szczęścia wiedzieć, kiedy tu nastąpi kolejne zaćmienie słońca. Schowałem miecz do pochwy i położyłem na zydlu. Umrę dziś o świcie, pomyślałem. To pewne. Umrę tu, w tym dziwacznym śnie i nigdy nie poznam sensu życia Lanne Lloch l'Annah. Lecz co się wtedy stanie ze mną prawdziwym, ze mną, który śpi spokojnie w klimatyzowanym greckim pokoju?

Nie usłyszałem nawet, kiedy weszła. Musiała już dłuższą chwilę stać w drzwiach i na mnie patrzeć.

W białej nocnej koszuli sięgającej kostek i z rozpuszczonymi włosami wyglądała niczym zjawą. Jak Biała Dama, pojawiająca się, by wieszczyć nieszczęście i śmierć. Zamknęła cicho drzwi.

-Kto ułoży balladę o twej śmierci, Lanne? - zapytała smutno.

-Może powinienem ułożyć ją sam? - odparłem pytaniem. - Właśnie teraz i tutaj. Balladę o błękitnym strumieniu i zielonej trawie, o słońcu przebłykującym różem przez obłoki i o krwi Lanne Lloch i'Annah buchającej z rozciętych żył. Mogłoby to brzmieć tak:

*Z objąć kochanki w objęcia śmierci  
Wyruszył, gdy świt ozłocił chmury  
I w szmaragdową wodę, w trawę zieloną  
Wplotły się krwawe nici purpury.*

*Z osłabłej dłoni wymknął się oręż.  
A czym jest wojownik bez swego miecza?  
Mógł tylko patrzeć, pełen rozpaczy,  
Jak życie z ciała jego ucieka.*

-Nie kpij! - weszła mi w słowo, gdy się zamyśliłem, szukając rymu do wersu *jedyną pieszczotą dotknięcie kreta*, i zastanawiałem się, czy nie brzmi to nazbyt patetycznie. - Jak można godzić się na śmierć, mając życie w zasięgu ręki?

-Godność? - zapytałem. - Honor? Może tylko zwyczajna, głupia ambicja? Może cicha nadzieja na łut szczęścia? Kim byłbym, gdybym zwyciężył za pomocą zdrady? Czym różniłbym się od Varrada, który zdradził mnie i ścigał po pustyni z grupą zbrojnych?

-Warto zapłacić aż taką cenę? - spytała z niedowierzaniem i podeszła tak blisko, że poczułem ciężki zapach balsamu, którym natarła ciało przed snem.

-Nie wiem - uśmiechnąłem się, choć wcale nie było mi do śmiechu - ale będę wiedział w chwili regulowania rachunku. Jestem Lanne Lloch i'Annah. Nie zabijam ciosem w plecy. Cokolwiek byś o mnie myślała - dodałem.

-Nie wiem, co o tobie myśleć - w jej głosie usłyszałem niezrozumienie i bezsilność - lecz wiem jedno: nie zniosę tego, że giniesz z jego ręki. Że tym razem będzie mógł chełpić się i chlubić zwycięstwem. Że każe zatknąć twoją głowę na włócznie i obnosić ją wzdłuż murów... - Przymknęła oczy.

-Nie zrobi tak - zaprotestowałem ostro, nim zdążyłem pomyśleć - pochowa mnie w Kowadłach. Jestem jego najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem. Nie ośmieliłby się mnie upokorzyć, bo, hańbiąc mnie, zhańbiłby siebie samego.

Miała cały czas zamknięte oczy, a ja przyglądałem się jej uważnie. Zastanawiałem się, z czego wynika niespodziewana troska o moje życie. Cóż, nienawiść i miłość często splatają się w nierozzerwalny węzeł i ciężko jedno z tych uczuć oddzielić od drugiego. Ale - pomyślałem cynicznie - czy nie ma tu podwójnego dna? Czy Kordelia nie wołałaby, żeby Lanne Lloch l'Annah splamił się zdradą? Czy taki właśnie Lanne Lloch l'Annah nie byłby bezpieczniejszym sojusznikiem? Oto najlepsze rozwiązanie dla Kordelii: Varrad jest martwy, a jego pogromca zasłużył na wzdardę. Nadal jest cennym sprzymierzeńcem, lecz o ileż słabszym od człowieka, który pokonałby najznamienitszego z fecht mistrzów w uczciwym pojedynku? Nie miałem żalu, że jej myśli biegną tym torem. Musiała walczyć o swoje życie i swoje księstwo. Gdyby nie potrafiła być cyniczna i bezlitosna, dawno już przegrałaby w tej walce. Tyle że ja nie miałem zamiaru stać się narzędziem w jej rękach. Obiecałem Varradowi, iż nie zagram w niczyjej talii. Zamierzałem trzymać się tego postanowienia.

*W Kowadłach zginął waleczny Lanne,  
Gdyż nie chciał zdradą splamić sumienia,  
Nie znajdziesz skazy na jego duszy  
Nie znajdziesz w jego myślach cienia*

- wyrecytowałem z uśmiechem.

Kordelia otworzyła oczy.

- Bardzo wzruszające. Szkoda, że nieprawdziwe.

- Ballada to ballada - westchnąłem - cóż może mieć wspólnego z prawdą? Czy śmierć jest tak naprawdę pięknym tematem ballady? - Słyszałem, że mój głos, wbrew mnie, nabiera żelaznych tonów. – Nasz kres przychodzi w strachu i krwi, Kordelio. We łzach i bólu. W rytmie wywrzaskiwanych przekleństw. Rycerze w srebrzystych zbrojach są piękni jedynie w bajkach. Nie wtedy, kiedy pocięty pancerz wrzyna się w ciało, kiedy krew zalewa im oczy, a nad sobą widzą ostrze wroga. Wtedy chce się tylko żyć, moja śliczna pani, a nie zostać tematem wzniosłej pieśni.

- Nadal potrafisz wzruszająco mówić, lecz twoje rymy zdecydowanie się popsuły. Jaka szkoda, że nie będziesz miał okazji ich podszlifować.

- Księżniczki nigdy nie zrozumieją ludzi walczących ze smokami. Ci, którzy zdejmują zbroje z trupów, wiedzą, że trzeba je potem czyścić nie z poezji, lecz z krwi, kału i moczu - stwierdziłem, a potem nakazałem: - Idź już, Kordelio.

W moim głosie nie było gniewu, gniew bowiem nie przyniósłby nic nowego.

-Tak czy inaczej poradzisz sobie, moja piękna księżniczko, bo należysz do tych stworzeń, które zawsze spadają na cztery łapy.

Przyglądała mi się, a w jej oczach widziałem coś dziwnego. Przez moment wydawało się, że chce wyciągnąć do mnie dłoń. Jednakże nie uczyniła tego. Miałem umrzeć nie tylko bez błogosławieństwa, lecz nie otrzymałem nawet chwili, do której mógłbym wrócić, kiedy będę konał. Bo swoją śmierć zobaczyłem bardzo wyraźnie. Zobaczyłem, że na soczyście zielonej trawie, w kałuży krwi, leży mężczyzna, a obok jego ciała leży również miecz. Mój miecz. Czy to była przepowiednia, czy ostrzeżenie?

-Kordelio - szepnąłem - wiem, że nie chcesz mi wybaczyć, pamiętaj jednak, że prosiłem o wybaczenie.

Milczała bardzo długo. I stała bez ruchu. Miała smutną, zmęczoną twarz.

-Umieraj w pokoju - rzekła wreszcie.

Potem odwróciła się na pięcie, ale przystanęła na progu.

-I nie okłamuj mnie więcej - powiedziała, nie obracając się w moją stronę. - Nie wiem, kto cię odwiedził, lecz nie był to mistrz Hamrod.

-Bo?

-Bo stracono go niemal dwieście lat temu. Dziwne, że w ogóle znałeś jego imię. Ale zważywszy na to, co uczynił, muszę przyznać, że nie podoba mi się twoje poczucie humoru.

Wyszła, słowa pożegnania najwyraźniej uznając za zbyteczne. Nie miałem czasu zastanawiać się nad jej oskarżeniami. Hamrod z całą pewnością nie był duchem, może nosił po prostu imię pradziadka albo dziadka, który w jakiś niechlubny sposób zapisał się w pamięci tego świata.

Włożyłem lnianą koszulę, skórzane spodnie i wełniany kubrak. Potem wzułem podkute buty z cholewami sięgającymi za łydki. Przez plecy przewiesiłem miecz i sprawdziłem, czy gładko wychodzi z pochwy. Skórzane rękawice z metalowymi guzami zawiesiłem u pasa.

Glejar czekał na mnie u wylotu korytarza.

-Jestem gotów, jak kazałeś, lordzie Lanne - rzekł, powstając.

-To dobrze, mój chłopcze - odparłem.

W milczeniu zesliśmy na dziedziniec. W półmroku krzątali się już pierwsi słudzy. Ktoś wytaczał beczkę z magazynu, dziewczyna w krótkiej koszuli niosła misę pełną jajek. Mój smok leżał ze złożonymi skrzydłami.

Uchylił powieki, kiedy tylko zbliżyliśmy się do niego.



- Witaj, przyjacielu - powiedziałem i dałem znak Glejarowi, żeby tymczasem pozostał w bezpiecznej odległości.

Podszedłem do ogromnego cielska i pogładziłem smoczy łeb.

- Czy zechcesz przenieść jeszcze jedną osobę, przyjacielu? Czy ten człowiek może skorzystać z twojej siły i skrzydeł?

Złociste oczy na moment rozbłyły. Nie wiem czemu, ale byłem pewien, że smok wszystko rozumie i wszystko wie. Pytaniem tylko pozostawało, czy zgodzi się nieść na swym grzbiecie kogoś obcego.

- Podejź, Glejar - rozkazałem.

Młody żołnierz zbliżył się, a jego oczy były pełne z trudem ukrywanego przerażenia.

- Czy zechcesz mnie ponieść, lordzie smoku? - spytał z szacunkiem.

Złocisty wzrok omiótł go, potem gad rozprostował powoli skrzydła. Usiadłem na jego grzbiecie i podałem dłoń Glejarowi. Była zimna niczym dłoń trupa, lecz żołnierz posłusznie zajął miejsce za moimi plecami. Słyszałem chrapliwy, nerwowy oddech.

- Naprzód! Do Kowadeł, przyjacielu!

Potężne skrzydła rozgarnęły z impetem powietrze i już po chwili szybowaliśmy nad dziedzińcem.

- Trzymaj się, Glejar! - krzyknąłem.

Smok okrążył zamek, po czym spokojnym, szybującym lotem skierował się w stronę Kowadeł. Słońce zaróżowiło już chmury, było coraz jaśniej i coraz cieplej. Nagle poczułem, że chętnie bym coś zjadł. Na przykład gorącego kurczaka z ziemniakami i mizerią, którego popiłbym szklanką białego, wytrawnego aż do cierpkości wina. O ileż milej byłoby lecieć nad Kowadła, spodziewając się śniadania z przyjacielem, a nie walki ze śmiertelnym wrogiem! No cóż, sam sobie wybrałem taką właśnie przyszłość i nikogo nie mogłem winić za to, co się stanie.

- Posłuchaj uważnie, Glejar - powiedziałem. – Jeśli zginę, wrócisz do zamku i opowiesz księżnej o wszystkim, co widziałeś. Nie wiem, co zechce uczynić smok, lecz nie sądzę, byś mógł liczyć na jego pomoc.

- Nie wierzę, byś mógł zginać, lordzie - odparł - wiedz jednak, że jestem zaszczycony, iż mogę ci towarzyszyć w tej podróży.

- Marny to zaszczyt - rzekłem - choć na pewno będzie większy, jeśli pokonam Varrada.

Trzykrotnie okrążyliśmy Kowadła. Widziałem Varrada oraz sześciu towarzyszących mu ludzi, którzy siedzieli na polanie, przy ledwo tłącym się ogniu,

przed skórzanym namiotem. Ale nigdzie, w lesie czy w gęstych krzewach nie zobaczyliśmy nikogo, kto szykowałby zasadzkę. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, żeby Varrad był na tyle głupi, by zastawić pułapkę.

W końcu ofiara sama pchała mu się w ręce. Szalony i pewny siebie Lanne Lloch l'Annah, wyzywający na pojedynek najznamienitszego fechtmistrza tej krainy. Cóż bardziej mogłoby odpowiadać Varradowi? Zyska zwycięstwo i chwałę za jednym zamachem. A potem zapewne Kordelię i jej włości.

Polana była całkiem spora, przecięta wąskim strumieniem i zarzucona tylko tu i ówdzie szerokimi głazami o białej, wytartej przez lata powierzchni. Kazałem smokowi wylądować kilkadziesiąt kroków od Varrada i jego ludzi. Jak późno zorientowali się, że tuż obok nich pojawiła się bestia! Gdybym chciał, spadlibyśmy na nich, jak jastrząb spada na niczego nieprzeczuwające kurczęta. Szczerze mówiąc, po Varradzie spodziewałem się większych środków ostrożności. A może miał tak wielkie zaufanie do mnie? Po tym wszystkim, co mi zrobił? Mój Boże! Podwładni Varrada zerwali się na równe nogi, lecz on krzyknął coś chrapliwie, rozkazującym tonem. Sam nadal siedział i dopiero kiedy wylądowaliśmy, powoli wstał z miejsca. Zaczął iść ku nam. Czego jak czego, lecz odwagi nie można mu było odmówić.

- Witaj, Lanne! - zawołał. - Jesteś gotów?

- Zjadłbym coś - powiedziałem trochę na przekór, a trochę dlatego że rzeczywiście chciało mi się jeść.

- Zjadłbyś coś? - spytał z rozbawieniem. - Czemu nie? Zostało nam jeszcze mięso i chleb, znajdzie się też bukłaczek wina. Czym chata bogata, Lanne!

Dał podwładnym znak, by odeszli na bok, i zostaliśmy sami przy dogasających, czerwonych od żaru polanach. Varrad podał mi solidny kawał dobrze wypieczonej łopatki. Zza cholewy wyciągnął nóż i ukroił nim sporą pajdę chleba. Wgryzłem się w mięso, aż sok trysnął na kaftan.

- Smaczne - pochwaliłem - naprawdę smaczne.

Sięgnąłem do bukłaka. Cierpkie, czerwone wino działało niczym balsam. Zostawiało na języku i podniebieniu chłodny, metaliczny posmak. Varrad przyglądał mi się z uśmiechem.

- Umiesz się cieszyć życiem, Lanne - stwierdził. - Czy naprawdę nie możemy zostać przyjaciółmi?

- Już byliśmy przyjaciółmi - przypomniałem mu niezbyt wyraźnie, gdyż miałem pełne usta - dopóki mnie nie zabiłeś...

Milczał przez chwilę.

-Zapomnijmy o przeszłości. - Czyżbym w jego głosie usłyszał prośbę? - Nie doceniłem cię. Jesteś rzeczywiście nie kartą, lecz talią kart, Lanne. Połączmy siły. - Nachylił się do mnie i widziałem, że propozycja jest szczerą.

Ha, przynajmniej teraz, w tym momencie, mówił szczerze. Ale czy za dzień lub rok z tą samą pewnością siebie i szczerością nie wepchnie mi noża pod żebra?

-Przeszłości nie można zapomnieć – oznajmiłem - niestety. Można wybaczyć, lecz nie zapomnieć. A ja ci nawet nie wybaczyłem. Zresztą - uniosłem dłoń, bo chciał mi przerwać - warunkami koniecznymi do udzielenia przebaczenia są skrucha oraz pokuta.

-Twoja śmierć będzie bezsensowna, Lanne – rzekł - nikomu nic nie przyniesie poza kłopotami. Jesteś mi potrzebny żywy.

-Moja śmierć - powtórzyłem. - A dlaczegoż to ja mam umierać, mój drogi?

Poczułem jak wzbiera we mnie gniew. Nikt nie wierzył w moje siły. Chyba najbardziej złościł mnie fakt, że ja sam nie sądziłem, iż pojedynek zakończy się po mojej myśli.

-Czy jestem już tylko ścierwem, nad którym krążą sępy i walczą o to, który wyżre najlepszy kawałek?

-Taka jest twoja odpowiedź? Zmienisz zdanie, jeśli poproszę o wybaczenie?

Wiedziałem, ile kosztowała go ta propozycja, i wzbudził we mnie mimowolny podziw. Był graczem, lecz również typem męża stanu, gotowego rezygnować z własnych ambicji na rzecz większego, rysującego się na horyzoncie celu. Szkoda, że aż tak bardzo podzieliła nas przeszłość. Nawet gdybym w tej chwili się wahał, czy ulec jego prośbom, wystarczyło, bym przypomniał sobie jedną scenę. Tę, kiedy leżałem na rozgrzanym piasku, a Varrad krążył wokół mnie na koniu.

I patrząc w rozpaloną tarczę słońca, słyszałem jego śmiech. Nie zapomina się o własnej śmierci. Nie zapomina się, że rozkaz wydał najlepszy przyjaciel. Nie zapomina się, że właśnie wtedy się śmiał. Powiedziałem mu to wszystko.

-Taaak - przeciągnął - więc załatwmy szybko sprawę, Lanne. Czy chcesz, byśmy pochowali cię tu, w Kowadłach?

-Nie dziel skóry na niedźwiedziu. – Roześmiałem się, ponieważ rozmowa o miejscu mego pochówku wydawała mi się jednocześnie nadzwyczaj realna i nadzwyczaj absurdalna.

Wstałem i rozejrzałem się wokół. Było już jasno.

Słońce świeciło pełnym blaskiem poranka i wiedziałem, że muszę stanąć tak, by mieć je za plecami. Oczywiście, trudno było przypuszczać, by Varrad o tym nie

wiedział. W końcu to on był fechtmistrem, ja tylko jego uczniem. Ba, tak naprawdę Lanne Lloch l'Annah był jego uczniem, ja zaś zaledwie cieniem tego ucznia. Tak czy inaczej, byłem pewien, że dam z siebie wszystko. Jednak, szczerze mówiąc, czułem się jak futboliści Victorii Pcim obiecujący „dać z siebie wszystko” w meczu z Realem Madryt. Czasami nie wystarczają dobre chęci...

Zdjąłem kubrak, zostając w koszuli. Włożyłem rękawice. Varrad stał kilkanaście kroków ode mnie, jego ludzie obserwowali nas z odległości dziesięciu, może dwunastu metrów. Zresztą równie uważnie jak nasze poczynania śledzili, co się dzieje ze smokiem. Lecz gad wyglądał, jakby spał, chociaż wiedziałem, że w rzeczywistości czuwa i widzi wszystko. Miałem nadzieję, że jeśli zginę, nie zechce pomścić mej śmierci. Ten pojedynek miał być uczciwy. Do samego końca. Varrad wyciągnął miecz z pochwy i zamachnął się kilka razy.

- Świetna pogoda! - krzyknął. - Ani za ciepło, ani za zimno.

Sięgnąłem po miecz. Wydawało mi się, że tylko dotknąłem wystającej zza lewego ramienia rękojeści, a oręż sam wysunął się błyskawicznie, niczym atakujący wąż. Bransoleta na nadgarstku zacisnęła się tak boleśnie, że o mało nie krzyknąłem. Odetchnąłem głęboko i miałem nadzieję, że w trakcie walki nie spotka mnie podobna niespodzianka. Varrad szedł w moją stronę, a jego miecz zataczał małe, szybkie, finezyjne kółeczka. Przeciwnik chciał mnie olśnić pewnością siebie, pokonać jeszcze przed pierwszym skrzyżowaniem ostrzy. Co miałem robić? Kiedy był blisko, po prostu się zamachnąłem, lecz oręż tylko warknął w powietrzu, gdyż ostrze Varrada nie stało już na jego drodze. Ledwo zdołałem odskoczyć i tuż przed oczyma zobaczyłem błysk. Wydawało mi się nawet, że poczułem muśnięcie wzburzonego cięciem powietrza. W następnej sekundzie powinienem nie żyć. Trzymałem broń zbyt nisko i nie wychwyciłbym ani nie odparował kolejnego uderzenia.

Dostałbym cięcie w pierś, gardło lub głowę. Gdyby nie miecz. Niesterowany przeze mnie pomknął dokładnie w stronę zbliżającego się ostrza Varrada. Zrozumiałem, że muszę się poddać rytmowi narzuconemu przez oręż, a jedyne, co mi pozostaje, to trzymać mocno rękojeść w garści. Uderzenie było koszmarnie. Dźwięk metalu tnącego metal zahuczał na całej polanie. Moja prawa ręka aż do ramienia została porażona wręcz paralizującym bólem. Ale Varrad - a zauważyłem to z radością i zdziwieniem - aż zachwiał się na nogach. Odskoczyliśmy od siebie. Wiedziałem, że to, że żyję, jest cudem i zastanawiałem się, jak długo jeszcze ten cud potrwa. Przeciwnik znów zmierzał w moim kierunku i znów błysnęło srebrne ostrze jego miecza. Ale tym razem byłem przygotowany, by poddać się woli własnego, najwyraźniej magicznego oręża.

Sparowałem zręcznie i sam wypuściłem ostrze. Czubek miecza drasnął ramię Varrada, a ból na jego twarzy walczył o lepsze ze zdumieniem. Musiałem uważać na dwie rzeczy: pracę nóg oraz chwyt na rękojeści. Musiałem dostosowywać kroki i przechylenie tułowia do tego, czego pragnął miecz. To było jak taniec dwojga partnerów, z których jeden jest mistrzem i oczekuje od drugiego tylko tyle, by dawał się zręcznie prowadzić. Może nie byłem zbyt dobrym tancerzem, miałem za to mnóstwo dobrej woli, by się nim stać.

Z ramienia Varrada sączyła się krew, barwiąc jego koszulę czerwienią. Wiedziałem, że po tej nauczce będzie o wiele bardziej uważny i o wiele mniej pewny siebie. Tym gorzej dla mnie. Ciął błyskawicznie dwa razy, a ja, stojąc w miejscu, przyjąłem ciosy na ostrze.

Stal rozpaczliwie zgrzytnęła, lecz oba miecze były kute przez znamienitych płatnerzy i wytrzymały uderzenia.

Wiedziałem jednak, że moja dłoń nie zniesie dłuższej podobnej wymiany. Czułem już promieniujący ból, biegnący od nadgarstka do ramienia. Co z tego, że miecz dzielnie stawał naprzeciw oręża Varrada, skoro niebawem nie będę w stanie go utrzymać? Postąpiłem krok i mój miecz wykonał krótkie, mierzone cięcie w głowę, zaraz potem zszedł w dół i omal nie chlasnął Varrada przez pierś. Omal, bo ten ustąpił o krok i się odchylił. Był na tyle doświadczony, by takiego ciosu nie przyjmować na ostrze. Być może i jego ręka odczuwała już znużenie, chociaż najprawdopodobniej chciałem tylko to sobie wmówić. Zapędziłem się jednak zbyt daleko.

I za bardzo się odsoniłem. Nie wiem, czemu zawdzięczałem fakt, że broń zwinęła się w dłoni Varrada i zamiast ostrzem oberwałem płazem. Ale cios był i tak morderczo silny. Wydawało się, że głowa pęka mi na dwie części. Wypuściłem rękojeść i usłyszałem triumfalny krzyk towarzyszy Varrada. Ostatkiem sił i ostatkiem świadomości udało mi się skoczyć i pochwycić obiema dłońmi prawy nadgarstek wroga. Klęczałem i wyginałem mu rękę, wiedząc, że jeżeli puszcę, to będzie to ostatnia rzecz w moim życiu. Siłowaliśmy się i w końcu udało mi się podciąć Varrada kopnięciem i przewrócić na ziemię. Łokciem prawej ręki rąbnąłem go w szczękę, a potem zaryzykowałem. Puściłem jego nadgarstek i uderzyłem go pięścią w twarz. Niezdarnie, z rozmachem, ale nie miał miejsca, by się cofnąć, ani możliwości zablokowania ciosu. Dostał prosto w nos i usłyszałem, jak pod knykciami chrupnęła kość. Zawył. Bardziej z wściekłości niż z bólu i próbował się wywinąć. Władowałem mu kolano między nogi i docisnąłem.

Szarpnąłem głową, wgrzyłem się w brodaty policzek, palcami prawej dłoni szukałem oczodołów. Varrad spanikował. Najwyraźniej nigdy w życiu nie przeżył czegoś takiego. Finezyjna walka na miecze, potyczki z kopią w ręku - oto był jego żywioł. Ale nie tarzanie się po ziemi, ciosy w jądra, gryzienie i wydłubywanie oczu. Tego nie uczono na lekcjach fechtunku. Tego jednak uczono na podwórkach, na których się wychowywałem. Walk, w których jedyną obowiązującą zasadą był brak zasad. Varrad próbował już tylko się wyrwać, tłukł mnie w głowę lewą ręką, a prawą usiłował oderwać moje palce od swoich oczu. Bolało, lecz wiedziałem, że jego boli bardziej. W ustach czułem krew i strzępy mięsa. Zaciskałem zęby coraz mocniej, wgrzyzałem się w niego, a przez czerwoną zasłonę wściekłości słyszałem dziki krzyk bólu. Cały czas wypychałem kolano między jego nogi, krótkimi, słabymi kopnięciami, wiedziałem jednak, że to również musi boleć. Ale w końcu udało mu się. Oderwał moje palce, przekręcił się na bok, poderwał na kolana. Zamroczony, oślepiiony krwią i bólem, z zamkniętymi oczami i przerażającą szarpaną raną na policzku. Kopnąłem go w twarz. Mocno, celnie, jakbym podbijał piłkę lecącą pół metra nad ziemią. Potem miecz niemal wskoczył mi w dłoń i ciąłem Varrada z rozmachem, przez kark i plecy, z tak wielką siłą, że ostrze zgrzytnęło o kręgosłup. Upadł i leżał w kałuży krwi, z oczami wytrzeszczonymi w niebo. Miał mnóstwo sił witalnych, bo jeszcze kołatało w nim życie, choć po tym ciosie żyć nie powinien.

- Lanne - wycharczał z niedającym się opisać zdumieniem - Lanne, na Boga!

Wbiłem miecz w poznaczoną różowymi pasmami murawę i kołysałem się na nim, ciężko dysząc. Zdałem sobie sprawę, że ten właśnie obraz zobaczyłem w swej krótko trwającej wizji! Ciało, a obok niego moją broń. Tyle że na trawie leżał Varrad. Kątem oka widziałem rozpościerającego skrzydła smoka i słyszałem ryk, którym ostrzegał ludzi Varrada, by nie próbowali przyjść na pomoc swemu panu. Zresztą jemu nikt nie był w stanie już pomóc. Mój przyjaciel i śmiertelny wróg umierał. Pokonałem go. Ja. Nie Lanne Lloch l'Annah, lecz ja! Zabiłem go dzięki zawziętości i brakowi zasad. Czyniąc to, czego nigdy nie uczyniłby prawdziwy Lanne. Mogłem być z siebie dumny, jednak nie byłem. Pewnie, że wolałbym czystą, piękną walkę dwóch rycerzy w srebrzystych zbrojach. Jeden na karym rumaku, a drugi na siwym. Łopocące proporce, pancerze lśniące w słońcu, piękna przemowa na początek oraz stosowna puenta pod koniec.

Ale to nie był hollywoodzki film. Tutaj umierał człowiek, charczący w kałuży własnej krwi i niezdolny do ruchu, gdyż ostrze wgrzyło się w jego kręgosłup, zmiażdżyło kości i przecięło nerwy. A oprawca stał nad nim, ciężko dysząc, a na ustach,

brodzie i piersi miał słodką krew swego wroga. Machinalnie przetarłem twarz rękawem. Nie chciałem czuć tego odurzającego zapachu, nie chciałem tego słodko-metalicznego posmaku na języku.

-Lanne, Lanne - wycharczał znowu Varrad.

Pochyliłem się nad nim. Nie było już we mnie złości ani nienawiści. Nie było nawet radości ze zwycięstwa.

Tylko zmęczenie oraz smutek. Uklęknąłem i ująłem jego głowę w dłonie. Bardzo ostrożnie.

-To już koniec, prawda? - Varrad wpatrywał się we mnie z przerażającym niezrozumieniem.

Wszystkie jego plany legły w gruzach. Byłem pewien, że układał je misternie, wyobrażając sobie przebieg dzisiejszego dnia. Myślał o tym, jak mnie pochowa i wygłosi nad grobem stosowną formułę. Odpowiednio piękną, by kiedyś trafiła do pieśni. Potem wraz ze swą armią zajmie miasto, którego nie broni już bohater na smoku. Prawdopodobnie myślał o wydaniu uczty na moją cześć, może nawet o usypaniu pamiątkowego kurhanu. Można być przecież wielkodusznym w stosunku do zmarłych.

-Tak - odparłem - to już koniec, przyjacielu. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Kiedy się uśmiechnął, krew spłynęła mu na brodę.

-Nie - odrzekł i umarł.

Wstałem. Podwładni Varrada zastygli w obronnym kręgu, odwrócenii plecami do siebie. Nie wyciągnęli mieczy, lecz byli gotowi się bronić, gdybym rozkazał smokowi zaatakować. Spojrzałem w ich stronę.

-Trzeba go pochować - powiedziałem.

Po chwili wahania dwaj generałowie podeszli do mnie. Starszy, z włosami przyprószonymi srebrem, odezwał się:

-Lordzie Lanne, jestem Gorveld Kaldaran, generał lorda Varrada, a to generał Isdibin - wskazał ruchem podbródka młodszego towarzysza - dowódca najemników.

Młodszy generał skinął głową. Był smagły, z długimi czarnymi włosami zaplecionymi w warkocz.

-Miałem już zaszczyt spotkać cię, lordzie - rzekł.

Czyżby był jednym z ludzi Varrada, którzy ścigali mnie po pustyni? - pomyślałem. Chyba nie, gdyż nie sędzę, by w tym momencie chciał, abym sobie przypominał te właśnie chwile z mojego życia. W każdym razie jego twarz była tak charakterystyczna, że wiedziałem, iż jej nie zapomnę. Teraz jednak nie odczuwałem w związku z nią żadnych emocji. Ani pozytywnych, ani negatywnych.

- Tak - przytaknąłem obojętnie.

Popatrzyłem na ciało leżące u naszych stóp.

- Sądzę, że chciałby spocząć właśnie tutaj - powiedziałem - tak jak i ja bym chciał, by pochowano mnie w Kowadłach, gdyby los szczęście pokierował ostrzem lorda Varrada. Rozkażcie, by wasi ludzie przygotowali mogiłę i znieśli kamienie. Jutro każe tu sypać kurhan, na razie jednak uczynimy co w naszej mocy.

- Jak sobie życzysz, lordzie - odparł Gorveld.

Zostawiłem ich i podszedłem do smoka, który leżał już spokojnie, z ogromnym pyskiem ułożonym pomiędzy pazurzastymi łapami. Glejar stał obok.

- Czy jesteś ranny, lordzie? - zapytał, dostrzegając krew na moim ubraniu.

- Nie - odrzekłem. - Choć niewiele brakowało - dodałem, kierując te słowa bardziej do własnych myśli niż do niego.

Omam się nie roześmiałem, widząc, że ludzie Varrada wyjmują dwie łopaty. A więc wszystko mieli przygotowane. No cóż, nie można powiedzieć, by im się to teraz nie przydało. W innym wypadku musieliby kopać mogiłę własnymi dłońmi, a ziemia była twarda i kamienista. Jeden z żołnierzy nakrył ciało Varrada własnym płaszczem i zrobiło mi się wstyd, że sam o tym wcześniej nie pomyślałem. A więc tak zakończył życie mój przyjaciel i wróg. Dlaczego stał się wrogiem? Jakie pobudki nim kierowały, kiedy szykował zdradę? Dlaczego mnie ściagał, wtedy, na pustyni? Co nas obu łączyło z Kordelią? Oto były pytania, na które, tak jak i na wiele innych, nie znałem odpowiedzi. I zastanawiałem się, czy kiedykolwiek je poznam. Jak widać życie w tym świecie nie było bezpieczne.

Cudem unikałem śmierci, a byłem pewien, że Varrad nie jest jedynym z moich wrogów. Była Kordelia, w której nienawiść przeplatała się z miłością, a może tylko z pożądaniem. Był tajemniczy Suzeren, którego tak się bała. No i wreszcie mogły istnieć inne niebezpieczeństwa, z których nawet nie zdawałem sobie sprawy. A jednocześnie chroniła mnie jakaś wielka moc. Mój przyjaciel smok. Magiczny oręż, potrafiący kierować mą dłonią. Tajemnicza dama z kart, z którą rozmowę pamiętałem w tej chwili jak wyraźny, lecz jednocześnie nierealny sen. Dziwna, srebrna bransoleta w kształcie węża, która raz na jakiś czas jakby ożywała na moim przegubie.

Dwaj ludzie Varrada kopali mogiłę, czterech pozostałych znosiło białe kamienie. Obydwaj generałowie stali w milczeniu. Zastanawiałem się, co mam począć z dowódcami Varrada. W końcu niedaleko stacjonowała liczna i bitna armia. Co prawda pozbawiona wodza, ale przecież to akurat mogło się zmienić w jednej chwili. Czy stanowili dla mnie zagrożenie, czy też ich jedynym marzeniem był spokojny powrót do



domu? Tę sprawę musiałem wyjaśnić raz a porządnie. Nie chciałem, by włości Kordelii pustoszyła gromada pozbawionych celu grasantów, zdesperowanych po śmierci swego wodza.

Podszedłem do generałów.

- Generale Kaldaran - powiedziałem - lord Varrad nie żyje, my jednak musimy zakończyć rzecz godnie oraz z pożytkiem dla każdego z nas. Czy nieprzymuszony i z dobrej woli oddasz miecz na mój rozkaz?

Bóg mi świadkiem, że nie miałem zamiaru wypowiedzieć tego ostatniego zdania. Ono samo pojawiło się na moich ustach. Obaj dowódcy popatrzyli po sobie.

- A czy mam inny wybór? - mruknął Kaldaran.

- Człowiek ma zawsze wybór – zaprotestowałem ostro - pojedynek był uczciwy. Wy dotrzyмалиście przyrzeczenia i ja dotrzymam swojego. Możecie wrócić do armii, ale księżna i ja ruszymy waszym śladem. Może się mylę, lecz zdaje mi się, że niewielu żołnierzy doprowadzicie z powrotem do granic. A to jest wojna, której nikt by nie chciał. Złóżcie mi przysięgę wierności, wtedy powrócę, by objąć władzę, która mi się należy.

I znowu ostatnie zdanie pojawiło się w myślach, kiedy już zacząłem je wypowiadać. Dlaczego należał mi się spadek po Varradzie? Czyżby kiedyś, niezgodnie z prawem, wyzwał mnie z majątności? A może byliśmy związani jakimś układem współdziedziczenia? Tyle zagadek, tyle tajemnic. Dobrze, że chociaż intuicja od czasu do czasu podpowiadała mi co robić i co mówić.

I jak na razie wydawało się, że podpowiadała całkiem dobrze. Gorveld Kaldaran wolno wysunął miecz z pochwy i zwrócił go rękojeścią w moją stronę. Przyklęknął na jedno kolano.

- Przyjmij ten miecz, lordzie Lanne - rzekł – na znak, że jego ostrze zawsze będzie ci służyło.

Wziąłem oręż z jego dłoni. Wydał mi się cięższy i bardziej masywny niż mój, nie miał w sobie tego wdzięku i finezji.

- Przyjmuję twój miecz i twoje ślubowanie - oświadczyłem uroczyście.

Uniosłem ostrze ku słońcu.

- Niech dobrze ci służy, generale - powiedziałem, zwracając Gorveldowi oręż i odwróciłem się w stronę Isdibina.

- Jestem najemnikiem - oznajmił z chmurną twarzą - i służę temu, kto płaci żołd mnie i moim żołnierzom. Nie oczekuj ode mnie przysiąg.

Gorveld odstąpił o krok i stanął u mojego boku.

Młodszy z generałów łypnął nerwowo. Zauważyłem, że sześciu żołnierzy obserwowało całą scenę i teraz oni również stanęli w dwóch grupkach po trzech ludzi w każdej. Z tym że na twarzach najemników malowały się niepewność i przestrasz. Nic dziwnego, bo nie mieli szans wyjść zwycięsko z walki, która mogła się rozpocząć w każdej chwili.

- Jesteś na mojej ziemi - powiedziałem ostrym tonem - ziemi, na którą nikt cię nie zapraszał. Mam więc prawo zażądać twego życia. Czyż nie tak?

Milczał i widziałem tylko, że nerwowo zacisnął palce na wiszącej u pasa rękawicy.

- Ilu masz ludzi w armii lorda Varrada? - spytałem rzeczowo.

- Jest ich sześciuset - odparł za niego Gorveld. - My mamy trzykroć tyle, nie licząc wilków i czeladzi.

Wilków? No tak, przecież sam widziałem te ciemne stada mknące obok wojsk Varrada. Jaka magiczna moc utrzymywała je w posłuszeństwie? I czy ta moc wygasła wraz ze śmiercią mego druha? Pokiwałem głową.

- Sześciuset to niewielu - stwierdziłem - a bez swego generała będą bezbronni, zgadzasz się ze mną, prawda? Nie masz czasu do namysłu, człowieku - dodałem, znowu zaostrzając ton - i nie masz kart w ręku.

Chcę, byście, ty i twoi ludzie, odeszli w swoją stronę. Jak najdalej od tych ziem. Generał Kaldaran wyda wam szczegółowe rozkazy. Zdacie mu broń i konie, w zamian macie moje słowo, że wyjdziecie z tej awantury bez szwanku.

Isdibin pobladł i nie wiedziałem, czy z tajonej wściekłości, czy też zdał sobie sprawę, że jego życie zawisło na włosku.

- Nie oddam broni - rzekł - nie pozbawisz mnie honoru.

- Uważasz mnie za człowieka tak podłego, że chciałby odebrać ci honor? Że chciałby odebrać ci jedyną rzecz, jaką posiada żołnierz?

Drgnął.

- Użyłem złych słów, lordzie - skłonił głowę. - I proszę cię o wybaczenie, tak jak jeden człowiek honoru może prosić drugiego człowieka honoru.

- Wybaczam - rzekłem - i ofiarowuję ci wolną drogę. Z bronią i sztandarami. Pod jednym warunkiem.

- Jakież to warunek?

- Być może nadejdzie czas, kiedy zażądam, byś ty i twoi ludzie usłużyli mi swymi mieczami. Wtedy spłacisz dług życia.

-Dobrze - zgodził się bez wahania - to uczciwa propozycja. Daję ci słowo i niech po wiek wieków nazywają mnie zdrajcą, jeśli je złamię.

Skinąłem głową i zwróciłem się do Kaldarana.

-Ufam ci, generale i nie zawieź tego zaufania. Życie żołnierzy i spokój mieszkańców pozostawiam twej pieczy. Zaprowadź wszystkich bezpiecznie do domu - podałem mu rękę - być może pojawię się tam niedługo.

-Będziemy cię witać z radością, lordzie - odparł.

Musiałem wrócić do Kordelii, ale rzeczywiście, korzystając ze skrzydeł mego smoka, mogłem dogonić każdą armię. To było niesamowite. Tak jakbym w średniowieczu mógł korzystać z inteligentnego śmigłowca bojowego. Rzecz jasna, musiałem uważać. Smok nie miał pancernych osłon, radarów i karabinów maszynowych. Zabłąkana strzała z łuku lub kuszy mogła mnie zabić równie dobrze na jego grzbiecie, jak i na ziemi.

Poza tym nie miałem pewności, czy któregoś dnia nie zechce mnie pożegnać. Po prostu nie rozwinie skrzydeł i nie odleci w stronę zachodzącego słońca. Wiedziałem, że łączy nas niezwykła więź, więź życia i śmierci, lecz nie mogłem przecież przewidzieć, co stanie się w przyszłości. To stworzenie musiało mieć własne instynkty, chociażby instynkt znalezienia przedstawiciela swojego gatunku. Zresztą, cóż mogłem wiedzieć o smokach? O ich zachciankach i zwyczajach? Na razie wystarczyło, że czułem się przy nim bezpiecznie i ufałem mu. Bez najmniejszego strachu, a nawet z nutą pewnego rozczulenia, połączonego z podziwem, zbliżałem się do najeżonej kłami paszczy i pazurzystych łap, które mogłyby mnie rozedrzeć na strzępy w jednej chwili, gdyby tylko smok miał takie życzenie.



**P**owrót na zamek Kordelii był powrotem w wielkim stylu. Łucznicy na blankach wiwatowali, na dziedzińcu zebrali się żołnierze, oficerowie i służący, w górę leciały czapki i kapelusze, a zbrojni obwieszczali swą radość tłuczeniem w tarcze mieczami lub maczugami. Przyznam, że dla człowieka, który zawsze marzył o rozentuzjasmowanych tłumach, skandujących w upojeniu jego imię, było to w dużym stopniu spełnienie marzeń. Zupełnie jakbym strzelił decydującą

bramkę w meczu o mistrzostwo świata. Tyle że w tym wypadku uratowałem setki ludzkich istnień. Zatoczyłem nad zamkiem dwa powolne koła, lecąc nisko i pozdrawiając wszystkich uniesioną dłonią. Nawet Kordelia wybiegła na dziedziniec, wraz ze swym doradcą - albinosem. Czy była zadowolona z mego powrotu?

Ha, oto dobre pytanie! Z jednej strony musiała się cieszyć, że hordy Varrada nie spustoszą jej dziedzictwa, a z drugiej doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jedno słowo Lanne Lloch l'Annah wystarczy, by z radością powitano nowego księcia zamiast księżnej. Zamiast księżnej niepotrafiącej obronić poddanych przed cudzoziemską inwazją. No, może nie byłoby to tak proste, lecz w każdym razie na pewno odczuwała niepokój, a może zawiść, a korona (jeżeli w ogóle kiedykolwiek nosiła koronę) mogła ją naprawdę solidnie parzyć. Jednakże nie zamierzałem odbierać jej władzy. Szczerze mówiąc, sam nie wiedziałem, co powinienem teraz zrobić. Oczywiście poza kąpielą w gorącej wodzie. Bolały mnie mięśnie, a przy każdym gwałtowniejszym ruchu prawej ręki z trudem hamowałem się, by nie posykiwać z bólu. Poza tym byłem zakrwawiony i zmęczony. Godzina leniwego taplania się w wielkiej drewnianej kadzi, wypełnionej gorącą wodą i ziołami, mogła uczynić cuda. A potem? Hmm, czyż nie mówi się, że kobieta jest odpoczynkiem wojownika? Wiedziałem, że chętnie przypomnę sobie, jak smakuje Kordelia. To było dziwne uczucie myśleć o seksie zaraz po zabiciu dawnego przyjaciela, ale taki właśnie był świat średniowiecza. Miłość i śmierć, nienawiść, zdrada, drobne radości codziennego dnia. Wszystko przeplatało się w jakiś niepojęty dla nowoczesnego człowieka sposób. Poza tym nie mogłem zapominać, że to jednak tylko sen. Piękny, nadzwyczaj realny, ale sen.

- Nie spodziewałam się, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę - powiedziała Kordelia, kiedy zostaliśmy już sami w jej komnacie.

- Jak widać należało we mnie wierzyć - odparłem, postanawiając nie silić się na złośliwości.

Czterech służących wniosło ogromną drewnianą balię, zaraz potem zaczęli krążyć z dzbanami gorącej wody. Usiadłem na łóżku i zzułem buty. Potem zacząłem wolno zdejmować kaftan. Prawa ręka cały czas piekielnie bolała. Kordelia nie próbowała mi pomóc, tylko przyglądała mi się z zainteresowaniem.

Wziąwszy pod uwagę, że byłem zbawcą jej państwa, nie można było podobnej reakcji nazwać szczególnie entuzjastyczną, lecz jakoś mnie to specjalnie nie zdziwiło. Wreszcie, nie przejmując się obecnością służących, rozebrałem się do naga i zanurzyłem palce w wodzie. Była bardzo ciepła, nie na tyle jednak, by poparzyć skórę. Ostrożnie wszedłem do balii i rozparłem się wygodnie. Przymknąłem oczy. Teraz

dopiero poczułem potworne zmęczenie, tak jakby wyparowała ze mnie resztką adrenaliny, utrzymująca się od czasu pojedynku. Czy jeśli zginałbym w czasie tej walki, sen zakończyłby się raz na zawsze? A może, jak w grze komputerowej, otrzymałbym nowe życie? Albo (i ta myśl uderzyła mnie jak obuchem), to już BYŁO nowe życie, może próbowałem wiele razy i to była ostatnia z prób? Zanurzyłem głowę pod wodę. Nie było sensu gubić się w bezcelowych dociekaniach i rozmyślaniach. Miałem tylko nadzieję, że cokolwiek stanie się tutaj - w świecie snu - nie będzie w żaden sposób oddziaływać na moje życie w świecie rzeczywistym. Co prawda, Anna ostrzegła mnie, że sugestia ma wielką siłę oddziaływania, wątpiłem jednak, czy człowiek może wmówić sobie własną śmierć.

-To była uczciwa walka - raczej stwierdziła niż spytała Kordelia.

-Tak - odpowiedziałem - ale również szczęśliwa.

-Masz piękną bransoletę. - Spojrzała na przegub mej dłoni.

-Rodzinna pamiątka - odrzekłem i zanurzyłem rękę w wodzie.

-Co zamierzasz teraz robić?

O, to było dobre pytanie! Nie miałem pojęcia, co dalej. Zapewne powinienem udać się do zamku Varrada i uporządkować wszystkie sprawy. Jednak na to zawsze miałem czas. Wiedziałem, że na grzbiecie smoka dogonię bez trudu armię zmierzającą w tamtym kierunku.

-Powinienem się przespać. A potem? - Wzruszyłem ramionami. - Potem zobaczymy.

-Jesteś teraz bardzo potężny, Lanne. – Czyżbym wyczuł w jej głosie nową nutę szacunku? - Masz ziemie Varrada, armię Varrada, miłość moich poddanych... Co zechcesz zrobić z tym wszystkim? Co zrobisz z ludźmi, którzy ci ufają?

-Naprawdę nie wiem - odparłem, chociaż na pewno nie była to dobra odpowiedź.

- Mam nadzieję, że się mnie nie obawiasz, Kordelio. I mam nadzieję, że mi ufasz.

-Nie wiem - przyglądała mi się z namysłem - wydajesz się inny... Mówiłam ci to już zresztą. Jakbyś bardziej spoglądał w ludzi, którzy są obok ciebie.

Rozpięła haftki sukni i zdjęła ją wolno przez głowę. Kształt jej piersi, smukłość nóg, linia szyi zachwyciły mnie po raz kolejny. Kordelia weszła ostrożnie do balii i wślizgnęła się w moje ramiona. Poczułem ciężar jej pełnych piersi i delikatne dłonie, które przesunęły się po moich obolałych ramionach. Pocałowałem ją i za chwilę nie pamiętałem już o Kowadłach, Varradzie oraz kałużach krwi lśniących w promieniach wschodzącego słońca. I nowym doświadczeniem było to, że zdałem sobie sprawę z faktu, jak łatwo zapomina się o zabiciu przyjaciela.



**K**iedy wszedłem do mej komnaty, natychmiast zauważyłem, że na blacie stołu leży karta. Odwrócona licem do dołu. Mógłbym przysiąc, że wszystkie starannie spakowałem do pudełka i z całą pewnością żadnej nie zostawiłem na wierzchu. A jednak leżała. Cienka i smolistoczarna. Skąd się tu wzięła? Jeśli nawet ktoś grzebał w moich rzeczach, to dlaczego zostawił tak jawny ślad swej obecności? Czy to miał być sygnał? A jeśli tak, to pochodził od wroga czy od przyjaciela? Zbliżyłem się i palcami prawej dłoni dotknąłem karty. Była chłodna i czarna w dotyku. Właśnie tak: czarna w dotyku. Mógłbym zamknąć oczy i wyobrazić sobie ciemność, która ją spowijała. Doskonale wiedziałem, że rozpoznałbym ją pośród innych właśnie z uwagi na tę czerń. Jednakże wbrew skojarzeniom, które mogłyby się nasuwać, od tej karty nie emanowało zło, nie wzbudzała we mnie uczucia niepokoju lub strachu. A przynajmniej nie w większym stopniu niż cały magiczny zestaw. Po prostu była czarna, tak jak czarne są koty, psy lub konie. I nie znaczy to wcale, że te o smolistej sierści mają szlachetniejsze charaktery od tych białych niczym śnieg.

Ująłem ją w dwa palce i obróciłem licem do góry. Przedstawiała znajomą mi Wieżę Czaszek. Pękatą basztę bez otworów strzelniczych i okien. Do jednej trzeciej wysokości sięgał stos usypany z czaszek. Przyjrzałem się uważniej obrazkowi. Czaszki były głównie ludzkie, ale wydawało mi się, że rozpoznaję również rogate szczątki bydła. Na samym szczycie baszty znajdował się wycięty w zęby mur. Zbudowany tak, aby ktoś mógł przechadzać się po dachu wieży i czasami wyglądać na zewnątrz, a czasami być kryty przed niepożądanym wzrokiem. Ciekaw byłem, czy ta przerażająca budowla (przerażająca, zważywszy na liczbę ludzkich kości zaścielających ziemię wokół niej) była jedynie wytworem wyobraźni artysty, czy też istniała naprawdę? A jeśli istniała, to gdzie? Kto ją zbudował i kto usypał ten straszny kurhan? Czy służyła jakimś celom praktycznym, na przykład była miejscem kultu, czy też stała się zaledwie symbolem? A może ostrzeżeniem? Czymś w rodzaju słupa granicznego, mówiącego: wchodzisz tu na własną odpowiedzialność.

Usiadłem na krześle i delikatnie przeciągnąłem opuszkami palców po karcie. I zaraz potem zamrugąłem. Szarosine, skłębione chmury przesunęły się po nieboskłonie. Przesunęły? A może widziałem tylko grę światła i cieni? Byłem jednak pewien, że obłok przypominający zaciśniętą pięść z wyciągniętym palcem, znajdował się przed chwilą jeszcze po lewej stronie obrazka, a teraz wyraźnie zajmował centralną pozycję. Czy to możliwe, by moich uszu doszedł jazgot wiatru i dalekie pomruki nadciągającej burzy? Spojrzałem za okno.

Na zewnątrz był piękny, słoneczny dzień. Na niebie nie dostrzegłem ani jednej chmury. Wróciłem wzrokiem do karty i naprawdę usłyszałem grzmot. Brudnoszare niebo przeciął, cienki niczym delikatna nić, srebrzysty zygzak błyskawicy. Właściwie nie powinienem się dziwić.

Skoro mogła do mnie wyjść postać z karty (miałem na przegubie namacalny dowód tego zdarzenia w postaci bransolety!), to dlaczego obrazek innej karty nie mógł żyć własnym życiem? W dodatku karta nadal leżała na stole, a obrazek wyglądał tak, jakby się do mnie zbliżał. Stawał się coraz wyraźniejszy, widziałem już nawet połamane trzpienie zębów w czaszkach.

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, stałem tuż przy stosie ludzkich szczątków. Nic się nie wydarzyło. Nie było żadnego lotu, uczucia tracenia przytomności, zawrotów głowy, nagłego zasłabnięcia. Po prostu przed chwilą byłem we własnej komnacie, siedziałem na wygodnym krześle i dotykałem karty, a już po sekundzie stałem na dzikim odludziu, smagany porywistymi, lodowatymi podmuchami. Zatoczyłem się i runąłem prosto na stertę czaszek, które posypały się z głuchym grzechotem, spadając mi na ramiona i głowę. Zerwałem się równie szybko i pierwsze, co zrobiłem, to rozejrzałem się panicznie wokół. Na szczęście nie dostrzegłem nikogo w pobliżu. Na szczęście, ponieważ nie sądziłem, bym mógł w takim miejscu znaleźć kogoś nastawionego przyjaźnie. Jak okiem sięgnąć rozciągała się szarobura równina porośnięta zeschlą, rachityczną trawą. I hulał wiatr. Lodowaty. Smagający. Wyjący. Zwalający z nóg.

Co dziwne, wcale nie naruszał gigantycznego kurhanu.

Mimo że siła porywów omal nie zwałała mnie z nóg, to kurhan trzymał się, jak gdyby kości były sklezione wyjątkowo mocną zaprawą. Lecz że nie były sklezione, mogłem się przekonać, kiedy na nie upadłem i naruszyłem budowlę. Wyłaniająca się spod tego stosu wieża była gigantyczna. Wysokości co najmniej dziesięciopiętrowego bloku, tyle że skonstruowana na podstawie koła i lekko rozszerzająca się przy samym szczycie, niczym pozbawiony kapelusza grzyb. Nadal nie widziałem okna ani nawet

otworu w litym, szarym murze. Cóż, wszystko to nie wyglądało dobrze. Najwyraźniej karta zabrała mnie w podróż. Jak księcia Corwina z Amberu. Pytanie, czy była to podróż realna, czy też przypominająca senny koszmar lub halucynację. No cóż, sen podczas snu, to byłoby to! Usiadłem na ziemi i podkuliłem nogi. Trzeba się było zastanowić przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Na pewno powinienem obejść wokół tę przerażającą budowlę i sprawdzić, czy wejście nie znajduje się po stronie, której nie widać na licu karty.

Co prawda, dziwna by była koncepcja artysty malującego obrazek ukazujący budowlę od tyłu, ale w końcu: czemu nie? Słyszałem o bardziej zwariowanych pomysłach.

Gorzej, że nie miałem ze sobą niczego, co mogłoby mi się przydać na tym pustkowiu. Miecza. Sznura. Hubki i krzesiwa. Łomu. Ba, nie miałem nawet noża. Jediną groźną bronią, którą dysponowałem, była sprzączka od pasa. Ale najbardziej chyba żałowałem, że nie mam futra lub ciepłej szuby. No, najlepiej puchowej kurtki oraz ocieplaczy z gorteksu. Nie miałem również wody i jedzenia, a ani jedno, ani drugie nie wydawało się łatwe do zdobycia w tej okolicy.

Wstałem i zacząłem obchodzić wieżę dookoła. Nie powinno to zająć zbyt wiele czasu, bo, jak oceniałem, mogła mieć trzysta, może trzysta pięćdziesiąt kroków w obwodzie. Postanowiłem trzymać się z dala od czaszek, gdyż martwy stos sprawiał niesamowite wrażenie i nie mogłem oprzeć się myśli, że nagle coś z niego wychynie. Po tym, jak się oglądało zbyt wiele horrorów, trudno mieć inne skojarzenia... Co gorsza, dały się już odczuć efekty odległych grzmotów i błyskawic, poczułem bowiem na twarzy pierwsze krople dżdżu. Tego jeszcze brakowało!

Spacer wokół wieży trwał kilka minut, ale, niestety, okazało się, że budowla wygląda z każdej strony idealnie tak samo. Nie było żadnego wejścia, żadnych okien ani nawet otworów strzelniczych, tylko dach z niewielkim zębatym murkiem. Na wysokości mniej więcej trzydziestu metrów. Czyżby wejście znajdowało się na górze, a mieszkańiec lub mieszkańcy wieży umieli do niej po prostu wlatywać? Zaraz odrzuciłem tę myśl.

Najprawdopodobniej miałem do czynienia z czymś w rodzaju egipskich piramid. Do nich też nie prowadziły żadne widoczne bramy. Zresztą, zaraz - klepnąłem się w czoło - przecież wejście mógł zasłaniać stos czaszek. Budowniczości przedziwnego gmachu mogli go wznieść razem z bramą lub bramami, a potem ktoś inny, lub nawet oni sami, usypał ogromny kurhan z ludzkich szczątków. Tylko jakiemu celowi miało to służyć? Zagroźeniu drogi do środka? Nie mówiąc już o fizycznym wysiłku, jakiego



wymagałoby przekopanie się przez wszystkie czaszki, nie da się ukryć, że mogły one stanowić również psychologiczną barierę dla zamierzeń intruza.

Deszcz rozhulał się na dobre. Grube zimne krople tłukły mnie w twarz, na dworze zrobiło się tak ciemno, że ledwie widziałem zębaty szczyt wieży. A wokół nie było miejsca, w którym mógłbym się schować. Żadnego drzewa, krzaczka ani skarpy, która ukryłaby mnie przed deszczem. Usiadłem, wtulając głowę w ramiona, zwrócony twarzą w stronę Wieży Czaszek.

Deszcz łomotał w moje plecy. Skuliłem się. Postanowiłem, że przeczekam do końca ulewy, a potem spróbuję pójść przed siebie. Obojętnie, czy na północ, południe, wschód czy zachód. Aby tylko dotrzeć do jakiegokolwiek cywilizowanego miejsca. Zakładając, oczywiście, że w pobliżu znajdowało się jakiekolwiek cywilizowane miejsce i że będę miał szczęście, wybierając odpowiedni kierunek.

- Hej - dobiegł mnie nagle głos z tyłu - co tu robisz?

Odróciłem się błyskawicznie i skoczyłem na równe nogi. W głosie nie słyszałem co prawda agresji, raczej zdziwienie zmieszane z rozdrażnieniem, lecz musiałem się pilnować. Poza wszystkim ten niespodziewany głos mocno mnie wystraszył.

Naprzeciwko stał młody, jasnowłosy mężczyzna w pstrokatym kubraku. Na czubek głowy miał zatkniętą zielono-żółto-czerwoną czapkę, która zapewne tylko cudem nie spadała mu z głowy na porywistym wietrze, a w dłoniach trzymał długi przedmiot w pokrowcu. Ten przedmiot przypominał mi instrument muzyczny. Trudno jednak było nie zauważyć, że nieznajomy nosił z lewej strony u pasa nóż o wąskim ostrzu, a z prawej dwa krótkie drewniane walce połączone cienką linką. Pomyślałem sobie, co by było, gdyby nie zechciał ze mną rozmawiać, tylko od razu użył tej niewinnie wyglądającej, lecz na pewno piekielnie skutecznej garoty.

-O! - wykrzyknął, kiedy zobaczył moją twarz. - To ty! Jesteś w końcu - dodał znacznie spokojniej, bez entuzjazmu, lecz również bez niechęci.

Wichura jakby trochę przycichła, a ulewny deszcz znowu zamienił się w kapuśniaczek.

-Ano - rzekłem, gdyż nie miałem zamiaru zdradzić się, że nie mam bladego pojęcia, kim on jest, co tu robi, skąd mnie zna i dlaczego sądził, że przybędę właśnie w to miejsce.

-Wyglądasz... dziwnie - stwierdził po chwili - gdzie twoje rzeczy? Gdzie masz miecz, Lanne?

Jeśli chodzi o dziwny wygląd, z całą pewnością właśnie on mógłby konkurować o tytuł króla cudaków.

Miał co prawda szarozielone spodnie i wysokie buty z brązowej skóry, lecz na tym kończyła się zwyczajność jego stroju. Kubrak, który włożył, wywołałby palpitację serca u co bardziej konserwatywnych mieszkańców naszej planety. Mienił się kolorami jeszcze bardziej niż okropna, trójkątna czapeczka.

-A ty? - odpowiedziałem pytaniem. - Nie uwierzę, że nie masz nic prócz tej tęczowej kapoty.

-Tak, tak, stara śpiewka - burknął - nigdy nie podobał ci się mój strój.

-Nie mówię, że mi się nie podoba - odparłem. - Sądzę po prostu, że jest poza kryteriami czyjejkolwiek oceny.

Znowu obrzucił mnie dziwnym, taksującym spojrzeniem.

-Wiesz co, Lanne, lepiej chodźmy do studni i schowajmy się przed deszczem, wtedy opowiesz mi wszystko.

Powiedział to zupełnie naturalnie, a mnie nie drgnęła nawet powieka. Chociaż zaproszenie „lepiej chodźmy do studni” nie brzmiało najlepiej. Wyobraziłem sobie nas dwóch ściśniętych w wąskiej cembrowinie i zanurzonych po szyje w lodowatej wodzie, kurczowo trzymających się sznura z zawieszonym na jego końcu drewnianym wiadrem. Wyobraziłem sobie to i roześmiałem się.

-Co cię tak bawi?

-Wszystko - odparłem, zataczając krąg rękami - ten deszcz, wieża, ty i studnia również...

Pokiwał głową.

-Taaak - mruknął - stary, dobry Lanne. Bawi go Wieża Czaszek, a na grobowcach Kundunu pewnie by zatańczył...

W życiu nie słyszałem o grobowcach Kundunu, mimo to tylko się skrzywiłem.

-Trzeba mieć szacunek dla zmarłych. Idziemy?

-Ano chodźmy.

Poprowadził mnie na północ od Wieży Czaszek i po kilku krokach pochylił się. Posapując, uniósł drewnianą klapę. Przyjrzałem się jej i pomyślałem, że musiałbym na nią nadepnąć, by zauważyć, że różni się czymś od podłoża.

-Ruszaj, Lanne. - Usunął się, by zrobić mi miejsce.

Pochyliłem się i moim oczom ukazała się szeroka kamienna cembrowina z solidnie wyglądającymi metalowymi kłami schodzącymi na kształt drabinki aż w głęboką ciemność.

- Skoro tak, to tak. - Westchnąłem i opuściłem się na rękach, stawiając stopy na drugiej z klamer.

Widać mój tajemniczy przyjaciel miał tu kryjówkę. Słyszałem już o takich rzeczach, więc to karkołomne zejście nawet mnie nie zdziwiło. Opuściłem się, tak że miałem jego buty na poziomie oczu, potem jeszcze niżej.

- Daleko w dół? - zapytałem, a mój głos rozbrzmiał głucho.

- Dla kogo daleko, dla tego daleko - rzekł i zatrzasnął klapę.

Runęła z głośnym hukiem, pograżając mnie w zupełnych ciemnościach.

- Zwariowałeś? - spytałem spokojnie, chociaż mogłem tylko pluć sobie w brodę, że dałem się złapać w tak prymitywną pułapkę.

- Przykro mi. - W jego głosie, odległym i przytłumionym, usłyszałem, że naprawdę jest mu przykro.

- Co mam teraz według ciebie zrobić? - Starąłem się nadal być spokojny. - Zejść na dół? Siedzieć tu nie wiadomo jak długo? Zaśpiewać wesołą piosenkę? A może pośpiewamy razem? Ty górą, ja doliną?

Roześmiał się.

- Prawdziwy Lanne. Pomyślałby kto...

- A cóż to ma znaczyć? - zapytałem, gdyż usłyszałem niepokojący ton w jego słowach.

- To ma znaczyć, że jesteś jak on. Prawie jak on.

Tyle, mój drogi przyjacielu, że Lanne umarł. Został zabity przez zdrajcę Yarrada...

- Jakoś nie do końca zabity - przerwałem - owszem ranił mnie, ale...

- Zamknij się - rozkazał bez gniewu - nie winię ciebie, gdyż jesteś tylko cieniem.

Zombie.

Milczałem przez chwilę.

- Zombie chodzą na sztywnych nogach i jęczą: „Mózg, dajcie mi świeży mózg” - odezwałem się wreszcie.

- Humor ci jednak stępsiał - oznajmił. - Wiem, że nic nie pamiętasz, cieniu. Jedynie strzępy dawnego życia. Jakies okrucy, zatarte wspomnienia, fragmenty rozmów, rozmyte twarze. Prawda?

Milczałem, bo i co miałem powiedzieć?

- Taaak - rzekł - tak myślałem. Cię wierzysz, że jest żywym człowiekiem. Pamięta czasami moment swojej śmierci i sądzi, że został uratowany cudownym sposobem. Czyż nie tak właśnie było, cieniu?

Nie podobało mi się, że mówi do mnie per „cieniu”, i powiedziałem mu to. Nie przejął się.

-Tylko że cień jest niczym napięta kusza. Kusza napięta przez tego, kto go stworzył. I kiedyś musi wystrzelić. Nie chcę, byś wystrzelił we mnie lub w moich przyjaciół. Wiem, że czujesz, że to niesprawiedliwe, ale po prostu musisz umrzeć. - W jego głosie słyszałem autentyczny żal.

Zaczerpnąłem tchu.

-To bez sensu - powiedziałem - kto mnie niby miał stworzyć?

-Na przykład Varrad.

-Zabiłem Varrada w pojedynku - wyjaśniłem po chwili zastanowienia.

-Zabiłeś Varrada w pojedynku? - powtórzył z niedowierzaniem. - Masz mnie za idiotę, cieniu?

-Spytaj Kordelii, jeśli chcesz.

-Kordelii? A co ma do tego... - Urwał. - Nie mów mi, że się z nią pogodziłeś?

-Czy można pogodzić się z górską rzeką? - westchnąłem. - Powiedzmy, że zdecydowała się na razie mnie nie zabijać.

Milczał jakiś czas.

-Wiesz, co zawsze radziłem lordowi Lanne? - zapytał wreszcie. - By zabił Varrada i związał się z Kordelią. Szkoda, że nie chciał mnie słuchać. Być może rozmawiałbym teraz z nim, a nie z jego cieniem.

-Daj spokój - powiedziałem. - Faktycznie, Varrad zdradził mnie i ścigał na pustyni. Lecz tylko mnie zranił i zostawił, myśląc, że jestem martwy. Tak czy inaczej zdechłbym tam, gdyby nie pomoc przyjaciela. Oto cała prawda, którą mogę zaprzysiąc. Aha, kiedy wydobrałem, zjawiłem się u Kordelii i zawarłem z nią sojusz. Pomogłem jej pokonać armię Varrada, a jego samego wyzwalałem na pojedynek i zabiłem. Na Kowadłach, jeśli pamiętasz te wzgórza... - Nie wiedziałem, czy był kiedykolwiek w księstwie Kordelii, ale przypuszczałem, że tak.

-Piliśmy tam przecież. - Tym razem jego głos był dziwnie cichy.

-Nie pamiętam - odparłem szczerze. - W ogóle niewiele pamiętam i w tym wypadku masz rację. Ale czy nie słyszałeś o ludziach, którzy stracili pamięć? Których pobito tak strasznie, że zapomnieli o przeszłości?

-Widzisz, cieniu - odezwał się po dłuższej chwili - być może dałbym się przekonać twoim słowom.

Szkopuł tkwi w tym, że ja znalazłem cię na pustyni. Zabrałem twoje ciało i pochowałem je.

Zrobiło mi się zimno. Poczułem lodowatą kroplę, która popęzła wzdłuż kręgosłupa, od nasady karku aż po krzyż.

- Nie wierzę!

- Znalazłem twój objedzony przez sępy i szakale szkielet - wyjaśnił - ale na serdecznym palcu tkwił pierścień i po tym poznałem, że to właśnie ty. Nie masz pierścienia, prawda, cieniu? Złotego pierścienia z szafirem, który zawsze tak bardzo lubiłeś. I z wygrawerowanym napisem po wewnętrznej stronie.

Nie miałem pierścienia. Ani na serdecznym palcu, ani na żadnym innym. Wygrawerowanego czy też nie.

To jednak nie był dowód! To nie mógł być dowód! I wtedy coś błysnęło w mojej pamięci. Jak flesz. Oślepiający. Znowu znajdowałem się na pustyni. Leżałem na rozgrzanym piachu, a wokół mnie krążyli jeźdźcy.

Słyszałem śmiech Varrada. Jeden z jeźdźców zeskoczył z konia i chwycił moją rękę. Szarpnął za serdeczny palec, a pierścień, mój ukochany pierścień z szafirem, ześlizgnął się w jego dłonie...

- To nie byłem ja - wyjaśniłem cicho, gdyż wróciłem do ciemnej, zatechłej studni, a nad odgradzającą mnie od świata pokrywą stał człowiek władny decydować o moim życiu lub śmierci - pochowałeś jednego z ludzi Varrada.

- O czym mówisz?

Opowiedziałem mu o mężczyźnie, który zeskoczył z siodła, i o szarpnięciu. O pierścieniu, który mi ukradł.

- Jeśli to prawda - rzekł powoli - i jeśli on zginął, dlaczego inni nie zabrali trupowi pierścienia?

- Gdybym znał odpowiedzi na wszystkie pytania... - westchnąłem, gdyż sam się zastanawiałem, dlaczego nie obrabowano złodzieja.

Może był po prostu tak zręczny i chytry, by wszystko ukryć?

- Nie popełnij błędu, Arrah. - Jego imię weszło do mojej pamięci, niczym nóż w masło.

Przypomniałem sobie, że siedzieliśmy na miękkich kobiercach, wokół płonęły świece, a kobiety z nagimi piersiami tuliły się do nas.

- Twoje zdrowie, Arrah! - zawołałem wtedy, a jedna z dziewczyn potrąciła mnie i szkarłatna struga wina bryznęła na jego kaftan.

Śmiał się i ścierając czerwone ślady, mówił: „Kogoś innego zabiłbym za coś takiego, ale ciebie tak bardzo kocham, Lanne”.

-Przecież byliśmy przyjaciółmi, pamiętasz? - spytałem. - Nie zabiłeś mnie nawet za to, że poplamiałem ci kubrak...

Kłapa stęknęła, gdy na niej usiadł. Wiedziałem, że się namyśla i stara uporządkować to, co usłyszał.

-Może to i prawda - przyznał, a ja słyszałem w jego głosie nutę świadczącą o tym, że z trudem przyjdzie mu pogodzenie się z faktem, iż popełnił błąd

-ale... no nie wiem...

-Możesz mi pomóc - starałem się brzmieć przekonująco - pomóc mojej pamięci. Poruszam się po omacku, przyjacielu, i jak dotąd niezłe sobie radziłem. Niestety, przeszłość ciągle stanowi dla mnie zagadkę.

Ta szczerość chyba zrobiła na nim wrażenie. Czy właśnie tak zachowałby się Lanne?

-Nie wiem - powtórzył. - Zamknij się teraz i daj mi pomyśleć.

-Sam się zamknij - warknąłem, zanim zdążyłem się zastanowić, a on parsknął śmiechem.

-Przepraszam - powiedział - ale naprawdę daj mi pomyśleć.

Oparłem plecy o cembrowinę studni, a stopy o kłamrę. Nie była to zbyt wygodna pozycja, lecz jakoś mogłem w niej wytrzymać, przynajmniej przez pewien czas. Zacząłem gwizdać.

-Lanne... - rzucił ostrzegawczym tonem i obaj zrozumieliśmy, że tym razem już nie powiedział do mnie „cieniu”.

-Dobra, dobra - odparłem i przestałem.

Dość długo się namyślał. Na tyle długo, by zdążyła mi ścierpnąć prawa noga. Nachyliłem się do niej w nieco akrobatyczny sposób i próbowałem rozmasować mięśnie. Wtedy usłyszałem szcęknięcie kłapy i w mrok studni wdarło się światło.

-No cóż - mruknął Arrah - może popełniam cholerny błąd, ale cię wypuszczę. Istnieje pewna szansa, że faktycznie jesteś Lanne, a ja nie chciałbym, żebyś zginął z mojej winy. Wyłaź!

Wydostałem się, posapując, i wyciągnąłem dłoń w jego stronę. Nie podał mi swojej.

-Jak chcesz - sam usłyszałem urazę we własnym głosie - zważ jednak, że nie można wierzyć do połowy.

Wzruszył ramionami. Na zewnątrz wiatr wyraźnie zelżał, stalowe chmury częściowo odpłynęły i odsłoniły kawał wściekle niebieskiego nieba. Zapatrzyłem się w

tę niebieskość, tak niepasującą do reszty świata. Do szarobrudnego stepu i górującej nad nim nieprawdopodobnej, złowrogiej budowli.

- Co dalej? - zapytałem.

- Mnie pytasz? - odparł pytaniem. - Skoro tu przybyłeś, musisz mieć jakiś plan, prawda? Nie powiesz mi, że wybrałeś się do Wieży na spacer.

- Co to w ogóle jest? Ta Wieża?

Popatrzył na mnie w szczególny sposób.

- No ładnie - powiedział głosem bez wyrazu.

Nie wytłumaczyło mi to za wiele, poza tym, że Wieża musiała być tak znanym symbolem, że fakt, iż ktoś nic o niej nie wie, mógł budzić zdumienie. Doskonale rozumiałem, że muszę być ostrożny w postępowaniu z Arrahem. W końcu ten człowiek omal mnie nie zabił, a poza tym zapewne nie od parady nosił przy sobie garotę. Pomimo komicznego ubioru nie wyglądał na kogoś, komu dobrze byłoby wchodzić w drogę. Nie wyglądał również na kogoś, do kogo bezpiecznie byłoby się odwracać plecami.

Usiadłem i porządnie zabrałem się do rozmasowywania nogi, bo nieprzyjemny prąd biegnący przez mięśnie doprowadzał mnie już do szału.

- Więc znowu jesteś z Kordelią? - zagaił tonem towarzyskiej pogawędki. - Dobrze, mój przyjacielu. Zawsze mówiłem, że właśnie ona jest kobietą dla ciebie. To co jej... - klasnął w dłonie - zresztą, w cholere z tym! Na bogów czeluści, chciałbym wiedzieć jedno: jak naprawdę udało ci się wykończyć tego gada?

Domyśliłem się, że mówi o Yarradzie.

- Pojedykowałem się z nim - wyjaśniłem po raz wtóry - i nie nazywaj go gadem, bo to człowiek, którego kiedyś kochałem.

- Pojedykowałeś się - powtórzył tonem, który świadczył o tym, że za grosz mi nie wierzy - z Varradem-od-Miecza, twoim nauczycielem i mistrzem, najlepszym fechtmistrzem naszego świata?

Słyszałem już te słowa i powiedziałem mu o tym.

- Najlepszy jest ten, kto żyje - dodałem bez sztucznej skromności - nie powiem, by nie dopomogło mi szczęście, ale cóż... ono sprzyja lepszym.

- Pewnie. - Podrapał się za uchem.

- No więc co robimy? - zapytałem.

- Daj mi się zastanowić.

- A tak na marginesie - zagadnąłem - gdzie jest mój pierścień?

- Leży z tym tam... szkieletem - odpowiedział, a potem spojrział na mnie i na jego policzki wypełznął rumieniec. - Nie sądzisz chyba, że go zabrałem?

- Nie widziałbym w tym nic złego - wzruszyłem ramionami - pod warunkiem, że traktowałbyś go jak pamiątkę po przyjacielu, a nie przedmiot na sprzedaż...

Wyraźnie się rozluźnił.

- Pewnie masz rację - rzekł - ale nie pomyślałem o tym. Pochowałem go tam gdzie i ciało, czy raczej szkielet, bo mówiłem ci, że z samego ciała nic nie zostało.

- Też pięknie. Tylko gdzie, na Boga, jest ten szkielet i gdzie jest mój cholerny pierścień? I czym on dla mnie był, że przykładałem do niego taką wagę? Rodzinną pamiątką? Zdobyczą? Jaki napis wyryto w metalu?

Chmury powoli ustępowały i przebłysnęło zza nich raz czy drugi słońce. Arrah ułożył się wygodnie i oparł głowę na pięściach.

- Nie mam pojęcia, co to za pierścień, poza tym, że strzegłeś go jak oka w głowie. Dlatego sądziłem, że powinien zostać przy twoich zwłokach. Niczego sobie nie przypominasz?

Próbowałem wyobrazić sobie złoty pierścień z szafirem, ale nie widziałem niczego poza sceną z żołnierzem zdzierającym mi go z palca.

- Trudno - odparł - a pochowałem cię, znaczy to ciało, w nekropolii Kirilath.

- Pod samym bokiem Suzerena? - zdumiałem się.

- Nie było łatwo - teraz on wzruszył ramionami - pamiętałem jednak, jak zawsze mówiłeś, że chciałbyś leżeć właśnie tam.

Jakoś bardzo uprzejmy wydawał mi się ten mój przyjaciel. Najpierw szukał mojego ciała, potem fatygował się przez Bóg wie ile świata, by spełnić zachciankę zmarłego. Coś tutaj wyraźnie śmierdziało. Może nie miał złych intencji, ale z całą pewnością nie czynił wszystkiego bezinteresownie. Postanowiłem na razie wziąć jego słowa za dobrą monetę.

- To bardzo wielkodusznie z twojej strony. - Zauważyłem szybkie spojrzenie, jakby usiłował sprawdzić, czy nie kpię. - Naprawdę to doceniam, ale myślę, że byłoby dobrze, gdybym zabrał swój pierścień.

- Czemu nie? Nie sądzę, jednak byś był mile widzianą osobą w Kirilath.

- Napis - przypomniałem mu.

- „Na zawsze twoja” - odrzekł.

- Musiała mnie kochać - zauważyłem po namyśle.

- Kochała cię, nienawidziła, próbowała zabić, ratowała twoje życie... - westchnął - wszystko w jednym.

- Kto, na Boga?!

Zapatrzył się we mnie.



- Jak to kto? - zapytał niepewnie. - Twoja matka. Jej też nie pamiętasz?

Informacja o tym, że moja matka nienawidziła mnie i próbowała zabić, nie mogła poprawić mi humoru. I nie łagodziły tego nawet słowa Arraha, mówiące o tym, że mnie kochała i uratowała mi życie.

Lanne, drogi Lanne, dlaczego niemal wszyscy na tym świecie aż tak bardzo cię nienawidzą?

- Gdzie ona teraz jest?

Odpowiedział na to pytanie, a ja zamarłem.

- Kłamiesz - wyjąkałem.

- Zwykle zabijam za to słowo - ostrzegł, spoglądając na mnie ponuro.

- Więc do dzieła! - Wstałem i poczułem, jak wściekłość wsącza jad do żył. -  
Zróbmy to tu i teraz, Arrah!

- Och, Lanne - westchnął - nie zmienisz przeszłości, zabijając przyjaciół. Wiesz, że wszyscy zawsze cię kochaliśmy...

- Wszyscy? - zapytałem.

I wtedy sobie przypomniałem.

- Wiem, Arrah! Wiem z jakiego powodu tu przybyłem! Mam ich odnaleźć!

- Kogo?

- Przyjaciół. Ciebie, Varrada, Kordelię i Horgara.

Kiedy wymawiałem to imię, w mojej pamięci znowu rozbłysnął flesz. Niespodziewanie przypomniałem sobie jasnowłosego olbrzyma, który splatał brodę w dwa warkocze, a w palcach potrafił zwinąć srebrny kielich w niekształtną kulę.

- No to Varrada już znalazłeś - zakpił Arrah.

Postanowiłem nie reagować na te słowa.

- A Horgar?

- Horgar. - Arrah westchnął. - Od lat go nie widziałem.

- Czemu?

- Co czemu?

- Czemu go zostawiłeś?

- Do cholery, jesteś ostatnią osobą, która...

Moja ręka była szybsza niż moje myśli. Chwyciłem Arraha za gardło.

- Czemu go zostawiłeś?!

Zobaczyłem, jak twarz towarzysza pokrywa się purpurą, i puściłem. Sapnął wściekle, nie sięgnął jednak ani po nóż, ani po garotę. Najwidoczniej musiał czuć się trochę winny.

- Sam wiesz, jaki on jest... - burknął.

- Gdzie go znajdziemy?

Opuścił głowę.

- Nie wierzył, że umarłeś. Powiedział, że sprawdzi grób. Że rozpozna nawet twój szkielet... Potem już jakoś się nie...

- Jakoś się nie?! O czym ty mówisz? Przecież to jasne, że wpadł w ich łapy! Suzeren go znał, prawda? - spytałem po chwili spokojniejszym tonem.

- Znał! - parsknął Arrah. - Może ty byłeś pierwszy na jego liście, ale Horgar był drugi... No to rzeczywiście można powiedzieć, że go znał...

- A ty, przyjacielu? Który byłeś na liście Suzerena?

Milczał przez moment.

- Powiedzmy, że teraz jest tak uprzejmy, że nie poluje na moją głowę...

- Skąd ta niezwykła łaskawość?

Zbladł, a jego dłoń znalazła się na drzewcu garoty.

- Ośmielasz się sugerować...

- Ja nic nie mówię, Arrah.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, a potem on spuścił wzrok.

- Mniejsza z tym - rzekłem - znajdę go. Teraz powiedz, jak możemy stąd wrócić do Kordelii.

- Chcesz mi jeszcze powiedzieć, że nie masz swojej karty? - Był wyraźnie rozdrażniony.

Westchnął i sięgnął za pazuchę. Wyciągnął pakunek, w którym po chwili znalazł kartę przedstawiającą zamek Kordelii. To był perfekcyjny rysunek, a budowla wydawała się trójwymiarowa.

- Genialne - mruknąłem.

- Co jest genialne? - burknął.

- Ten szkic... Po prostu...

- Daruj sobie. - W jego głosie słyszałem coraz większą złość.

- Nie rozumiem...

- Lanne, mam dość twoich zachwyków nad samym sobą! Znoszę, kiedy po pijaku płaczesz ze wzruszenia, śpiewając własne ballady, ale szlag mnie trafi, jeśli na trzeźwo zaczniesz podziwiać swój kunszt malarski!

- Zaraz... Swój? Chcesz powiedzieć, że ja ją...

- No, pięknie! - Zrozumiał, że naprawdę nic nie pamiętam.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

-Dobra - burknął po chwili. - Zmykaj do Kordelii. Będę czekał w Kirilath.

-Mam więcej kart. Powiedz mi...

-Co to znaczy, że masz więcej kart? - Teraz był nie tylko zły, ale również zaniepokojony. - Masz więcej niż dwie karty?

-Pewien człowiek przyniósł mi całą talię...

-No, pięknie - powtórzył. - Nie dotykaj ich. Nie patrz w nie. A zwłaszcza na królową trupów.

-Czemu?

-Po prostu nie patrz, dobrze?

-Ale...

-Lanne, zmykaj stąd, zanim się rozmyślę i jednak cię zabiję.

Niestety, to nie były żarty. Nie zamierzałem walczyć z człowiekiem, który najprawdopodobniej władał sprawnie zarówno sztyletem, jak i garotą, zwłaszcza że mogłem przeciwstawić mu tylko nagie dłonie.

-Zostawię ci wiadomość w Świńskim Ryju - rzekł. - Powodzenia.

Wystarczyło, że zerknąłem na kartę otrzymaną od Arraha, a zorientowałem się, że stoję pośrodku komnaty w zamku Kordelii. Pamiętałem, że kiedy wyruszałem w niechcianą i niespodziewaną podróż, za okiennicami panowała ciemność. Teraz zobaczyłem, że nadal jest noc. Ba, więcej! Przypomniałem sobie, że nad widoczną z moich okien basztą lśniła szczególnie jasna gwiazda. Nie przesunęła się nawet o cal! A więc czas, który spędziłem obok Wieży Czaszek, miał się nijak do czasu mijającego na zamku Kordelii. Tam minęła co najmniej godzina, tutaj zapewne minuta. Postanowiłem wykorzystać ten łut szczęścia i wrócić do Kordelii. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, moja kochanka nawet się nie zorientuje, że opuściłem jej łóżko.



**D**ziwne, lecz w ramionach Kordelii spałem czujnie niczym ptak. Czyżbym w głębi duszy nie ufał jej i spodziewał się, że może szykować zdradę? Cóż, w końcu Dalila poradziła sobie z

niezwyciężonym Samsonem, kiedy był upojony winem i zmęczony miłością. W każdym razie tylko dzięki temu czujnemu snowi dostrzegłem, jak drzwi komnaty leciutko się uchylają. Na początku wydawało mi się to jedynie złudzeniem. Oczywiście miałem jeszcze przymknięte, a moje myśli krążyły gdzieś daleko od zamku Kordelii i całego świata. Ale potem już wyraźnie widziałem, jak powiększa się szpara pomiędzy framugą a drzwiami. Odgarnąłem kołdrę i zeskoczyłem z łoża. Sam zdziwiłem się naturalnością tego ruchu. Zeskoczyłem cicho i zręcznie, wylądowałem na podłodze w przykłęku, z ręką na rękojeści leżącego przy łożu miecza. Kordelia nawet nie drgnęła. Spała z włosami rozrzuconymi na poduszce i oddychała przez półprzymknięte usta. Jej lewa dłoń obejmowała nasadę prawej piersi. Wyglądała słodko i uroczo, lecz nie miałem czasu podziwiać ani jej słodyczy, ani urody. Cicho uniosłem miecz i wysunąłem go delikatnie z pochwy. Przemknąłem na palcach do ściany i stanąłem tak, by otwierające się drzwi mnie zasłoniły. Wtedy też zrozumiałem, że nocny przybysz nie ma złych zamiarów. Usłyszałem bowiem, jak nerwowym głosem szepce: „Lordzie Lanne, lordzie Lanne...”. Ten szept był tak cichy, że nie spłoszyłby nawet muchy, ale przynajmniej świadczył o dobrej woli skradającej się osoby. Zobaczyłem dłoń na framudze i skoczyłem. Oparłem ostrze miecza na gardle zdumionego i przerażonego Glejara. Schowałem oręż do pochwy i wypchnąłem żołnierza za drzwi, ostrożnie je przymykając. Teraz znajdowaliśmy się w komnacie, w której powinny czuwać dwie dworki Kordelii. Ale objane ałtarem (choć mimo to diablo niewygodne) krzesła były puste.

-Czyś ty oszalał? - zapytałem.

-Lordzie Lanne - oczy Glejara były rozszerzone strachem - przybyłem, by cię ostrzec!

-Ostrzec? - Pociągnąłem go w stronę krzesła. - Siadaj, chłopcze, i mów. Co się stało?

-Widziałem wysłanników Suzerena, panie. Widziałem ich u Kardemara, jak wchodzili do jego pokoi.

-Wysłannicy Suzerena - powtórzyłem powoli.

Oto wreszcie na szachownicy pojawiała się następna figura. Figura, która, po pierwsze, budziła przerażenie, a po drugie, jak słyszałem, nie była mi nadmiernie przychylna. W końcu to Kardemar i Kordelia twierdzili, że Suzeren zażąda mojej głowy. Dlaczego w takim razie jego wysłannicy rozmawiali z podstolim księżnej? Czy działa się to za jej wiedzą i zgodą? Czy też Kardemar uznał, że wykona brudną robotę za swoją panią? A może źle go oceniałem? Może nie zamierzał spiskować przeciwko

mnie? Byłem jednak pewien, że nie podoba mu się, iż lord Lanne stał się ulubionym bohaterem ludu księstwa i spędza noce w łóżu jego władczyni.

-Tak, lordzie Lanne. Widziałem dwóch, choć pilnie uważali, żeby ich nie dostrzeżono!

-Kiedy ich widziałeś?

-Przed chwilą, wasza miłość! I natychmiast przybiegłem, by cię ostrzec, lordzie.

-Zostań tutaj, Glejar - nakazałem po namyśle - i czekaj na mnie.

Wróciłem do sypialni Kordelii. Nie spała, tylko patrzyła w stronę drzwi podparta na prawym łokciu.

-Nocne narady ze służbą, drogi Lanne? - zagadnęła jadowitym tonem.

-O nocne narady być może należałoby spytać twego podstolego - rzekłem.

Odłożyłem miecz i zacząłem się szybko ubierać. Nie patrzyłem na nią.

-Co to ma znaczyć?

-To, moja śliczna - odparłem, walcząc z nogawicami - że Kardemar właśnie rozmawia z wysłannikami Suzerena. A ja jestem bardzo ciekaw tematu rozmowy, która odbywa się pośrodku nocy i w takiej tajemnicy.

A może nie dla wszystkich jest to tajemnicą? - Spojrzałem jej w oczy.

Odgarnęła kołdrę i usiadła gwałtownie. Jej piersi zakołysały się.

-Nic nie wiem o wysłannikach Suzerena, Lanne - powiedziała ostro. - Co to za brednie?

-Brednie lub nie, lecz każdą informację wypada sprawdzić. I dlatego zamierzam złożyć wizytę twojemu doradcy. Jak myślisz, ucieszy się?

Sięgnęła po nocną koszulę i zarzuciła ją sobie na ramiona.

-Aż tak bardzo mi nie ufasz? Czy sądzisz, że mogłabym chcieć widzieć cię w lochach Kirilath? Albo w Karad-bar?

Karad-bar. To były nowe słowa, ale coś mi mówiły.

Miałem wrażenie, że wielu lękało się tej nazwy. Cóż ona oznaczała? Zamek? Twierdzę? Lochy słynące ze zręcznych mistrzów katowskich? Na pewno Karad-bar było ostatnim miejscem, w którym chciałbym się znaleźć. Przymknąłem powieki i nagle zobaczyłem schody o stopniach wygładzonych przez czas i tysiące stóp. Wilgotne, omszałe ściany. Mrok rozjaśniony drżącym, czerwonym blaskiem pochodni. Usłyszałem ciężkie kroki strażników i poczułem wszechwładny smród. Wiedziałem, że w nocy królują tam opętające wrzaski torturowanych i pisk szczurów. Otworzyłem oczy. Czy byłem już kiedyś w Karad-bar?

-Lanne, Lanne... - Kordelia potrząsała moim ramieniem.

-Byłem tam - powiedziałem głucho - niewiele pamiętam, ale wiem, że byłem w Karad-bar.

Przyglądała mi się rozszerzonymi oczami. Widziałem w nich strach i zdumienie.

-To niemożliwe, Lanne - odparła - przecież wiesz, że to niemożliwe. Nikt, kto trafi do Karad-bar, nie wychodzi stamtąd.

-Nie rozumiesz, co się ze mną działo przez te wszystkie lata, gwiazdko. - Wzięłem jej dłonie w swoje. Drżały. - Przysięgam jednak, że prędzej zabiję ciebie i siebie, niż wrócę do tych lochów.

-Jesteś chory, Lanne - patrzyła na mnie teraz nie tylko z przerażeniem, lecz i troską - nie mogłeś być w Karad-bar. To sny...

Otrząsnąłem się i puściłem jej dłonie.

-Różnice między snem a rzeczywistością mogą się czasem zatrzeć, moja piękna Kornelio. Cóż z tego, skoro pamiętam Karad-bar? Do dziś czuję smród i pamiętam wrzaski więźniów. Niewiele więcej, lecz to wystarcza, by nie chcieć nigdy tam wrócić.

-Lanne, nikt cię nie wyda Suzerenowi! - Widziałem, że stara się opanować. - Zresztą jak sobie to wyobrażasz? Jesteś bohaterem, uratowałeś nas przed Varradem, masz smoka, który spełnia twe rozkazy. Nawet gdybym chciała, jak mogłabym oddać cię w ręce wysłanników Suzerena?!

-Być może twój albinos coś knuje – przerzuciłem miecz przez ramię i dopiąłem pas - a ja chciałbym wiedzieć co.

-Więc idź i sprawdź - powiedziała - a jeśli wykryjesz zdradę, zabij go.

Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się.

-Nie omieszkam usłuchać tej rady - odrzekłem - tego możesz być pewna. Ale jeśli ty mnie zdradzisz, powiedz, czy mam zabić również ciebie?

-Nie tak, Lanne - pokręciła głową - wierz mi, że zapłacisz za wszystko, co zrobiłeś. Ale zapłacisz mnie, nie Suzerenowi. Nie zdradzę cię...

-Cóż ci zrobiłem, gwiazdko, że tak bardzo mnie nienawidzisz? - wyszeptalem.

-Nie zadawaj pytań, na które świetnie znasz odpowiedź - warknęła.

-Może kiedyś uda mi się pokochać również twoją nienawiść.

-Również? - Tym razem to ona szeptała. - Jak to „również”, Lanne? Chcesz powiedzieć, że...

Już miałem ją objąć, kiedy rozległ się przeraźliwie głośny łomot. Ktoś nie stukał do drzwi, lecz walił w nie pięściami.

-Lordzie! Lordzie! - usłyszałem krzyk Glejara. Podbiegłem i odsunąłem zasuwę.

-Twój smok, panie! - Na twarzy żołnierza widziałem strach i rozpacz. - Nie żyje!

Czy czuliście się kiedyś tak, jakby ktoś przedał się przez wasze trzewia i ścisnął wasze serce w dłoni? Ja się tak właśnie poczułem. Nie mogłem nic powiedzieć i nie mogłem zaczerpnąć tchu.

- On żyje - zza pleców dobiegł mnie spokojny głos Kordelii - to jedynie letarg, z którego wybudzi się w stosownym czasie.

Myślę, że gdybym oglądał tę scenę na ekranie, to wydawałoby mi się, że odwracam się w jej stronę w zwolnionym tempie. Widziałbym klatka po klatce każdy swój ruch.

- Co? - Mój głos dobiegał zewsząd i znikąd. Tak jakbym to nie ja wypowiadał te słowa.

- Będzie żył. Ale teraz śpi.

- Coś ty zrobiła, Kordelio?! Na Boga! Coś ty zrobiła?!

- Nie zrobiłam mu żadnej krzywdy. Nie zabiłam twojego smoka. Musisz jednak zrozumieć...

Nie chciałem rozumieć. I nie chciałem dalej słuchać.

Rzuciłem się w jej stronę, chwyciłem ją za szyję i cisnąłem ciałem o ścianę. Huknęła w mur plecami i głową.

Prawą dłonią wciąż ją dusiłem, lewą wyszarpnąłem sztylet. Przyłożyłem ostrze do jej oka.

- Jak go obudzić? - spytałem, starając się, by mój głos był wyraźny, a każde słowo jasno wyartykułowane. - Zła odpowiedź i stracisz oko.

- Nie potrafię. - W jej głosie zabrzmiała na tyle duża doza szczerości, że pohamowałem się przed spełnieniem groźby.

- Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę.

- Przysięgam! Zasnął. Obudzi się. Kiedyś. Nie wiem kiedy!

- Obudzi się sam z siebie? Bez odtrutek? Zakłęcz?

- Nie, Lanne. Tak jak mówisz: obudzi się sam z siebie. - Teraz usłyszałem w jej głosie przerażenie, ale nie sprawiło mi to satysfakcji.

- Więc nie jesteś mi potrzebna, Kordelio - powiedziałem i uniosłem sztylet.

- Jestem brzemienna! - krzyknęła, a ostrze zatrzymało się na jej skórze.

Widziałem jak po szyi spływa strużka krwi.

Spojrzałem w jej oczy. Co w nich zobaczyłem? Nic.

Żrenice kobiety, która odebrała mi przyjaciela. Żyła na szyi Kordelii pulsowała niezwykle szybkim rytmem. Moja kochanka bała się. I słusznie, gdyż zamierzałem ją zabić.

- Czyjego to bękartą nosisz, księżniczko, w swoim łonie?

- Twojego.

Przysięgłbym, że nie cofnąłem sztyletu. Ale jednak ostrze znajdowało się teraz kilka centymetrów od szyi Kordelii.

- Przecież minęły...

- Już od tygodnia powinnam mieć krwawienie - wyjaśniła - może to tylko przypadek, a może nie... Zabijesz mnie, Lanne? I przez całe życie będziesz się zastanawiał, czy nie zabiłeś własnego dziecka?

To ja trzymałem ją przy ścianie za gardło. To ja groziłem jej nożem. To ja w każdej sekundzie mogłem zabrać jej życie. Ale to ona wygrała.

- Ty kurwo - warknąłem, gdyż zrozumiałem, że jestem bezsilny - ty cholerna, zdradliwa, przekłeta, fałszywa kurwo!

- Och, Lanne, uwielbiam to. Wreszcie zaczynasz spłacać dług... Ból, upokorzenie i bezsilność. Cudnie, prawda?

Kiedy ją puściłem, odetchnęła z ulgą. Schowałem sztylet do pochwy. Spojrzałem na jej triumfującą, dumną twarz.

- Nie, moja piękna - rzekłem - cudem jest coś innego. Zakochałem się w tobie, a teraz znów jestem wolny. I wstydzę się samego siebie, myśląc, jak mogła mnie omamić tak nędzna kreatura, jak ty. Módl się, żebyś naprawdę była brzemienna, Kordelio!

W jej twarzy coś pękło.

- Nigdy mnie nie kochałeś! - wrzasnęła.

- To już nieważne. Ważne jest, że pójdę sam do Kirilath i do Karad-bar.

I wtedy coś sobie przypomniałem. Może nie wszystko. Ale dużo krwi i dużo cierpienia. I coś jeszcze. Wiedzę, że muszę się znaleźć w Karad-bar. Że tam czeka... Moje przeznaczenie?

Kordelia wpatrywała się we mnie takim wzrokiem, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

- Chciałam cię zatrzymać... Lanne, chciałam cię osłabić, ale...

Nie czułem już gniewu ani żalu. Nie chciałem jej zabić ani ukarać. Czułem ulgę, wiedząc, że mój smok żyje i kiedyś się ocknie. Miałem nadzieję, że doczekam tego „kiedyś”.

- Przestań - rozkazałem - i wybac mi to, co powiedziałem. Uczyniłaś tylko to, co powinna uczynić władczyni. Ostatnio widziałem w tobie jedynie przepiękną kobietę, na myśl o której drżało mi serce...

- Nie rób mi tego!



-...ale zapomniałem, że jesteś odpowiedzialna za kraj i poddanych. Podjęłaś złą decyzję, gwiazdko. Szkoda, że nie wolałaś mi zaufać...

-Tobie? - Miała złą twarz, a wypowiedziane słowo wpierw otoczyła lodem. - Po tym, co mi zrobiłeś? Ukradłeś mi wszystko, Lanne. Moją miłość, moją godność, moje dobre imię. Nawet mój pierścień... Nie mów o zaufaniu, bo nie znasz tego słowa!

-Czyli było aż tak źle - szepnąłem bardziej do siebie niż do niej. - Przecież mogłaś mi kazać odejść, Kordelio - rzekłem na głos. - Wystarczyło powiedzieć!

-Mój ojciec żałował, że nie doczekał syna takiego jak ty. Zawsze cię kochał! Zabrałeś mi wszystko, Lanne! Zabrałeś mi też miłość ojca. Nawet kiedy umierał... - Urwała i rozpaczliwie zaczerpnęła tchu.

Czekałem.

-Wiesz, jak brzmiały jego ostatnie słowa?

Pokręciłem głową, choć mogłem sobie darować ten gest, bo Kordelia i tak na mnie nie patrzyła.

-„Zaśpiewaj coś, Lanne!” Rozumiesz? Czuwałam przy nim przez te wszystkie straszne noce, przez te wszystkie straszne dni, a jego ostatnim życzeniem było, żebyś mu coś zaśpiewał! Właśnie ty!

-Szkoda, że nie mogłem tego zrobić – wyznałem ze szczerym smutkiem.

-Myślę, że cię widział. Że patrzył w pustkę i wyobrażał sobie, że siedzisz obok niego. A mnie nie widział! Jak mógł? Po tym wszystkim? Po tym, jak nas zdradziłeś, wykorzystałeś, ośmieszyłeś?

Jezu Chryste! Cóż takiego uczynił Lanne Lloch l’Annah tej damie? Otrząsnąłem się z myśli o odległej przeszłości, której zresztą nawet nie pamiętałem.

-Wygrałem dla ciebie wojnę, Kordelio - przypomniałem - więc lepiej nie chwal się ludziom, w jaki sposób płacisz za przysługi, bo możesz mieć problem ze zwerbowaniem następnych obrońców.

-Ukradłeś mi wszystko. Dlaczego miałam wierzyć, że nie zjawileś się, by tym razem ukraść moje państwo?

-Gdybym chciał twojego państwa, Kordelio, zabrałbym je. Zabrałbym je nawet teraz, chociaż pozbawiłaś mnie smoka. Generałowie Varrada ślubowali mi posłuszeństwo, a twoi poddani widzą we mnie wybawcę. Znajdź żołnierzy, którzy posłuchają rozkazu, żeby mnie zabić. Chcesz się założyć?

Milczała.

-Ale ja nie chcę, Kordelio! Nie chcę pozbawić cię tronu! Jak mogłaś być tak głupia, by tego nie rozumieć?

Ciągle milczała, a kiedy cisza zaczęła się przedłużać, powiedziałem:

- Bądź tak łaskawa i daj mi dwa dobre konie. I dbaj o mojego smoka. Jeśli umrę, a on się obudzi, sądzę, że będzie ci służył.

- Czemu... czemu tak myślisz?

- Będzie wiedział, że właśnie tego bym pragnął.

- Lanne, nie jedź do Kirilath! Błagam cię!

- Poleciałbym tam na smoku, gwiazdko. Wzbudzając szacunek i siejąc trwogę.

Cóż, wyraźnie te plany były za proste.

- Gdybym mogła cofnąć...

- Gdybyśmy wszyscy mogli... - przerwałem jej.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie! Błagam! Czego szukasz w Kirilath?

To było dobre pytanie. A mnie było bardzo przykro, że nie potrafiłem ani jej, ani sobie udzielić na nie pełnej odpowiedzi. Wiedziałem jedno: właśnie tam, w lochach Kirilath, znajdę Horgara. A może już tylko to, co z niego zostało...

- On ci tego nie daruje - ciągnęła Kordelia – złapie cię i wyśle do Karad-bar...

- Dostanę te konie i zapasy na drogę?

Skinęła głową dopiero po dłuższej chwili.

- Zginiesz - stwierdziła tak pewnym tonem, jakby znała przyszłość.

- Od czasu walki z Varradem twoje przeczucia uznaję za zdecydowanie zbyt pesymistyczne - odparłem, pozwalając sobie na żartobliwy ton.

Ruszyłem w stronę drzwi, lecz odwróciłem się na samym progu.

- Możesz mi teraz już powiedzieć prawdę. Czy...

- Tak.

- Jeśli nie wrócę...

- Będzie dumny z ojca. Obiecuję ci.

- Kordelio, w gniewie powiedziałem, że się wstydzę, ale...

- Wiem.

- Szkoda, że nigdy nie będzie okazji, byś ty również...

- Szkoda.

Stałem jeszcze przez chwilę.

- Do widzenia, gwiazdko - rzekłem w końcu.

- Do widzenia? Och, Lanne, jakże lubię twoje radosne podejście do życia!

Uśmiechnąłem się również, gdyż wiedziałem, że tego właśnie się spodziewa.

- Lanne, czy mogłabym w jakiś sposób...?

Zdawałem sobie sprawę, ile ją kosztowało zadanie tego pytania.

-Nie - odpowiedziałem stanowczo - ale nie zapomnę, że spytałaś.

Wyszedłem z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

I wtedy wizja Karad-bar wdarła się w mój umysł i w moją pamięć niczym kamień ciśnięty do stawu o lustrzanej toni.

-O mój Boże! - jęknąłem, osuwając się po ścianie.

-Lordzie Lanne? - Zaniepokojony Glejar, który czuwał w korytarzu, podskoczył ku mnie. - Czy coś się stało?

-Nie - odparłem spokojnie, choć ten spokój z trudem przyszło mi zachować, i podniosłem się z kolan.

Bo faktycznie nic się nie stało. Przypomniałem sobie tylko, jak zamęczono mnie na śmierć w Karad-bar.

-Moje oczy - szepnąłem tak cicho, że niemal nie usłyszałem własnego głosu.

-Co z oczami? Lordzie?!

-Wyłupili mi oczy. Wyrwali język. Łamali na kole. - Czułem jak niechciane łyżki spływają mi po policzkach. - Glejar!

Chwyciłem żołnierza za ramiona, a potem, kiedy zobaczyłem na jego twarzy strach, puściłem. Odetchnąłem głęboko.

-Sen mara, Bóg wiara - rzekłem, starając się uporządkować myśli. - Karad-bar... Co to jest Karad-bar, przyjacielu?

Wpatrywał się we mnie, a jego oczy się rozszerzyły i teraz przypominały spodki. Okej, ja wiem, że oczy żadnego człowieka nie są w stanie rozszerzyć się jak spodki, ale właśnie tak, w tym konkretnym momencie, pomyślałem.

-To piekło, mój panie - wydukał.

-Piekło - powtórzyłem - a dalej?

-Ja nie wiem, panie, co byście chcieli...

-Mów, chłopcze.

-Nikt nie wraca z Karad-bar. Nawet Suzeren tylko tam pilnuje, ale mówią, że nie wie co... Tam nie posyłają zwykłych więźniów, lordzie Lanne.

-A kogo?

-Nie wiem, mój panie.

-Może to tylko mit? - Zobaczyłem, że mnie nie rozumie, i poprawiłem się: - Może to tylko bajka?

-Nie, lordzie. Dawno, dawno temu zabili w Karad-bar kogoś, o kim pamiętamy.

-Kogo?

- Nie znam imienia, lordzie. Zabili jego i wszystkich żołnierzy, którzy mu służyli.

O tym - obniżył głos - nie wolno opowiadać.

- Czemu?

- Nie wiem, lordzie. Dziadek coś tam mówił, ale...

- Powiedz.

- Chciał, żeby było dobrze. Ten człowiek, znaczy się. Żeby było jakoś tak sprawiedliwie i żeby, jak ktoś jest biedny, to żeby też był jak każdy inny. I żeby nie można było bić ludzi. I jak szlachcic przejedzie się po polu, to żeby musiał zapłacić za szkody. I żeby nie torturować... I że zwierzyna w lasach nie jest pana, ale wszystkich...

Słuchałem tych mocno niezbornych wyjaśnień i domyśliłem się, że Glejar najwyraźniej wspominał ludowego bohatera, mającego, jakkolwiek by na to patrzeć, bardzo słuszne poglądy.

Raz jeszcze głęboko odetchnąłem.

- Złe sny, przyjacielu - wyjaśniłem - wybaczone, proszę, jeśli cię wystraszyłem.

- Lordzie... Zawsze... Żeby nie wiadomo co...

- Wiem, wiem, wiem - poklepałem go po ramieniu - cieszę się, że cię poznałem, Glejar. Mam nadzieję, że spotkamy się za kilka tygodni.

- Dokąd zmierzasz, panie? Czemu nie chcesz zabrać mnie ze sobą?

Żebyś nie umarł, głupcze, chciałem odpowiedzieć. Ale tylko się uśmiechnąłem.

- Ktoś musi pilnować smoka - odparłem - a jedynie tobie ufam na tyle, by ci powierzyć to trudne zadanie.

Zarumieniłem się z dumy.

- Nie zawiodę, lordzie - obiecałem żarliwie.

- Wiem - rzekłem.

Obróciłem się, nacisnąłem klamkę i wszedłem do sypialni, mimo że wcale nie chciałem już oglądać mej kochanki.

- Jeżeli ten chłopiec umrze, jeżeli przytrafi mu się jakieś nieszczęście - powiedziałem, nie patrząc w jej stronę - uznaję to za zniewagę. Za bardzo poważną zniewagę...

- To teraz jestem, według ciebie, morderczynią? - wyszczała wściekle.

Przyjrzałem się jej. Była piękna. Nawet w złości, z wykrzywioną twarzą i zmrużonymi oczami, nadal była piękna. Po tym, co mi zrobiła, po tym, co o mnie sądziła, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że oddałbym wszystko, żeby poczuć, jak jej serce bije tuż obok mojego. Mogłem powiedzieć, że ją kocham. Mogłem wyznać, że

mnie zauroczyła i zdobyła. Mogłem przysiąc, że przedtem nigdy i nigdzie... Mogłem. Mogłem równie dobrze podciąć sobie żyły na jej oczach.

- Jesteś wrogiem, którego pozostawiłem przy życiu - objaśniłem zimnym tonem. - Nie każ mi żałować tej decyzji. I nie każ mi jej zmieniać.

- Zgnijesz tam, Lanne! Zgnijesz w lochach Suzerena. A ja będę się tylko śmiała! Każę wtedy wydać ucztę!

- Cóż, zatem wypada się cieszyć, że przysporzę ci odrobinki radości. Będziesz się miała z czego śmiać w swoim pustym zamku i pustym łożu...

- Mogę mieć każdego, kogo zechcę - warknęła.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

- I właśnie tego pragniesz, księżniczko? Mieć każdego? Czyż nie brzmi to podobnie do „mieć nikogo”?

Uciekła ze wzrokiem.

- Wynoś się, wynoś się, wynoś...

- Do widzenia, moja pani. - Ukłoniłem się nisko. Znacznie niżej, niż wymagałaby tego najbardziej surowa etykieta.



**O** budziłem się spocony i zmęczony, a twarz miałem mokrą od łez. Mój smok. Mój przyjaciel. Moja kochanka. Moja zdrajczyni. Fantastyczna, heroiczna historia, wzmocniona bajecznym romanssem, zaczynała się diablo komplikować. Ten sen nie był już kolorowo radosny. Pojawiły się w nim ból, krew i rozczarowanie. Za dużo bólu, krwi i rozczarowania.

- To tylko sen - szepnąłem - to tylko sen, człowieku...

Wbrew tym słowom wiedziałem jednak, że sprawa daleko już wykroczyła poza normalne marzenia, wizje i fantazje senne. Wstałem i podszedłem do łóżka Anny. Nie spała. Wpatrywała się we mnie czujnym, uważnym wzrokiem. I chyba ten czujny, uważny wzrok przeważał.

- To koniec - zdecydowałem. - Jeśli nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz...

Podniosła się i zapaliła nocną lampkę.

- Podaj mi rękę - poprosiła.

Przyjrzała się mojemu przegubowi. W świecie snu właśnie na nim nosiłem bransoletę przypominającą kształtem srebrnego węża. Tutaj dostrzegłem niegdyś zaczerwienienie, lecz teraz to zaczerwienienie zamieniło się w znamię. Bez trudu mogłem rozpoznać wyraźnie zarysowany pysk gada połykającego własny ogon.

- Przykro mi - powiedziała Anna.

Myślałem, że jest jej przykro z powodu tego, co zdarzyło się w moim śnie, ale okazało się, że nie mam racji.

- Jesteś już za daleko. Nie możesz się wycofać. Zresztą... Spróbuj, jeśli chcesz...

- Grozisz mi?

Pokręciła głową.

- Nie, mój drogi. Tylko ostrzegam. Spróbuj wyjechać, zostaw mnie... Spróbuj.

- Co się wtedy stanie? - Zmrużyłem oczy.

- Po pierwsze, nie będziesz mógł zasnąć. Potem zaczną się bóle głowy, przy których migrena to drobiazg. Jeszcze potem zapewne oszalejesz... Z braku snu i z bólu.

Usiadłem. Nie z wrażenia, lecz by spokojnie zastanowić się nad jej słowami. Oczywiście mogła kłamać, żeby z sobie tylko znanych powodów mnie zatrzymać. Mogła również wierzyć w to, co mówi. Ale - i taką ewentualność przyjmowałem z najwyższą niechęcią - mogła też mówić prawdę. Za dużo zdumiewających rzeczy zdarzyło się w moim życiu, bym nie był w stanie wyobrazić sobie czegoś jeszcze bardziej zdumiewającego.

- Więc jesteś po stronie złych chłopców?

Machnęła dłonią.

- Nie bądź głupi. Oczywiście, że nie. Zależy mi na tobie. Jesteś kimś... - zastanawiała się przez moment nad doborem słowa - kimś wybranym. Niezwykłym. Kimś, kto ma misję do spełnienia.

- A ta misja polega na...?

- Na tym, byś poradził sobie w świecie swego snu. Byś zwyciężył. Byś odszukał cel, dla którego zostałeś powołany.

- A tym celem jest...?

- Przysięgam, że nie wiem.

O dziwo, usłyszałem nutę szczerości w jej głosie.

- Uwierz mi - odezwała się po chwili - że nie jestem, jak to powiedziałeś, po stronie złych chłopców.

- Wykorzystałam cię, ale to nie znaczy, że chciałam cię skrzywdzić.

-Tak, tak. Oto cudowny przykład „dobrego dotyku” - zadrwiłem.

Nie zrozumiała, a mnie się nie chciało tłumaczyć.

-Nie jestem narzędziem - rzekłem - nie jestem pionkiem...

-Każdy jest - odparła ze smutkiem - nawet ci, którym się wydaje, że są królami i hetmanami.

-Urocze - mruknąłem.

-Wytrwaj do końca - westchnęła - cokolwiek o tym wszystkim myślisz. Przecież to jest... przygoda?

-Kiedy porywacze porywają twój samolot, to to też jest przygoda, prawda? Szkopuł tylko w tym, czy przeżyje się wystarczająco długo, by opowiadać o tym przy piwie i grillu. Zresztą, nieważne. Ważne jest, dlaczego ten mój cholerny sen ma dla kogokolwiek znaczenie?!

-W tym wypadku odpowiedź jest bardzo prosta.

I zanim wypowiedziała następne zdanie, ja już wiedziałem, jak ono będzie brzmiało. Zatem słowa „bo to wcale nie jest sen” ani mnie nie zdumiały, ani nie przestraszyły.

-Jeśli tam zginę...

-Nie zginiesz.

-Ale jeśli?

-Staraj się, by do tego nie doszło. Bardzo się staraj.

-I pomyśleć, że byłem wkurzony na moje nudne, monotonne życie - walnąłem pięścią w poręcz fotela - jasssna cholera! Dlaczego mi to robisz, Anno? Zrobiłem ci coś? Wyrządziłem jakąś krzywdę?

-Oczywiście, że nie! Mój drogi, oczywiście, że nie. Jesteś naprawdę miły i naprawdę cię polubiłam. Nie chciałam cię zaciągnąć do łóżka i wiedziałam, że martwisz się o mnie.

Westchnęła głęboko.

-To naprawdę ważne dla dziewczyny. A przynajmniej dla mnie. Czułam się przy tobie bezpiecznie, wiesz? Patrzyłaś na mnie i widziałam, że ci się podobam, ale wiesz, czemu nie zaciągnęłam cię do łóżka?

-Bo miałem inne możliwości?

-Nie - uśmiechnęła się - bo byłeś pewien, że zrobiłabym wszystko, żeby cię zatrzymać. Jak dziwka. Coś za coś. A tego nie chciałam, prawda?

Tak, to była prawda. Poszedłbym z nią, gdybym wiedział, że zależy jej na mnie, a nie na tym, co zrobię lub czego nie zrobię.

- Wykorzystałaś mnie. Skłoniłaś, żebym podpisał umowę, w której najważniejszych punktów nawet nie zapisano na dole i małym druczkiem. Takich punktów w ogóle nie było!

- Witaj w prawdziwym świecie...

Wbrew sobie, roześmiałem się.

- Czyli mam już grać do końca?

- Do końca, Lanne.

Nie odzywałem się przez chwilę.

- Dlaczego nigdy nie nazywaś mnie prawdziwym imieniem?

- Właśnie to robię - pokręciła głową - właśnie to robię, głuptasie. Nie wiesz o tym?

Taaak. Dla niej nie było ważne, kim jestem tu i teraz. Jakie imię i jakie nazwisko zapisano w paszporcie. Liczyło się jedynie, co uczynię w świecie mojego snu. A może raczej powinienem powiedzieć: w świecie alternatywnej rzeczywistości?

Odgarnąłem kosmyk włosów z jej czoła, potem dotknąłem szyi i zjechałem na pełną pierś okrytą cieniutką koszulką. Poczułem, jak jej sutek sztywnieje i wciska się pomiędzy moje palce.

- Po co? - spytała. - Po co, Lanne?

W świetle lampki jej oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle. W głosie brzmiał spokojny, pozbawiony złudzeń i nadziei smutek.

- Żeby zapomnieć - odparłem - chociaż na moment.

Ale tylko, jeśli też tego chcesz.

- Nie chcę - przytrzymała moją dłoń na swojej piersi i przymknęła oczy - naprawdę nie chcę.



**O**biecałem Arrahowi, że spotkam się z nim w gospodzie, lecz kiedy pojawiłem się w Kirilath, zobaczyłem zakapturzonego mężczyznę, który w wyprostowanej, wysoko uniesionej ręce trzymał kartę. Moją kartę. Rycerza Kielichów. Zorientował się, że go dostrzegłem, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w kłębiący się na ulicach tłum. Co miałem robić? Poszedłem za nim i wytrwale



go śledząc, w końcu znalazłem się na piętrze opustoszałego domu. Zdawałem sobie sprawę, że być może ktoś zastawił na mnie pułapkę, lecz jednocześnie powątpiewałem, czy ktokolwiek zdecydowałby się zastosować tak prostackie sposoby. Wbiegłem w ciemny korytarz i kiedy dotarłem do ściany, przekonałem się, że właśnie wpadłem w potrzask. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i błyskawicznie się odwróciłem.

Strażnicy Bramy - to oni stali przede mną. Obaj wysocy, w czarnych obszernych płaszczach. Z bufiastych rękawów wyglądały niemal przezroczyste, białe dłonie. Nieruchome niczym martwe glisty. Nie mieli przy sobie żadnej broni, a przynajmniej nie takiej, którą mógłbym dostrzec na pierwszy rzut oka. Ale kto wie, co kryło się pod tymi obszernymi płaszczami? Zatrute sztylety? Miniaturowe kusze? Może czarnoksiężskie różdżki, jeśli w ogóle w tym świecie było coś pełniącego taką rolę. Ale w końcu: czemu nie? To, że Varrad, mój wróg i przyjaciel, mój zabójca i moja ofiara, nie używał podobnych przedmiotów, wcale nie świadczyło, że nie istniały.

Skąd wiedziałem, że są nazywani Strażnikami Bramy? Nie mam pojęcia! To była tylko informacja. Sucha, konkretna i pozbawiona jakichkolwiek emocjonalnych skojarzeń. Ani słowo „strażnicy”, ani słowo „brama” w żaden sposób nie znajdowało odnośników w moich wspomnieniach.

-Lanne Lloch l'Annah - rzekł jeden z nich, a jego głos zabrzmiał niczym szept chorego człowieka - zatem cię znaleźliśmy...

-Na to wygląda - przytaknąłem, starając się nadać moim słowom lekceważący i bez troski ton.

Jednakże w postaciach, stojących przede mną spokojnie i nieruchomo, czaiła się groza. Kim byli ludzie, którzy instynktownie mnie przerażali?

-Czy pójdziesz z nami dobrowolnie, Lanne Lloch l'Annah?

-Od nikogo nie przyjmuję rozkazów - odparłem wolno i z namysłem. - Wasz pan mógł chociaż pomyśleć o słowie „zaproszenie”.

Nie sądziłem, by ta uwaga mogła na nich wywrzeć jakiegokolwiek wrażenie, i nie pomyliłem się. Srebrny wąż zacisnął się wokół mojego nadgarstka i wibrował niecierpliwie. Co stanie się teraz? Czy zaatakują? Za plecami miałem zamknięte na głucho drzwi. Zwabiono mnie w pułapkę i tylko siebie mogłem obwiniać o tak elementarny brak ostrożności. Dałem się podejść jak dziecko. W świecie intryg, zbrodni i zdrad byłem wciąż naiwnym szczeniakiem, próbującym bawić się z dorosłymi w ich ulubioną grę. Czy taki był również Lanne Lloch l'Annah? Czy dlatego musiał zginąć i dlatego tak wielu go nienawidziło?

Nie było obok mnie smoka. Po raz pierwszy, kiedy groziło mi niebezpieczeństwo, ta potężna bestia nie stała u mego boku, wspierając choćby samą obecnością. Na całym tym parszywym i spaczonym świecie był jedyną istotą, po której mogłem się spodziewać lojalności, wierności i miłości. I właśnie jego mnie pozbawiono. Cóż, czasami los układa się tak, że musimy rozstać się z tymi, których kochamy, i choć przez pewien czas żyć na własną rękę. Być może po to, by zacząć wierzyć we własne siły. By wiedzieć, że możemy ufać sobie samym, a nie tylko sile najbliższej nam istoty. Niemniej wszystkie te jakże inteligentne rozważania nie mogły przesłonić faktu, że stałem tu, gdzie stałem, a na moją decyzję czekało dwóch wrogów. I jakkolwiek mocno wierzyłbym we własne siły, to ich obecność potrafiła skutecznie tę wiarę podważyć. Wydawali się widziadłami z sennego koszmaru. Niemal wierzyłem, że ostrze miecza zamieni się w gumę, kiedy zechcę wyszarpnąć oręż z pochwy, a słabe dłonie nie utrzymają rękojeści. Ale cóż, należało sprawdzić, czy mam podstawy do obaw.

Zaparłem się plecami o solidne dębowe drzwi.

-Jeśli mnie nie przepuścicie, będę musiał przejść po was - zagroziłem - mam jednak nadzieję, że zachowacie choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Stali trzy i pół, może cztery metry ode mnie. Czy zdążę wyciągnąć miecz z pochwy, zanim ruszą do ataku? I jak będzie wyglądał ten atak? Czy zabiją mnie, czy tylko schwytają żywcem, by upokorzonego rzucić pod nogi swego pana?

-Nie mamy pana, Lanne Lloch I'Annah. A jeśli nawet, to nie jest nim Suzeren. Chcemy cię zabrać tam, gdzie jest twoje miejsce.

Wzdrygnąłem się.

-Chcemy ci pokazać oszałamiające piękno Karad-bar - kontynuował Strażnik głosem, w którym usłyszałem przerażające rozmarzenie - piękno, o którym najwyraźniej zapomniałeś...

Przeszłość uderzyła po raz kolejny. Zobaczyłem nagie ciało wiszące nad kręgiem białych kamieni. Z rozciętych żył spływała krew, a zebrane wokół postaci, odziane w czarne płaszcze, zawodziły posępne hymny.

Ktoś kreślił czerwienią runy na kamieniach.

-Przypominasz sobie. - Głos Strażnika był stłumiony, jakby dochodził z daleka.

-Kogo... - Nie zdążyłem zadać pytania, które miało brzmieć „kogo tam zabiliście?”, gdyż właściwa odpowiedź pojawiła się wcześniej. - To jestem ja... - szepnąłem, a potem uniosłem głowę - to byłem ja...

Wiedziałem, że właśnie moja krew spływała na kamienie ołtarza. Wiedziałem, iż właśnie moją krwią wypisywano magiczne symbole. I, o dziwo, ta wizja zamiast lęku zesłała mi przyływ sił.

-Nie udało wam się! - krzyknąłem. - Uciekłem! I jestem. Tu i teraz.

Głęboko zaczerpnąłem tchu. W tym momencie chyba nawet nie czułem wszechobecnego odoru butwiejącego drewna.

-Powiedzcie mi, głupcy, dlaczego przysłano was po mnie tylko dwóch? - wycedziłem z zaciśniętymi zębami.

-Lanne Lloch l'Annah, to twój wybór – zaszeptał jeden ze Strażników, a zaraz potem obaj znaleźli się przy mnie.

Nie zdążyłem wyszarpnąć miecza z pochwy. Ba, nie zdołałbym mrugnąć, nawet gdyby od tego mrugnięcia miało zależeć moje życie. Ręce wrogów okazały się silniejszym konary dębu. Oplotły mnie i unieruchomiły. Czarne płaszcze musnęły moją twarz i poczułem, że lecę w niezmierną pustkę, bezdenną otchłań, na której dnie czai się tylko przerażający, niezgłębiony i ostateczny strach. I kiedy miałem poddać się temu strachowi, zobaczyłem, że srebrny wąż uwalnia mój nadgarstek i wylatuje w powietrze niczym żywa błyskawica. Poły czarnych płaszczy zniknęły, rwane na strzępy przez srebrne promienie. Ściskające mnie ręce osłabły. Wyrwałem się Strażnikom, upadłem, przetoczyłem się po podłodze i zerwałem na równe nogi, już z mieczem w garści. Oręż drgał w dłoni, rozochocony i spragniony walki. Wąż zwinął się w kłębek, pomknął w stronę mego nadgarstka, otulił go i znieruchomiał.

Znów był tylko srebrną bransoletą z martwego, zimnego metalu. Strażnicy teraz nie wyglądali przerażająco. Czarne płaszcze zwisały z nich smętnymi strzępami. Nie były w stanie ukryć wychudłych, anorektycznych ramion, zapadłych klatek piersiowych i chudych, indyjskich szyi. Kaptury zakrywały jeszcze tylko twarze Strażników Bramy. Ale sytuacja zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz oni się bali. Stali zwróceni plecami do drzwi, a ja blokowałem im jedyną drogę ucieczki. Ja - Lanne Lloch l'Annah - z żądnym walki mieczem w dłoni, który sam z siebie, nawet wbrew mej woli, zataczał drobnutkie kółeczka, jakby kusił i namawiał, by podejść choć o krok, by się zbliżyć w stronę ostrza... Bardzo wyraźnie czułem, że oni zbliżyć się nie chcą, że sytuacja ich przerosła. Oto zwierzyna zamieniła się w myśliwego, a nie znali powodu, dla którego tak właśnie się stało. Człowiek, którego zawiedli w pułapkę, wróg, którego mieli bez trudu pochwycić i upokorzyć, nagle dysponował nieznaną im mocą. I z całą pewnością nie zdawali sobie sprawy, że wybuch tej mocy jest również zagadką dla mnie, że sam się zastanawiam, jaką siłą dysponuje srebrny wąż i dlaczego pragnął mnie ocalić. Czy

takie zadanie otrzymał od damy, która mi go ofiarowała, a której wspomnienie wciąż budziło w moim sercu pełen słodczy niepokój?

Lecz w pewnym momencie, mimo strachu i zdumienia, ruszyli. Może wcześniej powinienem zejść im z drogi, pokazać, że mogą uciec? Może w ataku szukali jedyne ratunku, nie wiedząc, że pozwoliłbym im spokojnie odejść? Że sam chętnie zakończyłbym ten koszmar i pozbył się niebezpiecznego oraz niepokojącego towarzystwa? A jednak zaatakowali. I prawdopodobnie znowu zaskoczyliby mnie, mimo że tym razem byli nieporównanie mniej szybcy. Ale na pewno nie byli w stanie zaskoczyć miecza, który tak niedawno poił się krwią Varrada. Miecz pociągnął mą dłoń i gładko wgrzył się w ciało jednego ze Strażników. Drugi usiłował przemknąć pomiędzy mną a ścianą, potracił mnie i omal nie przewrócił. Ostrze tylko głośno go po udzie, ale potem miecz zatoczył szybki łuk i ciął prosto w pochylony kark. Wiedziałem, że długo jeszcze będę pamiętał krzyk, który się rozległ. A tak naprawdę dwa krzyki zrosnięte w jeden okropny lament.

Czego się spodziewałem? Wściekłego jazgotu? Potępieńczego rżenia? Wilkołaczego wycia? Usłyszałem jedynie wrzask krzywdzonych dzieci. Cienki, płaczliwy, wibrujący na granicy słyszalności, upiorny niczym nocny zaśpiew banshee. Wrzask wybuchł i zgasł. Dwa ciemne ciała, niczym dwie zmięte i porzucone szmaty, leżały nieruchomo na podłodze. Przyglądałem się im przez chwilę, a potem ostrożnie, czubkiem miecza, odgarnąłem kaptury. A później, kiedy dokładnie przyjrzałem się ich twarzom, wtedy właśnie, odwróciłem się do ściany i zwymiotowałem. Bo spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego, że pod czarnymi kapturami ujrzę blade, delikatne twarze dzieci, na których zastygł wyraz przerażenia, niezrozumienia i niesłusznie wyrządzonej krzywdy.

Otarłem usta rękawem i przemogłem się, by raz jeszcze obejrzeć te oblicza. Wtedy dostrzegłem, że na pierwszy rzut oka mają w sobie wiele z dzieci, ale jednak zastygła na nich jakaś inność. Rysy były zbyt ostre, oczy nazbyt wylupiaste, mocno zwięzające się ku kącikom. Ich skóra przypominała lekko pomięty pergamin, a pod nią widziałem delikatne, bladoniebieskie pasma żyłek. Kim były te istoty? Ludźmi? A może stworami wyhodowanymi lub stworzonymi za pomocą magii? Przybyszami z innego świata i wymiaru? Kimkolwiek by były, ginęły jak zwykli ludzie. Przemogłem się i obszukałem wątle ciała, ale nie znalazłem nic. Żadnego przedmiotu. Nawet noża, skrawka papieru czy drobnej monety.

Musiałem jak najszybciej opuścić ten dom. Kto wie, czy nie przybędą tu następni wrogowie? A nie miałem pojęcia, czy srebrny wąż znowu zechce okazać moc. Złościło

mnie to, jak bardzo byłem uzależniony od rzeczy, których działania nie rozumiałem lub nad którymi nie posiadałem pełni władzy. Smok, miecz, srebrna bransoleta. Do tej pory to dzięki nim wychodziłem obronną ręką ze wszystkich opresji. Być może nadszedł czas, by spróbować odnaleźć własną siłę. Jeśli w ogóle miałem jakąkolwiek siłę.

Zostawiłem na podłodze leżące ciała i tylko nakryłem ich twarze kapturami. Nie mogłem się zdobyć, by pozostawić je patrzące w pustkę martwymi oczami. Zszedłem na sam dół schodami i ostrożnie wyjrzałem na podwórze przez szparę w okiennicach. Wydawało się, że przed domem nikt nie czeka. Gęsty żywopłot odgradzał mnie od ulicy, z której dochodziły stłumione nawoływania kupców, a nawet jakiś władczy, męski głos, należący zapewne do oficera miejskiej straży. Uchyliłem drzwi, starając się, by nie skrzypnęły. Słońce zachodziło już za rzędem cyprysów i na trawę kładły się długie, smukłe cienie. Nadal było gorąco i duszno, ale od strony portu można było wyczuć delikatną bryzę. Wyszedłem, zamykając za sobą drzwi, i szybkim krokiem zbliżyłem się do żywopłotu. Pomyślałem, że przemknę w jego cieniu aż do samej bramy, a potem postaram się wyjść na ulicę w chwili, gdy nikogo nie będzie w pobliżu. Ale czy uda mi się cokolwiek zdziałać? Kiedy Suzeren dowie się o mojej obecności? Czy każe wtedy zamknąć bramy miasta, ogłosi listy gończe i zarządzi poszukiwania? A może będzie raczej wolał całą rzecz utrzymać w tajemnicy?

Obserwowałem ulicę zza żywopłotu. Niestety, panował na niej spory ruch. Naprzeciw znajdowało się kilka kupieckich kramów oraz karczma ze stołami wysuniętymi na zewnątrz. Co gorsza głos, który wcześniej słyszałem, rzeczywiście należał do oficera straży. Stał przed kupcami i stukając w cholewy butów końcem okutej żelazem pałki, perorował coś nader głośno i nader niewyraźnie. Zdecydowałem, że zaczekam do zmroku. To zajmie tylko dwie godziny, a znacznie pewniej będę się czuł na pograżonych w ciemności ulicach. Oczywiście pod warunkiem, że nie spotkam rzezimieszków, którzy przecież równo z zachodem słońca, jak szczury, wpełzają na ulice wszystkich wielkich miast. A ja musiałem ukryć się przez noc, by potem, niedługo po świcie, podjąć decyzję, co robić dalej. Czy opuścić miasto wraz z innymi podróżnymi? Mogłem wierzyć, że w tłoku kupieckich karawan oraz w tłumie mieszkańców zdążających poza mury uda mi się umknąć oczom strażników. Ale z drugiej strony przecież nie po to pojawiłem się w Kirilath, by po pierwszym dniu podkulić ogon pod siebie!

Przycupnąłem za żywopłotem, tak by przez cały czas mieć na oku bramę. Pamiętałem, z jak przeraźliwym skrzypnięciem otwierała się, kiedy tu wchodziłem, więc liczyłem, że podobny odgłos ostrzeże mnie przed niebezpieczeństwem. Na razie

jednak nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek miał się interesować tą opuszczoną parcelą. Oficer straży wreszcie zgarnął haracz od kupców i usiadł przy stoliku w karczmie, gdzie bezskutecznie starał się podszczypywać pyzatą kelnerkę i pił wino z pękatego dzbanka. Stół obok szybko się opróżnił, widocznie gościom nie odpowiadało towarzystwo oficera. Na szczęście strażnik siedział bokiem do ulicy i jego wzrok ani razu nawet nie zabłądził w okolice żywoplotu, za którym się schowałem. Mogłem mieć tylko nadzieję, że zmrok nadejdzie wcześniej nim następnymi wysłannicy Suzerena.

Kiedy wreszcie słońce skryło się za cyprysami, kupcy zwinęli kramy, a oficer wyszedł na ulicę, lekko się zataczając i pomrukując coś pod nosem, zdecydowałem się delikatnie popchnąć metalową furtkę. Zaskrzybiała ostrzegawczo, ale wtedy otworzyłem ją zdecydowanym ruchem. Ruszyłem szybkim krokiem przed siebie, kątem oka dostrzegając jeszcze zdziwiony wzrok pyzatej kelnerki, która akurat wyszła przed drzwi karczmy. Wiedziałem, że już po chwili straciła mnie z oczu, zwłaszcza że natychmiast skręciłem w pobliski zaułek. Odetchnąłem z ulgą. Pozostawało jednak pytanie, co miałem robić do rana? Pomysł wynajęcia pokoju w oberży lub nawet przesiedzenia nocy przy stole w zatłoczonej gospodzie narzucał się sam. Niestety byłem pewien, że pomysł szukania mnie w takim miejscu będzie się narzucał również ludziom Suzerena. Co więc mógł zrobić człowiek pozostawiony sam sobie w obcym mieście i niechcący budzić niczyjej ciekawości? Na razie przystanąłem w cieniu, by móc się spokojnie zastanowić, i zamarłem w bezruchu, kiedy na sąsiedniej ulicy usłyszałem stukot butów cechowego patrolu. Zauważyłem trzy cienie, z których jeden niósł przed sobą jasno świecącą latarnię. Wszyscy mężczyźni mieli w dłoniach pałki, ale nie rozglądali się po okolicy, tylko głośno komentowali wdzięki jakiejś damy niezbyt ciężkich obyczajów, która, jak można było wywnioskować z ich słów, wyglądała na kobietę godną grzechu.

Oczywiście mogłem próbować przeczekać noc pod drzewem czy w krzakach kupieckiej dzielnicy. Ale kto mi zaręczy, że nie dostrzeże mnie czujny strażnik, albo, co gorsza, ktoś nie uzna, że samotny przechodzień wart jest, by zainteresować się jego kiesą? Nie wątpiłem, że poradziłbym sobie z ulicznymi bandytami, lecz awantura i wiążące się z nią hałasy były ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę. Wtedy przypomniało mi się wejście do świątyni. Czyż nie widziałem tam gromady ludzi, którzy koczowali u bram w oczekiwaniu na poranny datek i miskę strawy? Czyż nie czuwały tam gromady pielgrzymów, oczekujących, że wreszcie spotka ich szczęście ujrzenia błogosławionych posągów? Mogłem się założyć, że okolice świątynnych bram nadal roją się od żebraków, przybłądów z prowincji i pielgrzymów, którzy zapewne są

tolerowani, dopóki nikomu nie wadzą. W mojej obszernej szacie z kapturem, która ukrywała kolczugę i przewieszony przez ramię miecz, mogłem od biedy uchodzić za pielgrzyma podróżującego do świętego miejsca. Co ważne, świątynne włości powinny być w miarę spokojne, gdyż straż kapłanów na pewno nie zezwoliłaby na awantury i rozlew krwi na progu przybytku bogów. A przynajmniej tak być powinno w teorii. Niemniej nie zostawał mi wielki wybór i zastanawiałem się tylko, czy uda mi się bezpiecznie dotrzeć do świątyni i czy w ciemności nie pomylę prowadzącej do niej drogi. Spojrzałem w górę i zobaczyłem trzy płomienie, bijące w nocne niebo z wysokiej wieży. Wiedziałem już, że przynajmniej ten problem zostanie pomyślnie rozwiązany.

Tak jak przypuszczałem, pod bramami koczowały setki ludzi. Cały ogromny dziedziniec był wypełniony mężczyznami, kobietami i dziećmi, siedzącymi w takiej ciasnocie, że stykali się plecami, ramionami i udami. Palono małe ogniska, gotowano polewki, smażyono mięso i chleb. Zdumiewający był fakt, że tłum zachowywał się niezwykle spokojnie i cicho. Ludzie rozmawiali przytłumionymi głosami, nie było słychać przekleństw i awantur, nie dochodziło do bijatyk. Od czasu do czasu rozlegał się jedynie płacz dzieci. W tym tłumie widziałem krążące postacie w białych habitach, niosące kosze z chlebem i pieczoną rzepą. I znowu, co dziwne, ludzie nie kłócili się o jedzenie, nie wrywali go sobie z rąk, nie przepychali się i nie złorzeczyli sobie nawzajem. Byłem zdumiony dyscypliną pielgrzymów. Podróżowali głodni, brudni i zmęczeni, a jednak coś powstrzymywało ich przed agresją. Czy działała aura świętego przybytku, czy też kary za zakłócenie porządku były tak drastyczne, że budziły strach?

Wypatrzyłem wolne miejsce przy jednym z ognisk i podszedłem ku niemu bliżej, ostrożnie lawirując wśród siedzących i leżących ludzi. Byłem dokładnie otulony płaszczem, kaptur zasłaniał mi twarz, a w dodatku mocno zgarbiłem plecy, by się wydawało, że jestem starszy i niższy.

- Czy mogę usiąść przy waszym ogniu? - zapytałem.

Wiekowy mężczyzna o szarej, zmęczonej twarzy podniósł na mnie wzrok.

- Siadajcie, panie - odparł.

Jego żona oraz córka przesunęły się, by zrobić mi więcej miejsca. Nie widziałem ich dokładnie, gdyż miały na głowie obszerne chusty i odwracały się w stronę cienia.

- Skąd przybywacie, jeśli wolno spytać? - zagadnął.

- Z Kelvan - odpowiedziałem zgodnie z prawdą, a on się rozpromienił.

- Czy to prawda, co mówią? - Pochylił się ku mnie i zapytał: - Że Lanne Lloch i' Annah powrócił?

- Tak - potwierdziłem - to prawda.

-Gadają, że służy mu smok, którego skrzydła przesłaniają niebo, jak chmury w deszczowy dzień - zaszeptała tym razem kobieta - że zabił lorda Varrada i że prowadzi nieprzeliczoną armię, by ukarać Suzerena...

-Milcz! - Głos starszego mężczyzny chlasnął jak bicz. Były w nim i złość i przerażenie.

-Nic nie wiem o armii - szepnąłem - lecz o smoku również słyszałem, jak wy.

-Lanne Lloch l'Annah - w cichym głosie dziewczyny usłyszałem miłość i podziw. - Niektórzy mówili, że umarł, ale myśmy wierzyli, że powróci...

Zastanowiłem się. Co takiego zrobił Lanne Lloch l'Annah, iż z czułością wspominali go prości ludzie? Może był kimś w rodzaju Janosika, Robin Hooda lub Wilhelma Teli? Może był ludowym bohaterem, zbuntowanym przeciw władzy? Oczywiście sam pochodził z wyższych sfer, lecz to przecież niczemu nie przeszkadzało. Historia jest pełna przykładów dobrze urodzonych, których zwykły lud obwołał bohaterami i wyniósł na piedestały. A czasem wynosił nawet na trony. Zresztą najczęściej z marnym skutkiem, i dla państwa, i dla samego ludu.

-Czy widzieliście go, panie? - spytał mężczyzna z napięciem w głosie. - Widzieliście?

Starsza kobieta i jej córka obróciły się w moją stronę, jakby nie chciały uronić ani słowa z odpowiedzi.

Chustka zsunęła się z głowy dziewczyny i zobaczyłem, że ma przyjemną, upstrzoną jasnymi piegami buzię i lekko zadarty nosek. Wyglądała najwyżej na szesnaście lat. Cóż, jej rodzice musieli mieć ważne sprawy do bogów, skoro zdecydowali się na zabranie dziewczyny w niebezpieczną podróż do cieszącego się nie najlepszą sławą miasta. Bo zarówno wiek, jak i uroda mogły ją narazić na sporo kłopotów.

-Niestety - odparłem, gdyż zastanawiałem się, czy wieść, że u wrót świątyni jest człowiek, który widział Lanne Lloch l'Annah, nie spowodowałaby nadmiernego zainteresowania moją osobą.

Starszy mężczyzna pokiwał głową rozczarowany.

-Mówią, że to olbrzym o złotej brodzie, którą splata w dwa warkocze - rzekł - że jego głos przypomina grzmot nadchodzącej burzy, a cios miecza kruszy skały.

-I że jest czarnoksiężnikiem - dodała jego żona. - Jednym zaklęciem powala wrogów.

-I że nie zabija bez koniecznej potrzeby - szepnęła dziewczyna.



-Też tak słyszałem - powiedziałem ostrożnie – ale nie wiem, ile w tym prawdy, a ile zmyślenia.

-I ponoć układa ballady o damach, które spotkał...

Młodziutka, wdzięczna buzia wręcz jaśniała blaskiem, kiedy dziewczyna wypowiadała te słowa. W tym momencie, w momencie kiedy jej wyobraźnia poszybowała w stronę nigdy nikomu niezdradzonych fantazji, ta nastolatka stała się oszałamiająco piękną kobietą. Potem na jej buzi pozostało już tylko słodkie rozmarzenie.

Zastanawiałem się właśnie, jak niezwykle legendą było okryte imię człowieka, za którego mnie brano, kiedy kątem oka dostrzegłem, że tłum po mojej lewej stronie poruszył się. Rozpoczęła się nerwowa krzątanina, ktoś szedł, roztrącając ludzi. Drgnąłem. Nie miałem wątpliwości, że przez ciżbę przeciskają się żołnierze. Szli wolno, pilnie przyglądając się wszystkim siedzącym czy leżącym. Kazali uchylać kaptury, zdejmować kapelusze, trącali tych, którzy odwracali głowy. Kogo szukali? Cóż, odpowiedź na to pytanie była prosta. Szukali Lanne Lloch i'Annah. Bo zbyt wielkim szczęściem i zbiegiem okoliczności byłoby, gdyby szukali zbiegłego więźnia, kryminalisty lub bluźniercy. Ci trzej strażnicy, których widziałem kilkadziesiąt kroków ode mnie, nie byli jedynymi. Uniosłem się i zobaczyłem jeszcze dwa podobne patrole. Pruły one przez tłum, niczym łodzie na wzburzonym morzu. I, niestety, wydawało mi się, że połów okaże się obfity. Nie musiałem się zastanawiać, czy zablokowali ulice prowadzące do świątynnych bram. Tego akurat byłem pewien, bo sam pomyślałbym przede wszystkim o odcięciu wrogowi drogi odwrotu.

- I czego oni chcą? - zapytał z goryczą stary mężczyzna. - Nawet tu nie dają ludziom spokoju.

Jego córka chyba wyczuła moje zaniepokojenie, gdyż dostrzegłem jej badawczy wzrok. Niby siedziała obejmując ramionami kolana, lecz wiedziałem, że przypatruje mi się z ukrycia. Ale gdyby rozpoznała, kim jestem, nie miałyby to żadnego znaczenia. Przecież, wedle słów jej rodziców, byłem podobno złotobrodym olbrzymem, a nie skromnym wędrowcem, okutanym w długi, szeroki płaszcz. Na nadgarstku poczułem nerwowe wibracje.

Srebrny wąż obudził się i niespokojnie okręcał wokół dłoni. Czuję zimny, metaliczny dotyk ożywionej czarami bransolety. Rozpiąłem haftkę płaszcza, by w każdej chwili móc zrzucić go z siebie i wyrwać z pochwy miecz. Czy uda mi się powalić najbliższych strażników i uciec przez tłum? Miałem co do tego poważne wątpliwości. Żołnierze podchodzili coraz bliżej. Nie było, co prawda, wśród nich tych

budzących grozę istot, które zabiłem na korytarzu opuszczonego domu, ale i tak wyglądało, że będę miał naprawdę duże kłopoty. Żałowałem teraz, że nie zdecydowałem się spędzić nocy w głębokich krzakach lub choćby w ruderach budowanych przy opuszczonych nabrzeżach. Swoją drogą jednak ktoś mógł mnie zapewnić, że patrole Suzerena nie przetrząsały całego miasta, nie patrolowały tawern, nie wyciągały z łóżek Bogu ducha winnych podróżnych? Patrol był tuż koło nas. Siedzący obok mężczyzna zachwiał się i oparł o moje plecy, jakieś dziecko zakrzyczało donośnie.

- Twoja twarz, człowieku - usłyszałem.

Nawet nie drgnąłem, choć byłem pewien, że strażnik zwraca się do mnie.

- Twoja twarz! - rzucił ostrzejszym tonem, a ja bardzo powoli odgarnąłem kaptur, starając się ukryć w cieniu. - Wstań! - Teraz w głosie żołnierza było już wyraźne zaniepokojenie.

Wstałem i jednym ruchem odrzuciłem płaszcz.

- To on! - wrzasnął strażnik, a ja zanurkowałem pod ciężkim ostrzem halabardy.

Miecz wyprysnął z pochwy niczym srebrne żądło. Ciąłem napastnika, stojąc, z półobrotu i usłyszałem krzyk. Krople ciepłej krwi zbryzgały mi policzki.

Miecz pociągnął mnie za sobą i rozorał brzuch drugiego z wrogów. Cios pałki trafił mnie w lewe ramię, lecz utrzymałem się na nogach. Zauważyłem, że dziewczyna, obok której siedziałem, wyciąga nogi i mężczyzna potknął się. Upadł z głośnym przekleństwem, a ja przyszpiliłem go do ziemi. Czwarty rejterował w pośpiechu, piąty zaplątał się w tłumie i wypuścił z dłoni halabardę.

Przez chwilę tak krótką, że nie wystarczyłaby nawet, by wypełnić pustkę pomiędzy dwoma uderzeniami serca, moje spojrzenie zbiegło się ze spojrzeniem dziewczyny, przy której wcześniej siedziałem. I wtedy zrozumiałem. Zrozumiałem, że znalazłem się w tym świecie po coś więcej niż przygoda, sława i miłość. Znalazłem się w nim, by ktoś patrzył na mnie w taki sposób, jak ona. I po to, by ludzie tacy jak ona i jej rodzice mogli żyć godnie, bez lęku. Przecież nie widziała we mnie mężczyzny. Nie musiałem być olbrzymem o głosie ze spizu ani niszczyć wrogów zaklęciami. Dla niej byłem bohaterem, który znalazł czas, by usiąść przy ogniu z nią oraz jej rodziną.

Skoczyłem szczupakiem w stronę ostatniego strażnika. Jak w zwolnionym tempie przepłynąłem ponad głowami siedzących ludzi i zahaczyłem ostrzem o jego pierś. Wrzasnął rozdzierająco, a spod palców spływała mu gęsta, czerwona krew. Patrzył na mnie z przerażeniem i niezrozumieniem, wiedząc, że życie z niego ucieka, a on nie jest w stanie nic na to poradzić. Nie miałem serca, by go dobić, chociaż miecz wibrował tak,

że ledwo utrzymywałem rękojeść w dłoni. Rzuciłem się przez tłum w kierunku wyjścia. Ludzie rozstępowali się w panice, tłoczyli się, upadali, wrzeszczeli. Ale jednak cały czas ktoś stał na mojej drodze, potykałem się czyjeś nogi, ktoś czepiał się moich butów i kaftana. Przedzieranie się przez tę ciżbę przypominało marsz w grząskim, mokrym piachu. Widziałem biegnący z naprzeciwka drugi patrol. Żołnierze nie mieli takich skrupułów jak ja. Roztrącali ludzi styliskami halabard pałkami. Ktoś zachwiał się pod uderzeniem, ktoś inny padł z rozłupaną głową. Jakaś zdeptana kobieta krzyczała piskliwym, urywanym głosem. Biegłem, lecz ten bieg pochodził jakby z koszmarnego snu. Wrzeszczałem, ale tłum mnie nie słuchał. Kłąłem, ale wszyscy wokół też kłęli. Widziałem twarze. Szare, przerażone, wściekłe, wykrzywione lękiem lub złością. Udało mi się jednak przebić w stronę muru. Zbudowany z toczonych, białych okrągłaków miał przynajmniej trzy i pół metra wysokości. W każdym razie nie sięgnąłbym jego krawędzi końcami palców, nawet gdybym był zawodowym siatkarzem. Od bram szły dwa patrole. Ludzie koczujący przy murze rozpierzchli się i miałem naprzeciw siebie krąg wolnego miejsca o średnicy może czterech, pięciu metrów. Oparłem się plecami o kamienie i wyciągnąłem miecz. Czekałem. Nie było co się oszukiwać: to już był koniec. Jeśli nie powalą mnie pałki i halabardy, to żołnierze rzucą na mnie sieci lub rozstrzelają z łuków.

Ale na razie stali w bezpiecznej odległości. Zmęczeni, ciężko dyszący, przyglądający mi się z nienawiścią zmieszaną ze strachem. Jeden nerwowo stukał halabardą w ziemię, inny wymachiwał pałką i pokrzykiwał coś donośnym głosem, by dodać animuszu sobie i przyjaciom. Lecz nie atakowali. Wiedzieli, że jeszcze dla dwóch czy trzech z nich ta walka mogłaby być ostatnią. A w końcu chcieli dzisiejszej nocy pić w karczmie i chlubić się przed kompanami, jak pojмали Lanne Lloch l'Annah, a nie leżeć na marach lub tkwić w lazarecie.

Wreszcie nadbiegł zadyszany oficer i jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Widziałem, jak uśmiech wypełza na jego oszpeconą śladami po ospie twarz.

- W imieniu Suzerena, poddaj się! - krzyknął.

- W imieniu Suzerena, chodź tu! - zadrwiłem.

Sięgnął w tłum i wyszarpnął z niego pierwszą osobę. To był chuderlawy starzec w obszarpanym płaszczu.

Zerwane rondo kapelusza smętnie zwisało mu na połowę twarzy. Oficer pchnął tego człowieka w ramiona żołnierzy, a potem zręcznym, szybkim ciosem trafił go sztychem wprost w pierś. Starzec wciągnął chrapliwie powietrze i opadając na kolana, rzygnął krwią. Żołnierze porwali dwie kolejne osoby. Dziewczynkę w zaplamionej

sukience i mężczyznę z drewnianą nogą. Reszta gapiów uciekała w panice. Ludzie wrzeszczeli i tratowali innych.

-Co oni ci zawinili, Lanne Lloch l'Annah? - zapytał oficer, przekrzykując wrzaski. - Chcesz, by umierali po kolei?

Nie chciałem, by ktokolwiek umierał. Żał mi było nawet tych strażników, których musiałem przed chwilą zabić.

-No, Lanne - powiedział oficer - rzuć miecz, człowieku!

Spojrzałem mu prosto w oczy i cisnąłem ostrze pod jego nogi. Może nie było to zbyt mądre, ale na pewno stanie się następnym tematem pieśni. Żołnierze dopadli mnie jak wygłodniała sfora, tłukąc pałkami i styliskami halabard. Ale zanim straciłem przytomność, oficer zadbał, bym zobaczył, jak zabija zarówno dziewczynkę, jak i kalekę. Wydawało mi się, że na wargach poczułem słodką kroplę krwi. Gdzieś w prześwicie pomiędzy ludźmi, którzy mnie otaczali, przemknęła mi twarz piegowatej sąsiadki. Widziałem łzy spływające po jej policzkach i usta wygięte w żalną podkówkę. Zrobiło mi się strasznie przykro, że nie mogę jej pocieszyć. Później mignęło mi przed oczami drzewce halabardy i poczułem się, jakby rozłupywano mi głowę. Chwilę potem ból utonął w ciemności.



**W**isiałem. Moje nadgarstki były okręcone konopnymi powrozami, a hak, do którego te powrozy podczepiono, został przybity tuż pod sufitem. Nie mogłem nawet powiedzieć, że bolały mnie dłonie, bo po prostu ich nie czułem. Natomiast wyraźnie czułem ból w obitych żebrach, a kiedy pomacałem usta wyschniętym na wiór językiem, syknąłem. Tkwiałem w ciemnicy, wypełnionej dusznym, wilgotnym i zatechłym powietrzem. Byłem gdzieś, gdzie ciszę przerywał tylko cichutki stuk kropli wody padających na kamienną posadzkę. Próbowałem się rozejrzeć i powrozy się zakołysały. Hak zaskrzypiał w ścianie. A zaraz potem usłyszałem kroki i trzask odsuwanej zasuw. Do ciemnicy wtargnął snop światła z korytarza. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem potężnego mężczyznę w skórzanym fartuchu, trzymającego w dłoniach lampę. Za nim chował się jakiś cień.

-Ocknął się? - spytał cień.

Barczysty mężczyzna podszedł i przytknął mi do uda rozgrzany bok lampki. Wrzasnąłem, bo ból był tak niespodziewany, że nie zdołałem się opanować.

-Ano ocknął - roześmiał się serdecznie barczysty i trącił mnie palcem w żebra, tak że się rozbijałem.

-Pędzę zawiadomić Suzerena - szepnął cień i usłyszałem tylko szybki stukot obcasów na kamiennej posadzce.

Tymczasem barczysty spojrział na mnie. Jego twarz znajdowała się mniej więcej na poziomie mojego brzucha. Stał dość daleko, ale nie na tyle, bym nie sięgnął go kopniakiem. Ale co miałbym niby zrobić później?

-Ciemno, zimno - mruknął barczysty - a jego łaskawość zaraz przyjdzie...

Postawił lampkę na drewnianym stoliku przy drzwiach i zdjął z haka drugą, nieco większą. Zapalił ogień. Płomień rozjarzył się jasnym blaskiem, a ja wreszcie mogłem dokładnie obejrzeć pomieszczenie. Cella była niewielka. Najwyżej cztery na pięć metrów. Wisiałem przy ścianie na lewo od drzwi. Naprzeciwko nich znajdowało się wygasłe palenisko z pozostawionymi w popiele metalowymi narzędziami, oraz wiadro wypełnione węglem i stosik brzożowych bierwion. Zauważyłem też nieduży stolik i zydeł o trzech nogach.

Barczysty zaczął wygrzebywać popiół z paleniska i układać węgle oraz brzożowe polana. Przyjrzałem się uważniej narzędziom i zrobiło mi się nieswojo. Coś, co wziętem za zwykły pogrzebacz, było najprawdopodobniej szpikulcem do rozrywania ciała. Obok widziałem dwie pary szczypiec, jedne proste o zaostrzonych kantach, drugie lekko zaokrąglone. Trudno też było nie dostrzec kilku mniejszych narzędzi. Młotka, dłuta z rozklepaną rękojeścią i cęgów podobnych do tych, którymi wrywa się gwoździe ze ściany. Przełknąłem ślinę, zbierającą się pod językiem. To nie wyglądało dobrze. Co gorsza nadal nie czułem dłoni. Ręce miałem nieruchome i odrętwiałe, jakby zamrożone. Słyszałem kiedyś, że długie pozbawienie dopływu krwi może wywołać gangrenę czy paraliż, i wcale mnie to nie pocieszało.

Barczysty rozpalił na palenisku ogień i układał teraz równiutko węgle. Przyglądałem mu się przez chwilę. Wyraźnie wiedział, co robi i jak wszystko ma wyglądać. Kiedy skończył, usiadł na zydlu, podpierając się łokciami na blacie stołu.

-Zjadłoby się coś, wypilo - zauważył tonem towarzyskiej pogawędki - a tu służba.

Popatrzył na mnie wzrokiem rozżalonego basseta i nie słysząc odpowiedzi, spuścił wzrok.

-Na dworze ciepło - odezwał się znowu - poleżałby człowiek pod jakimś drzewkiem, z winkiem w ręku. Na dziewczki się pogapił... A tu służba.

Zagmerał grubym paluchem między zębami.

-Bądźcie no, panie, rozmowni z miłościwym, to se człowiek wcześniej wyjdzie - rzekł niewyraźnie, a potem wyjął palec z ust i splunął pod stół - bo opierać się, to po co wam? Ból tylko wam zadam, ciało pokaleczę, a sam z lochów przed zmrokiem nie wyjdę. Trzeba być człowiekiem, nie?

Znów na mnie spojrzął i pokręcił głową. Potem jednak zerwał się z zydlu, a ja chwilę później usłyszałem kroki na korytarzu. Tym razem szło co najmniej trzech ludzi. Ale do celi weszło tylko dwóch. Ten, którego nazywałem cieniem, a który okazał się szczupłą, jasnowłosą kobietą w ciemnym płaszczu. Kobieta miała porcelanową cerę i bystre, szare oczy. Wszystko w niej wydawało się nieco zbyt ostre. Usta ściągnięte jak różowa kreska, wystające kości policzkowe, mocno zarysowany podbródek, lekko skośne oczy. Ale pomimo tego była całkiem ładna. Drugą osobą był grubawy, niski człowieczek o przeredzonych włosach i nalanej twarzy poznaczonej wątrobowymi plamami. Na ciemną bluzę z wystającą ponad brodę kryzą żabotu zarzucił niedbale granatowy płaszcz. W ręku trzymał coś, co przypominało skórzany pejcz noszony przez gestapowców. Mogłem się założyć, że widzę właśnie słynnego Suzerena. A przecież zupełnie inaczej wyobrażałem sobie tego człowieka! Byłem przekonany, że spotkam wysuszonego starca o przenikliwym wzroku i okrutnej twarzy, a tymczasem oglądałem żalostnego trzydziestolatka o chorobliwej cerze i wyblakłych źrenicach.

Przyjrzał mi się z uśmiechem nieskrywanej satysfakcji. Tak patrzy dziecko, które po wyrwaniu skrzydełek wszystkim muszkom dostało w prezencie okaz nad wyraz dorodny.

- Krzesło - rzucił i zaraz potem zobaczyłem, jak jeden z towarzyszących mu żołnierzy wnosi do środka następny zydel. - Pozwól, moja droga - poprosił kobietę, a sam usiadł za stołem na miejscu, które przed chwilą opuścił kat.

-Od czego zaczniemy? - zapytał, patrząc na mnie bez wyrazu. - Rwanie paznokci?

-No to trzeba go odwieść, miłościwy panie - wtrącił kat.

-No to u stóp mu rwij. - Suzeren spojrzął na towarzyszącą mu kobietę i rozłożył dłonie, jakby dziwiąc się głupocie kata. - A może - uniósł nagle wskazujący palec - na początek jednak będzie lepsze podpiekanie podeszew? - Sapnął zniecierpliwiony i machnął ręką. - Dobrze, odwieś go najpierw.

Kat zbliżył się i szarpnął mocno za koniec liny, który był okręcony wokół haka wbitego na poziomie mojego uda. Runąłem na kamienną posadzkę i trzasnąłem policzkiem w ziemię. Nadal nie czułem nadgarstków. Przesunąłem się pod ścianę i siadłem, opierając się o nią ostrożnie plecami. Popatrzyłem na swoje sine i spuchnięte dłonie. Na lewej zobaczyłem wystającą spod rękawa srebrną bransoletę. Jakby pod wpływem mojego spojrzenia wąż się delikatnie poruszył i ukrył pod materiałem.

-Lanne Lloch l'Annah - powiedział Suzeren – być może darowałbym ci zabicie moich żołnierzy. W końcu ukatrupiłes Varrada, a za to należy ci się nagroda. Puściłbym również w niepamięć, że zgładziłeś Strażników Bramy. Wręcz jestem ci wdzięczny, że to zrobiłeś, bo gdybyś trafił do Karad-bar, to już nigdy nie mógłbym ci zadać wielu pytań, które bardzo, bardzo, bardzo chcę zadać. Ale wiesz, czego nie mogę znieść?

Urwał, jak gdyby się spodziewał, że udzielę mu odpowiedzi. Ale ja na razie nie zamierzałem się w ogóle odzywać.

-Nie mogę znieść tych wszystkich pieśni o tobie, tych wszystkich historii opowiadanych po karczmach, zamtuzach, świątyniach i sklepach. A wszędzie w nich waleczny Lanne Lloch l'Annah, jego miecz, jego kochanki, a ostatnio nawet jego smok.

Udawał, że ziewa, ale najwyraźniej był wściekły. Najwyraźniej podniecał się własnymi słowami.

-Dlatego, zanim zniszczę ciebie, będę musiał zniszczyć twoją legendę. Pokazać nędznika odartego z honoru, godności, czci, odwagi... Skamlącego niewolnika, czołgającego się u stóp swego pana. Oto cena spokojnej śmierci, drogi Lanne.

Po chwili milczenia uśmiechnął się złośliwie i podjął: - No, może nie tak zupełnie spokojnej, ale i nie tak wyrafinowanej, jak obmyśliłem na początku.

Nadal się nie odzywałem. Uznałem, że teraz to najlepszy sposób. Zresztą cóż mogłem powiedzieć? Płaszczyć się i błagać o litość? Hmm, gdyby takie postępowanie mogło przedłużyć całą sprawę i dać mi odpowiednio dużo czasu, by wykoncypować rozsądny plan! W każdym razie pocieszający był fakt, że nie chce mnie zabić ani poddać torturom, po których nie mógłbym mu posłużyć jako element propagandy sukcesu. Jednakże, patrząc na grzejące się na palenisku narzędzia, wiedziałem, że w każdej chwili może zmienić zdanie.

-Drogi Lanne - powiedział Suzeren - wszystko to są sprawy mniejszej wagi. Podstawową rzeczą jest informacja. Informacja, której udzielisz mi teraz, będąc w pełni sił albo potem, kiedy mistrz Elis wypróbuje na tobie te nadzwyczaj prymitywne, lecz również nadzwyczaj skuteczne narzędzia.

Kobieta towarzysząca Suzerenowi uśmiechnęła się, odsłaniając równe, olśniewająco białe zęby. A ja poczułem mrowienie w lewej dłoni. Przebiegło boleśnie od łokcia aż po same koniuszki palców. Widziałem, ledwo uchwytnie pod materia rękawa, ruchy srebrnego węża. Miałem spętane nadgarstki i nogi w kostkach, ale jeśli tylko mój srebrny wąż przywróci mi władzę w rękach, to wszystko będzie zupełnie inaczej wyglądać. No, ale trzeba w takim razie zacząć grać na czas.

- Chyba nie mam wyjścia - odpowiedziałem i oparłem się wygodniej o ścianę - jestem gotów podzielić się z tobą całą wiedzą, jaką posiadam.

Suzeren przyglądał mi się chwilę w milczeniu. Miał lekko przymglone, wodniste oczka.

- Coś takiego - odezwał się w końcu, najwyraźniej zdziwiony.

- Jeśli mógłbym przedtem dostać kubek wody... - zaryzykowałem prośbę.

Każda sekunda była droga. Lewa ręka bolała mnie coraz bardziej. Czułem nie tylko impulsy uderzające od łokcia po paznokcie, ale też posuwiste, masujące ruchy węża. Jednak kiedy zdoła doprowadzić moje ręce do użytku? I co potem? No cóż, na takie rozważania był jeszcze czas. Na razie musiałem grać.

- Czemu nie? - odparł Suzeren. - Nigdzie się nie spieszymy... Prawda, Lanne?

Klasnął w dłonie, a do celi natychmiast zajął jeden z żołnierzy.

- Przynies dzbanek wody - wydał polecenie.

Czekaliśmy w milczeniu, nie trwało to długo. Żołnierz pojawił się z glinianym dzbanem i spojrzał pytająco na Suzerena.

- Daj mu pić - rozkazał władca, wskazując mnie ruchem podbródka.

Żołnierz uklęknął przy mnie i przechylił dzban. Zimna, orzeźwiająca woda wlała mi się do ust, zalała brodę i piersi. Nie sądziłem, że jestem aż tak spragniony. Woda zalaływała żelazem, miała lekko rudawy kolor, ale i tak smakowała wyśmienicie. Skończyłem pić i odetchnąłem z ulgą.

- To było naprawdę dobre - powiedziałem i poczułem się silniejszy.

Suzeren podrapał się po kłaczkach zarostu okalającego mu brodę.

- Masz jeszcze jakieś życzenia? - zapytał ironicznym tonem.

- Nowe szaty, kolacja, kąpiel, a potem ta dama. - Mrugnąłem do dziewczyny siedzącej obok Suzerena.

Roześmiała się, lecz jemu na blade policzki wypełzł rumieniec. Podparł się pięściami na blacie i chciał wstać, lecz kobieta zaszepotała mu coś do ucha i się uspokoił. Niechętnie wzruszył ramionami.

- Jak chcesz, moja droga - burknął.



Zacząłem się zastanawiać, kim ona jest. Kochanką? Doradczynią? Ochroną osobistą? A może wszystkim naraz? Tak czy inaczej wiedziałem, że za chwilę będę musiał poradzić sobie z katem, Suzerenem, dwoma żołnierzami, którzy czuwali za drzwiami, i właśnie z nią. I będę musiał zrobić to na tyle szybko, by nikt nie zdołał im przyjść z pomocą. Jak na spętanego człowieka o niewładnych dłoniach miałem ambitne plany!

- Chcę poznać odpowiedzi na wiele pytań – rzekł Suzeren. - Dlaczego pojawiłeś się po tylu latach? Czym jest bestia, która towarzyszyła ci u Kordelii? W jaki sposób zgładziłeś Varrada? No i najważniejsze pytanie: gdzie są pierścienie, Lanne? Gdzie są te dwa przeklęte pierścienie?!

Jakie, na Boga, pierścienie? - zapytałem sam siebie.

Suzeren najwyraźniej żądał ode mnie odpowiedzi, której nie mógłbym mu udzielić, nawet gdybym chciał. Przecież nie opowiem mu historii o tym, że zarówno on, jak i cały otaczający go świat są tylko moim snem. Ewentualnie, że dzięki snom przenoszę się do jego świata. Prawdopodobnie uznałby, że z niego kpię, a to nie skończyłoby się dobrze. Tymczasem doskonale zdawałem sobie sprawę, że to, co wydarzy się tutaj, może poważnie wpłynąć na moje rzeczywiste życie. Nie wiedziałem jednak, jak bardzo poważnie. Czy cierpiąc i umierając tutaj, będę cierpiał i umrę również w prawdziwym życiu? A może obudzę się i nie będę już mógł powrócić do świata snu? To byłoby najbardziej interesujące rozwiązanie. Czasami marzyłem, by wrócić do starego, dobrego życia, pozbawionego kłopotów, uniesień i zastrzyków adrenaliny.

I wtedy nagle zrozumiałem! Mój pierścień. Pierścień z szafirem i wygrawerowanymi słowami „Na zawsze twoja”. Pierścień Varrada, który zdjąłem z jego palca, kiedy już leżał w kałuży krwi, ze zdumieniem zastygłym na martwej twarzy. I pierścień Kordelii. Ten, który zsunąłem z jej palca, kiedy spała. To dlatego nazwała mnie złodziejem! Tylko co, na Boga, z nim zrobiłem? I do czego one wszystkie służyły? Może miałem je wrzucić do wulkanicznej rozpadliny, a potem pożegłować na zachód? Poza tym przecież istniały trzy pierścienie, więc dlaczego Suzeren pytał o dwa?

- Dlaczego pojawiłem się po tylu latach? - powtórzyłem pytanie.

Waż wytrwale masował mój nadgarstek i czułem, że krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Bolało jak cholera, ale wiedziałem, że to ozdrowieńczy ból.

- Varrad zdradził i dopadł mnie na pustyni ze swymi ludźmi - wyjaśniłem. - Zostawili mnie tam, na gorącym piasku - sięgnąłem myślą do tych chwil i wściekłość

zacęła płynąć we mnie na podobieństwo czerwonej rzeki - w oślepiającym słońcu, które wypalało źrenice...

Zacisnąłem zęby. Wspomnienie siedziało we mnie niczym bolesny cierń. Zresztą nikt łatwo nie godzi się z faktem, że zabija go najlepszy przyjaciel. Wściekłość na niego łączy się z wściekłością na własną naiwność.

-Nie wiem, jak długo leżałem, kiedy pojawili się nomadzi...

Nie miałem zamiaru opowiadać o smoku i moim braterstwie krwi. To były zbyt intymne, zbyt delikatne sprawy, by dzielić się nimi z tym napuchniętym człowieczkiem o oczach w kolorze rozwodnionego kompotu śliwkowego.

-Zabrali mnie do obozu i odratowali. Wszystko dlatego, że jeden z ich dowódców ślubował, że spełni tego dnia dobry uczynek, dający komuś życie lub szczęście. Spędziłem u nich te wszystkie lata, wojowałem razem z nimi i handlowałem. Dotarłem do wielkiego oceanu, w który na samym południu świata zmienia się pustynia, walczyłem z dzikimi ludźmi o wroście dzieci w wilgotnych dżunglach, gdzie promienie słońca nigdy nie docierają poprzez kopułę gęstego listowia...

-Lanne - przerwał mi Suzeren - zacznasz mnie nudzić.

-No cóż, chciałeś wiedzieć. Tam, na samym południu zdobyłem mego smoka. Byłem pierwszą istotą, którą ujrzał, wykluwając się z jaja, a więc uznał mnie za swego opiekuna i od tej pory zawsze mi towarzyszył.

-Właśnie: twój smok. Czy są inne? - Suzeren pochylił się nad stołem.

Mogłem podejrzewać, co mu się roi. Armia smoków terroryzująca świat. A może nawet nie cała armia? Może tylko jeden, jedyny smok oddany właśnie jemu i gotowy spełnić każdy rozkaz? Trzeba było podtrzymać te iluzje. Zwłaszcza że mogłem już poruszać palcami lewej dłoni. Energicznie zaciskałem i prostowałem dłoń. Mój srebrny wąż zamarł, a potem poczułem, że z lewego nadgarstka prześlizguje się na prawy. Szybko i płynnie, jakby stworzono go z rtęci.

-Tak - odparłem - tam, na dalekim południu nie są one niczym dziwnym. Żyją w wysokich górach, daleko od ludzkich siedzib. Zdobycie ich jaja jest piekielnie niebezpiecznym zadaniem, lecz nie niemożliwym. Mnie się udało. I wtedy postanowiłem wrócić, by zemścić się na Varradzie.

-Najpierw zawędrowałeś jednak w ciepłutkie objęcia Kordelii. - Zaśmiał się i obleśnie mlasnął. - Po co, skoro wiele lat temu zabrałeś jej pierścień? Po co tam wracałeś, skoro dostałeś już wszystko, czego chciałeś?

Okradłeś ją i oszukałeś, a teraz wracasz, jak gdyby nigdy nic? Czy o coś ci chodziło, Lanne, czy po prostu jesteś większym idiotą, niż myślałem? Obrócił się w stronę strażników.

-Przynieście wino i dwa kielichy - rozkazał. Oczywiście nie byłem na tyle naiwny, by sądzić, że drugi kielich jest dla mnie. Kat cały czas siedział przy palenisku i pilnował, by narzędzia były dobrze rozgrzane. Moja rozmowa z Suzerenem w każdej chwili mogła się zamienić w średniowieczny seans tortur i doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie wolno mi przekroczyć cieniutkiej granicy jego cierpliwości.

-Może ją kocha... - zauważyła kobieta towarzysząca Suzerenowi.

-Kochasz ją, Lanne? - Widziałem, że usilnie starał się nadać swej twarzy wyraz rozbawienia, ale i tak przypominał karpia wyglądającego z płytkiej wanienki.

-A czym jest tak naprawdę miłość? - Westchnąłem. - Jak mogę ci odpowiedzieć, czy kogoś Kocham, skoro nie potrafię zdefiniować pojęcia miłości?

Teraz Suzeren wyglądał już jak karp, którego siłą wyrwano nawet z tej płytkiej wanienki.

-Czy kiedy patrzę na piękną damę, siedzącą obok ciebie, to jest to tylko fascynacja jej urodą, czy już miłość? Widzę oczy przypominające polarne niebo i włosy falujące niczym płynne złoto. Widzę białe dłonie o palcach tak szczupłych, że bałbym się je ująć, by nie zrobić jej krzywdy. Czy to jest miłość, Suzerenie, czy tylko podziw dla niezwyklej urody tej damy?

-Gadka szmatka - zdumiało mnie sformułowanie, zupełnie niepasujące do baśniowo-fantastycznego świata, w którym miałem nieprzyjemność się znaleźć – obaj dobrze wiemy, jak ona wygląda, i nic tu twoje kadzenie nie pomoże...

I wtedy, ku mej głębokiej satysfakcji, zobaczyłem grymas, który przebiegł przez twarz kobiety.

-Mów, Lanne, mów - przynaglił. - W jaki sposób pokonałeś Varrada? W jaki sposób człowiek taki jak ty, nic ci nie ujmując, Lanne, mógł zabić największego fechtmistrza naszych czasów?

-Varrad był pijany - wyjaśniłem. - Proponowałem, byśmy walczyli, kiedy wytrzeźwieje, ale nie chciał. Po prostu potknął się w trakcie walki, a ja to wykorzystałem...

Suzeren przyglądał mi się uważnie i tarł podbródek, na który wystąpił już różowy rumień.

-Masz mnie za idiotę, Lanne? - zapytał w końcu. - Może jednak każę ci na początek wyrwać kilka paznokci, żebyś stracił ochotę do żartów?

Kat, słysząc te słowa, wstał od paleniska.

- Varrad, nawet w sztok pijany, pokonałby cię lewą ręką. Ale nie sądzę, by się upił właśnie przed takim pojedynkiem. Więc jak było naprawdę?

Milczałem.

- Mam ci pomóc, Lanne? - zapytał z pogroźką w głosie.

- Smok - odparłem niechętnie. - Kazałem go zabić mojemu smokowi. Jego i wszystkich, którzy mu towarzyszyli, oprócz generała, który przysiągł mi wierność.

- Sam bym tak zrobił! - Roześmiał się i klasnął w dłonie. - Oczywiście: zwabiłeś go, skusiłeś pojedynkiem i kazałeś zabić. Świetnie, Lanne! Naprawdę świetnie!

Czułem już mrowienie w prawej dłoni. Elektryzujący ból przenikał rękę po koniuszki palców. Lewą dłoń cały czas ścisnąłem i rozginałem, aby przywrócić krążenie. Czułem, że niedługo obie ręce mogą mi być bardzo potrzebne.

- Doskonały pomysł, drogi Lanne, i szkoda, że z niego nie skorzystałeś. - Wstał od stołu i zbliżył się.

Smgnięcie bicia było tak szybkie, że zdołałem tylko wtulić głowę w ramiona i odchylić się. Dzięki temu trafił mnie w plecy i bok głowy, a nie w policzek. Skuliłem się, a on sapiąc i przeklinając, tłukł mnie pejczem. Plecy, ramiona, nerki, raz czy dwa głowa. To nie mogło zabić, lecz cholernie bolało. Chciałem skoczyć do niego, wyrwać mu bat i wepchnąć do gardła, ale wiedziałem, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment. Wreszcie zmęczył się i z hałasem klapnął na zydel.

- Już nie te lata - wysapał.

Długo pił wino, które najwyraźniej mu przyniesiono, w czasie kiedy zabawiał się pejczem. Słyszałem tylko siorbanie, potem donośne beknięcie.

- Wracajmy do rozmowy, Lanne - powiedział niepokojąco spokojnym tonem. - Wiem, że walczyłeś z Varradem uczciwie i chcę wiedzieć, jak, do cholery, go pokonałeś? Gdzie byłeś przez te wszystkie lata? Kto cię trenował? Kto dał ci ten dziwny miecz? Skąd pochodzi smok? Komu służysz, Lanne? Kto cię przysłał?! - ostatnie pytanie już wykrzyczał.

Przyglądałem mu się kątem oka i zauważyłem, że jest naprawdę wściekły. Ale ze zdumieniem dojrzałem też, że obok tej wściekłości, obok niewątpliwej nienawiści, jaką do mnie żywił, czai się też strach. Nie przede mną, ale przed tym kimś, kto mnie przysłał, kto przywrócił mnie do żywych, po latach spędzonych nie wiadomo gdzie. I być może rzeczywiście miał powody, by się bać.

- Zabierz się do niego - warknął na kata – podwieś go i przypal.

A więc nadszedł czas! Srebrny wąż jakby to rozumiał, bo poczułem, że zawija się wokół sznura, który krępował mi ręce, i przechodzi przez niego, rozrywając konopne sploty. Potem zwinął się na lewym nadgarstku i wbił ostre srebrne kły prosto w moje żyły. Ból był tak niespodziewany i tak niepojęty, że wrzasnąłem, a ten wrzask ogłuszył mnie samego. Poczułem, jak moimi żyłami do serca płynie rzeka ognia. Całe ciało zmieniło się w kolebkę eksplodującego bólu. Nie widziałem nic poza szkarłatnymi bryzgami i zerwałem się na równe nogi. Więzy, które pętały mi nogi w kostkach, pękły, jakby zrobiono je z papierowego, sparciałego sznurka. Wśród szkarłatnych bryzgów i wśród bólu dostrzegłem przerażoną, nagle pobladłą twarz Suzerena, który, cofając się, wyrzucił stolik i zydela. Towarzysząca mu kobieta krzyczała urywanym, piskliwym głosem, dopóki jej nie uderzyłem. Wtedy przeleciała w stronę drzwi i zderzyła się z nadbiegającym strażnikiem. Kątem oka spostrzegłem kata, który ruszył ku mnie z rozpalonym prętem w dłoni. Chwyciłem go za rękę i wbiłem mu ten pręt w gardło. Przeszedł na wylot z głośnym sykiem rozpalonego żelaza, które studziło się we krwi. Strażnik już wstawał, ale wtedy srebrny wąż zerwał się z mojego nadgarstka i wkręcił mu się w ucho. Zresztą, nawet nie wkręcił. On po prostu wbił się w małżowinę, jak srebrny kolec, i wyleciał drugim uchem, niosąc ze sobą chmurkę krwi i strzępy mózgu. A potem, połyskując srebrem i różem, znowu owinął się wokół mojej dłoni. Przerażliwy ból ustąpił. Zaczynałem widzieć świat normalnie. Kobieta leżała nieprzytomna w drzwiach na drugim martwym strażniku. Dlaczego był martwy? Nie mogłem sobie przypomnieć, bym go zabił.

Suzeren stał pod ścianą i dyszał niczym wyjęta na brzeg ryba. Upierścienione palce splótł na piersi, a na twarzy zastygł mu wyraz przerażenia i całkowitego niezrozumienia sytuacji. Zostawiłem go na razie i wyjrzałem na korytarz. Było tam ciemno i pusto. Najwyraźniej moja cela znajdowała się w rzadko odwiedzanej odnodze lochów. Może było to miejsce przeznaczone dla specjalnych więźniów, z którymi nie powinien się nikt kontaktować? W każdym razie teraz ta izolacja okazała się nad wyraz cenna. Postawiłem na nogi zydela i popchnąłem Suzerena, tak by na nim usiadł. Oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit, kiedy na mnie patrzył.

- Kim ty jesteś, Lanne? Czym ty jesteś? - wyszeptał. - Czym ty, o bogowie moi, jesteś?

Potoczył wzrokiem po celi. Wnętrze wyglądało jak rzeźnia. Kat, z gardłem przebitym stalowym prętem, podrygiwał jeszcze nogami w agonii, jeden z żołnierzy leżał z pustym spojrzeniem wbitym w sufit, a z uszu i ust ciekły mu strumyki krwi. Chyba zaczynałem przyzwyczajać się do zabijania ludzi, choć nie powiem, bym był z

tego dumny. Popatrzyłem na Suzerena i otarłem z czoła pot i krew, bo zalewały mi oczy. Mój pot i cudzą krew.

-Dobre pytanie - odrzekłem.

-Przybyłeś z tamtego świata? - spytał cicho. - Prawda?

Drgnąłem. Z tamtego świata? Skąd mógł to wiedzieć? Wyciągnąłem z pochwy miecz martwego strażnika i zakręciłem młynka, by wypróbować ostrze. To była prymitywna, źle wyważona broń, ale zawsze lepsza taka niż żadna. Zdjąłem pas ze zwłok i okręciłem wokół bioder. Schowałem oręż do pochwy. Poczułem się zdecydowanie lepiej, mając nad lewym biodrem ciężką rękojęść.

-A co ty o tym wiesz? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

-Wiem wszystko - odparł.

Przysiadłem naprzeciw niego.

-Wydzieranie paznokci, podpiekanie podeszew czy też sam mi opowiesz?

-Wiesz, jaka jest między nami różnica?

To było pytanie retoryczne, więc nawet nie drgnąłem.

-Ja mogę wszystko - w jego głosie usłyszałem niemal dumę - a ty musisz sprostać własnej legendzie. Dlatego nie będziesz mnie torturował...

Roześmiałem się.

-Mój drogi, mylisz legendę z historią. Historia brzmi tak: potnę cię na kawałeczki, jeśli nie dowiem się wszystkiego, czego chcę. Ale legenda powie, że piękną mową skruszyłem twe serce lub że chytrym podstępem zmusiłem cię do ujawnienia tajemnicy. Bo widzisz, kochany Suzerencie, to ja będę pisał tę legendę. Nawet z twojej dziwki uczynię zropanzoną i obolałą niewolnicę, która rzuca się na szyję temu, kto wybawił ją od losu gorszego niż śmierć.

Kobieta leżąca na ziemi jęknęła i uniosła się na łokciu. Potarła dłonią skroń.

-On nic nie wie, Lanne - powiedziała, wstając. Spojrzała na Suzerena wzrokiem pełnym pogardy. – Tylko bezwartościowe ścierwo.

-Yanna! - Suzeren jęknął i czerwony rumień znowu wypełził mu na brodę oraz policzki. - Co ty mówisz, Yanna?!

-Mówię, idioto, że nie potrafiłeś dać mu rady, nawet kiedy tkwił tu związany jak kapłon. - Popatrzyła na mnie. - Taki facet jak ty. Taki facet może wszystko.

Pokręciła głową i znów pomasowała skronie.

-Aleś mi, kurwa, przyładował - burknęła. - Pieprzony Mike Tyson.

Spojrzałem na nią zdumiony i dopiero po chwili dotarło do mnie, o czym mówi. Mike Tyson?! Na Boga, nikt mi nie wmówi, że w tym świecie żyje bokser o nazwisku Tyson!

- A więc ty też śnisz? - spytałem poruszony.

- Śnisz, nie śnisz, nazywaj to jak chcesz - mruknęła. - Wiem tylko, że żyłam sobie spokojnie, dopóki nie zaczął się ten cały cyrk. Ale pogadamy potem. Teraz zastanów się, co zrobić z tym skurwielem – szybkim ruchem brody wskazała Suzerena - i jak wyjść w jednym kawałku z tego burdelu.

- Nie uciekniecie - zasyczał Suzeren - ja was każę...

Bez zastanowienia i bez ostrzeżenia strzeliła go wierzchem dłoni prosto w zęby. Cios był na tyle silny, że władca poleciał do tyłu i huknął potylicą w mur. Yanna skrzywiła się i zaczęła ssać skórę na kostce wskazującego palca, którą rozcięła o zęby Suzerena.

- Cholera - zakłęła i z rozmachem kopnęła go w brzuch.

Suzeren zajęczał i zwinął się w kłębek, ochraniając dłońmi głowę.

- Sścierwo - syknęła - ile ja lasek musiałam mu zrobić przez te wszystkie lata!

- Lata?! - zapytałem. - Jesteś tu całe lata?!

- Zdążymy o wszystkim pogadać - wzruszyła ramionami niecierpliwie - ale teraz lepiej coś wymyśl.

- Ja nawet nie wiem, gdzie jesteśmy - odrzekłem - więc może ty nas stąd wyprowadzisz, co?

Oczywiście nie zamierzałem jej ufać. Pamiętałem doskonale, bo trudno też było o tym zapomnieć, że siedziała obok Suzerena, kiedy mnie torturował. Przed chwilą zresztą miałem okazję przekonać się, jak oddaną jest sojuszniczką. W końcu nawet Suzeren najwyraźniej wykazywał coś w rodzaju przywiązania do niej, a ona odrzuciła go niczym znoszony kapeć.

- Jesteśmy w lochach pod zamkiem Kirilath, jeśli to cokolwiek ci mówi - wyjaśniła - a od wolności dzielą nas dwa piętra, mury, most zwodzony i jakieś trzy bramy. Nie mówiąc o dobrej setce żołnierzy pałętających się na każdym kroku.

- To nie brzmi dobrze - mruknąłem - ale kim ty tutaj jesteś? Czy posłuchają twoich rozkazów?

Pokręciła głową.

- Jestem jego, tfu, kochanką - odparła - od trzech lat, więc mam jakąś pozycję na zamku. Ale na pewno nie taką, by wyprowadzić z celi najniebezpieczniejszego wroga Suzerena i udawać, że nic się nie dzieje.

Kopnęła władcę jeszcze raz, ale tym razem lżej, czubkiem buta.

-Zdaje się, koleś, że będziemy potrzebowali twojej pomocy - powiedziała.

Spodziewałem się protestów i przekleństw, lecz Suzeren najwyraźniej uczył się na błędach. Nie odezwał się ani słowem. Kucnąłem obok niego.

-Posłuchaj - rzekłem - wyprowadzisz nas stąd. Ale spokojnie, dopiero o zmierzchu. Najpierw pójdziemy do twoich komnat i każesz przynieść wino oraz kolację. Dla mnie nowe ubrania i - szturchnąłem go palcem wskazującym - mój miecz. Będziesz grzeczny i wesoły, tak jakbyś dowiedział się jakiejś ważnej tajemnicy, a ja będę uprzejmy, a nawet nadskakujący, tak jakbym został twoim sojusznikiem. Rozumiesz?

Pokiwał gorliwie głową.

-Teraz porozmawiamy przez chwilę o tym, co się stanie, jeśli ten plan spali na panewce. – Podciągnąłem lewy rękaw bluzy i podstawiłem mu pod oczy utyłanego w zakrzepłej krwi srebrnego węża. - Oto magiczna bransoleta, której działanie miałeś już okazję zobaczyć. Wystarczy jedno moje słowo, a ten wąż przebije twój łeb, niczym grot kuszy. Rozumiesz?

Znowu pokiwał głową. Rzucił się do tyłu, kiedy bransoleta drgnęła na moim ręku, lecz przytrzymałem go.

-Natomiast jeżeli bezpiecznie stąd odjedziemy, to ocalisz swój paskudny tyłek.

-Jakie mam gwarancje? - wychrypiał.

-Jestem Lanne Lloch l'Annah. Moje słowo jest gwarancją - powiedziałem po prostu, a potem dodałem: - Zabiłem Varrada w uczciwej walce, mimo że mogłem postać przeciw niemu smoka. Dotrzymałem danej mu obietnicy, dotrzymam i tobie.

Zastanawiałem się, czy wszystko do niego dotarło. Miałem nadzieję, że sława Lanne Lloch l'Annah i jego honoru była na tyle duża, by przekonać nawet tego człowieka, który już chyba dawno zapomniał, czym jest honor i dotrzymywanie przyrzeczeń.

-Zgoda - rzekł.

Wiedziałem, że nie potrafię kierować mocą magicznej bransolety, lecz na szczęście on o tym nie wiedział. Widział tylko, jak zabijam kata i żołnierzy, jak z bezbronnej ofiary staję się panem sytuacji. Musiał zdawać sobie sprawę, że w wypadku zdrady zdołam osiągnąć chociaż jego jednego. A wydawał się bardzo przywiązany do życia.

-W takim razie chodź. - Pomogłem mu się podnieść, chociaż budził we mnie obrzydzenie.

Wziąłem dzbanek z resztką wody.



- Umyj się - nakazałem.

Sam nalałem na stuloną dłoń trochę wody i splukałem z twarzy krew. Oderwałem czysty kawałek koszuli z rękawa martwego żołnierza i przetarłem dokładnie czoło i policzki.

- Jak wyglądam? - zapytałem Yanny.

- Znakomicie. - Błysnęła uśmiechem.

Przyjrzałem się Suzerenowi. Niestety, było widać ślad po uderzeniu dziewczyny. Miał spuchniętą górną wargę, a obrzęk podchodził aż pod nos.

- Cholera! Trzymaj opuszczoną głowę.

- Pomóż mi - rozkazałem Yannie i wziąłem pod ramiona trupa żołnierza.

Posadziłem go przy palenisku, a pomiędzy kolana wetknąłem mu dzban. Potem obok usadziliśmy drugiego żołnierza i kata. Katu musiałem przedtem wyciągnąć z gardła stalowy pręt, i zrobiłem to, zapierając się nogą. Pręt wyszedł z ciała z obrzydliwym mlaśnięciem. Oczywiście z bliska i przy świetle nadal wyglądali jak bardzo, ale to bardzo martwi ludzie. Ale miałem nadzieję, że nikt nie dostrzeże ich z korytarza, a nawet jeśli, to pomyśli, że popili się i zasnęli na siedząco. Zresztą skoro była to nieużywana odnoga lochów, więc wystarczyło nakazać, by nikt nie wchodził do celi. Z powodów? A kto pyta władcę o powód wydania rozkazu? Węgłe z paleniska zgarnąłem na kupę. Nie było już ich czym zalać, żarzyły się tylko w kącie.

- Będziesz niosła lampę - powiedziałem Yannie - a ja dopilnuję naszego przyjaciela.

Podszedłem do niej tak blisko, że poczułem zapach potu.

- I bądź grzeczną dziewczynką - rzekłem - nie próbuj kombinować ani za dużo myśleć, dobrze?

Spojrzała na mnie z miną urażonej niewinności.

- Stawiam na ciebie, Lannę - odparła - i wydaje mi się, że to jest dobry zakład.

Uśmiechnąłem się, nawet bez specjalnego przymusu, i otworzyłem drzwi do celi. Też miałem nadzieję, że stawianie na mnie jest dobrym wyborem.

- Idź, kotku - powiedziałem - a ty - spojrzałem na Suzerena - tuż za nią. Jeden nieostrożny ruch, jedno słowo za dużo, a mój wąż sprawdzi, co masz pomiędzy uszami.

Korytarz był długi i wilgotny. Ciemny i pusty. Krople wody skapywały po kamieniach zlepionych starą, pokruszoną zaprawą. Wreszcie dotarliśmy do stromych schodów, a za nimi była zatrzaśnięta krata.

- Otwierać! - krzyknęła rozkazującym tonem Yanna.

- Już, już wasza wielmożność. - Wyraźnie zaspany głos pełen był przerażenia.

Krata zgrzytnęła. Jakiś chuderlawy człowieczek biedził się przy kołowrocie. Lampa Yanny oświetliła migotliwym płomieniem jego poznaczoną bruzdami twarz i siwe, skołtunione włosy. Szturchnąłem Suzerena w nerki.

-Dopilnuj, aby nikt nie wchodził do lochów – odezwał się od razu - odpowiadasz za to życiem.

-Tak jest, wasza wysokość. - Człowieczek skurczył się w głębokim ukłonie.

Minęliśmy go. Korytarz rozdzielał się na trzy odnogi i weszliśmy w tę po lewej stronie. Tu już było dość jasno, gdyż co kilka metrów płonęły zawieszane przy ścianach pochodnie. W ich blasku widziałem od czasu do czasu (kiedy obracał się do mnie profilem) martwą, obojętną twarz Suzerena. Zastanawiałem się, jakie uczucia kłębią się teraz w tym człowieku. Oto był jeńcem we własnym zamku, w twierdzy wypełnionej wiernymi mu żołnierzami. Czy wytrzyma? Czy ambicja nie weźmie góry nad chęcią przeżycia i zdrowym rozsądkiem? Gdyby zawołał o pomoc, zginęlibyśmy wszyscy. On, ja i tajemnicza Yanna. I nie pomógłby mi magiczny wąż, teraz nieruchomo ściskający mój nadgarstek. Zresztą i tak nie mogłem go w żaden sposób kontrolować.



**A** jednak dotarliśmy bezpiecznie do komnat Suzerena. Budząc zdumienie napotkanych pod drodze dworzan, lecz w zamku Kirilath chyba się przyzwyczajano, że władcy nie należy zadawać zbędnych pytań. Przyniesiono mi czyste ubranie i miecz, a słudzy podali kolację. Nie sądziłem, by oddawanie się uciechom stołu było w tej chwili na miejscu. Prędzej czy później ktoś mógł wejść do lochów i zobaczyć martwych strażników. A to najprawdopodobniej wywołałoby podejrzenia, domysły i w efekcie niekontrolowaną reakcję.

-Każesz przygotować trzy wierzchowce - rozkazałem, przewieszając miecz na plecach - te, które zwykle zabierasz na konne przejażdżki.

-Co powiemy strażom? - zapytała z niepokojem Yanna.

-A musimy coś mówić?

-Ten bydlak nigdy nie opuszcza zamku po zmroku - rzekła dziewczyna - i wszyscy doskonale o tym wiedzą.

Spojrzałem na Suzerena.

-Dlaczego? - zapytałem.

-Kiedyś go dopadli zamachowcy - wyjaśniła Yanna z uśmiechem - gdy właśnie szykował się do ulicznych awantur. Miał taką ulubioną zabawę: napadali z kilkoma przyjaciółmi na domy mieszczan, kogoś tam zabili, kogoś zgwałcili. Wszystko, oczywiście, w przebraniu. Ale kiedyś poharatali bydlaka... I od tego czasu nie wychyla nosa z twierdzy. A co dopiero za bramy miasta!

Z doświadczenia z Kelvan wiedziałem, że bramy miasta są po zachodzie słońca zamykane. Otworzyć je mógł jedynie rozkaz władcy, ale gdyby Suzeren wydał taki rozkaz, wzbudziłby ogólne zdumienie. Jednak musieliśmy zaryzykować. Nie mogłem sterczeć tu do świtu, mając pod ręką groźnego wroga i niepewnego sojusznika. Wziąłem z tacy udko kurczaka i wgryzłem się w mięso, aż ciepły tłuszcz spryskał mi kaftan. Byłem głodny i zmęczony. Najchętniej wykapałbym się i położył spać. Przytulił obolałą głowę do miękkiej poduszki. A może nawet oparł dłoń na kształtnej piersi? Ale tylko oparł, by sny były słodsze. Otrząsnąłem się, gdyż czułem, że znużenie przesłania mi jasność widzenia.

-Trudno - powiedziałem - zaryzykujemy. Nie możemy tu tkwić w nieskończoność.

Yanna pokręciła głową nieprzekonana, potem wzruszyła ramionami.

-No to spróbujmy - odparła - raz kozie śmierć!

-Jednak wcześniej muszę się czegoś dowiedzieć. - Obróciłem się ku leżącemu na ziemi Suzerenowi. - Spytałeś mnie o dwa pierścienie, padalcu. Rozumiem więc, że wiesz, gdzie jest trzeci. Gdzie jest mój pierścień?!

-Nie wiem, o czym mówisz - warknął.

-Nie mam wprawy w torturowaniu ludzi - oznajmiłem po chwili - i zapewne również pod tym względem poważnie się różnimy. Ale zapewniam cię, że brak doświadczenia postaram się nadrobić entuzjazmem. Zaufaj mi.

-Nie wiem...

-Mój pierścień! Pierścień z szafirem i wyrytymi słowami „Na zawsze twoja”. Horgar zabrał go z grobowca, a ty uwięziłeś Horgara. Więc zapytam jeszcze raz: gdzie jest mój pierścień?

Nie spodziewałem się, że pokornie wyjmie klejnot z kieszeni albo wskaże mi ukryty w ścianie sejf. Postanowiłem więc zabrać się do rzeczy metodycznie. Najpierw zakneblowałem Suzerena, potem przywiązałem go do łoża, a następnie połamałem mu wszystkie, oprócz kciuka, palce lewej dłoni. Siedziałem plecami do niego, tak by nie widzieć ani jego twarzy, ani oczu. Nie sprawiało mi przyjemności znęcanie się nawet

nad tak podłą kreaturą. W końcu jednak musiałem się odwrócić. Płakał, a zmieszane ze smarkami łzy spływały mu po brodzie.

- Teraz wyjmę knebel - rzekłem - jeśli zaczniesz krzyczeć, włożę go z powrotem i podpalę ci jaja. Zrozumiałeś?

Zabelkotał coś niezrozumiale, lecz w zamian za to kiwał gorliwie głową. Zdecydowałem się więc wyciągnąć szmatę z jego ust.

- Gdzie jest mój pierścień? - powtórzyłem.

Nie do wiary, lecz miał go przy sobie. W wewnętrznej kieszeni kaftana. Chlipiąc, jęcząc i smarząc, podał mi klejnot, a ja obejrzałem go z zainteresowaniem. Ot, ładna błyskotka. Jednak nie wywołała u mnie żadnych głębszych emocji, żadnych skojarzeń, żadnego nawrotu wspomnień. Jednak kiedy spojrzałem na wygrawerowany napis, wtedy przeszłość runęła niczym lawina po stromym zboczu. Zobaczyłem czarnowłosą kobietę o pięknej twarzy i oczach kuszących, by skoczyć w otchłań. Miała białą dłoń i długie, szczupłe palce. Na środku tej dłoni spoczywał mój pierścień.

- To dla ciebie, synku. Pamiętaj o mnie, zawsze kiedy na niego spojrzysz. - Jej głos był niczym strumień wrzącego miodu.

- Ktoś, kto będzie chciał mi go odebrać, będzie musiał mnie przedtem zabić - w wizji usłyszałem głos, który z całą pewnością był moim głosem, choć przypominał odtworzone nagranie pochodzące z młodszych lat. Brzmiał butnie i chępliwie, lecz można było w nim wyczytać wdzięczność oraz miłość.

- Kocham cię, Lanne.

- Kocham cię, mammo.

Wizja zniknęła, ale w czasie jej trwania musiało dziać się ze mną coś niezwykłego, gdyż zorientowałem się, że stoję przy ścianie, chociaż przecież przed chwilą siedziałem tuż obok Suzerena. Nie pamiętałem, bym się podniósł i postąpił te kilka kroków. Spojrzałem na Yannę i dostrzegłem, że przygląda mi się ze strachem oraz zdumieniem.

- Wszystko w porządku? - spytała ostrożnie.

- Przeszłość - wyjaśniłem - wspomnienia. Odetchnąłem głęboko. Skulony Suzeren jęczał cichutko, przyciskając poranioną dłoń do twarzy.

- Medyk nastawi ci palce - powiedziałem bez cienia współczucia i wzruszyłem ramionami – siatkarzom ciągle się zdarza coś takiego i jakoś żyją.

Yanna parsknęła i popatrzyła najpierw na Suzerena, a potem na mnie.

- Może masz ochotę na małe dymanko? Jestem naprawdę niezła w te klocki. - Mrugnęła zalotnie i przeciągnęła czubkiem języka po ustach.

W pierwszej chwili chciałem powiedzieć, że wolałbym wydymać wściekłego psa, lecz się powstrzymałem. W tej sytuacji robienie sobie wroga z urażonej kobiety nie było najlepszym wyjściem. Uśmiechnąłem się więc serdecznie.

- W innym wypadku nie omieszkałbym skorzystać z tak ponętnej propozycji. Ale teraz lepiej skupmy się na tym, jak stąd bezpiecznie uciec. Ale potem... Moja droga - pokręciłem głową - ten skurwiel zastanawiał się, w jaki sposób mnie torturować, a ja myślałem, że szkoda będzie umierać, nie usłyszawszy, jak krzyczysz pode mną...

Rozpromieniła się.

- Naprawdę?

Usiadła obok i pocałowała mnie w policzek.

- Fajny jesteś, wiesz? Serio ci się podobam? Chcesz żebym została twoją dziewczyną?

Była mi potrzebna. Jej pomoc, jej dobra wola i zaangażowanie. Nie mogłem jej ciągle zastraszać i trzymać w szachu groźbą, że srebrny wąż zrobi z jej mózgu krwawą pulpę. Ale prosta twierdząca odpowiedź byłaby niewiarygodna. Yanna była głupia, lecz nie aż tak, by uwierzyć w garnek ze złotem zakopany po drugiej stronie tęczy.

- Jesteś śliczna i ponętna - pocałowałem ją w miejsce, gdzie ramię spotyka się z szyją - może jednak powinniśmy się lepiej poznać, zanim zaczniemy planować wspólną przyszłość?

Usłyszała z tego zdania to, co powinna usłyszeć. Przede wszystkim słowa „wspólna przyszłość” oraz „lepiej poznać”. Zamruczała z teatralnym niezadowoleniem.

- Może chociaż zrobię ci loda, cooo?

Nie bałem się na tyle, by sądzić, że wszystko jest tylko grą i dziewczyna odgryzie mi kutasa. Jednakże po pierwsze, nie zamierzałem uczestniczyć w spektaklu upokarzania Suzerena, po drugie, odstręczał mnie cynizm Yanny. No i wreszcie po trzecie, chciałem być wierny Kordelii. Oczywiście było to głupie i nielogiczne. Być wiernym kobiecie, która mnie nienawidziła i spiskowała przeciwko mnie. Ale tak jak Kordelia przypominała ocean, tak Yanna przypominała zaledwie kałużę. A ten, kto unosił się na oceanicznych falach, nie da się łatwo namówić na babranie w bloku.

- Chcę, żebyśmy zapamiętali ten pierwszy raz - szepnąłem w jej włosy - żeby było naprawdę pięknie...

- Och, Dżizaz! Będę dziewczyną bohatera!

Co z nią zrobię już po wszystkim? - przemknęło mi przez myśl. Wiedziałem, co najprawdopodobniej zrobiłby ten ja, który żył w świecie samochodów i komputerów. Pokazałby jej, że jest bezwartościowym zerem, niewartym uwagi. Ale Lanne Lloch

l'Annah nie poniewierał dziewczynami, nawet kiedy go brzydzyły lub mu się znudziły. Lanne Lloch l'Annah wyzna, że obawia się, że jest zbyt piękną i silną kobietą, by się z nią wiązać. Że należy się jej od życia coś więcej niż tylko bycie klejnotem w posiadaniu bohatera. Lanne Lloch l'Annah zdradzi Yannie, że kraje mu się serce na samą myśl o rozstaniu, lecz musi to uczynić dla jej dobra. I Yanna odejdzie z niespełnioną miłością w sercu i każdemu, kogo spotka, opowie o lordzie, który zrezygnował z wielkiego uczucia, gdyż widział w niej kogoś więcej niż kobietę, która miała ogrzewać jego łożo. I wszyscy będą szczęśliwi...

Do tej pory nie spytałem o Horgara. Nie dlatego, by mi zależało bardziej na pierścieniu niż na przyjacielu. Po prostu bałem się tego, co mogę usłyszeć. I chyba bałem się również swojej reakcji. Bo jeśli Suzeren wyzna, że Horgar umarł w lochach? Albo że go stracono? Horgar... Pamiętałem tylko to, co wcześniej. Roześmianego olbrzyma, uwielbiającego popisywać się swoją siłą. Przymknąłem oczy i nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się wspomnienie o tym, że Horgar zawsze upijał się na smutno. Kiedy ja i Arrah radośnie zabawialiśmy się z kobietami, odnajdując urok ich wzgórz oraz leśnych dolin, wtedy Horgar żalił się im na podłe koleje losu oraz opowiadał o nieszczęściach, jakie spotykają go na każdym kroku.

-Zniosłam wiele - z mroków przeszłości wyrzała piękna twarz ladacznicy, skośne oczy i usta stworzone do pocałunków - nic nie mówiłam, kiedy płakał nad swoim ubóstwem, chociaż na palcach miał tyle pierścieni, że kupiłby za nie kilka wiosek. Nie odzywałam się, kiedy ubolewał, że jest słaby jak dziecko i w tym samym czasie zgniótł w dłoni srebrny puchar. Ale nie wytrzymałam, kiedy powiedział, że Lanne i Arrah zawsze dostają najlepsze dziwki, a jemu zostają tylko śmieci, których nikt już nie chce...

-Co za głupiec! - krzyknąłem wtedy z oburzeniem. - Ja patrzyłem jedynie na ciebie...

-Ale nie mnie wybrałeś!

-Bałem się, że odmówisz...

-Lanne, jestem dziwką! Nie mogę odmówić klientowi, który płaci tyle co ty!

-Twoja uroda mnie onieśmielała. Przecież zwykły człowiek może się czasem obawiać, że nie zniesie tak olśniewającego blasku. W porównaniu z innymi kobietami przypominasz słońce, gdyż one zaledwie lśnią światłem odbitym od ciebie.

Powiodłem po jej ustach opuszką palca.

-A kiedy teraz patrzę na twoją twarz i na twoje ciało, przepełnia mnie wdzięczność dla bogów, którzy stworzyli dzieło tak idealne.

- Och - westchnęła i ofiarowała mi później kilka nocy, w czasie których starała się otworzyć przede mną wrota do nieba.

- Mój przyjaciel - rzekłem, wracając do rzeczywistości - gdzie jest?

- Horgar? - wydusił z siebie Suzeren, a w jego oczach widziałem, że bardzo pragnie wierzyć, iż trafił na właściwą odpowiedź.

- Ano Horgar. Żyje?

Kiedy wypowiadałem ostatnie słowo, serce zamarło mi w piersi. Wiedziałem, że nie usłyszę: „nie”. Jeżeli Horgar już umarł, to Suzeren ukryje twarz i rozszlocha się z przerażenia. Będzie tylko coś bełkotał. O swojej niewinności i o złym losie. Może o przeklętym przypadku. Albo wymieni imiona tych, którzy powinni odpowiedzieć życiem za śmierć mego przyjaciela.

Bogu dziękować, nic takiego się nie wydarzyło.

- Żyje, żyje, żyje! - Suzeren wykrzyczał to tak radośnie, że byłem pewien, że zapomniał o połamanych palcach.

- Gdzie?

- Jest tu! W celi!

W tym momencie pojął chyba, że przebywanie w celi może mi się zdecydowanie niedobrze kojarzyć.

- Lanne, on zabił sześciu moich ludzi. Bez broni! Rozerwał ich na kawałki... Ja musiałem...

I wtedy znowu wróciły wspomnienia. Staliśmy w ciemnym, śmierdzącym zaułku, a wokół nas leżały trupy. Pierwszy z mężczyzn miał skręcony kark, drugi tak zmiażdżoną twarz, że przypominała rozgniecione wnętrze arbuza, a trzeci tyłem głowy dotykał podeszew własnych butów. Horgar stał obok mnie i nie słyszałem nawet, by miał przyspieszony oddech.

- Oni chcieli nas tylko okraść - rzekłem i położyłem dłoń na jego ramieniu - tylko okraść, przyjacielu...

Wizja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. A więc to był Horgar. Siłacz i morderca, który kochał mnie na tyle, by wybrać się w niebezpieczną podróż i sprawdzić, czy w grobie naprawdę leżą moje zwłoki.

- Gdzie? - powtórzyłem, a potem potrząsnąłem głową. - Tak wiem, w celi. Każ go przyprowadzić.

Przez twarz Suzerena przebiegł skurcz.

- Nie pozwolę, żeby cię zabił - obiecałem. - Przeżyjesz nasze dzisiejsze spotkanie pod warunkiem, że będziesz mądry. Będziesz mądry, prawda?



**T**o nie był Horgar, którego pamiętałem z wizji przeszłości. Ważył co najmniej trzydzieści kilogramów mniej, a włosy na głowie i brodzie miał splecione w brudny kołtun. I śmierdział tak, że mógłby zostać idolem najbardziej przerażonego skunksa.

-Lanne! - Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Kiedyś miał równe, śnieżnobiałe zęby, którymi potrafił gryźć puchary z grubego szkła. Teraz została mu tylko złamana w połowie jedyńka oraz dziąsła pokryte ciemnymi plamami.

-Wiedziałem. - Objął mnie, a ja zorientowałem się, że pomimo uwięzienia zachował dawną siłę.

-Proszę... Puść... - zdołałem wystękać w panice, że za chwilę wycisnie mi z płuc całe powietrze.

Odsunął mnie od siebie na długość ręki.

-Wiedziałem, że nie umarłeś! Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz!

Jestem wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Tu, w moim śnie, byłem chyba nawet ciut wyższy niż w rzeczywistości i całkiem niezłe umięśniony. A jednak przy Horgarze czułem się niczym karzeł lub dziecko. Bo Horgar był wielki. Albo nawet lepiej: WIELKI.

Można było odnieść wrażenie, że wypełnia sobą całą komnatę. Kiedy chciał mnie pocałować w policzki, to po prostu mnie uniósł.

-Dlaczego oni chcieli nas wtedy okraść? Jaki idiota mógł cię zobaczyć i chcieć okraść?

Wiedziałem, że nie były to odpowiednie słowa na powitanie, lecz wizja, którą ujrzałem przed momentem, wydawała mi się teraz bezsensowna i wyraziłem swoje zdumienie prędzej, niż pomyślałem. O dziwo, Horgar natychmiast zrozumiał, o jakim wydarzeniu mówię.



-Nie pamiętasz? - zapytał z wyrzutem. – Kiedy przyszli, rzygałem pod ścianą. A potem przypomniałem sobie, jak mówiłeś, że niektórzy ludzie są źli, bo nikt nie pokazał im, że można być dobrym. No to byłem miły i bardzo ich prosiłem, żeby nas zostawili w spokoju...

-A później jeden wyciągnął nóż - dodałem cicho.

-Prosiłem, żeby mi go oddał, ale on przebił mi dłoń... Po wszystkim byłeś na mnie zły, co?

Tym razem ja go objąłem, chociaż cuchnął gorzej, niż gdyby go wytapiano w kloace.

-Jesteś moim przyjacielem - westchnąłem - i bardzo cię kocham. Ale jeśli się nie wykupiesz w najbliższej rzece, to będziemy przyjaciółmi na naprawdę dużą odległość. I pod warunkiem, że będziesz się trzymał od zawietrznej strony.

Roześmiał się, a potem zrzucił Suzerena z łóżka i sam na nie padł.

-Teraz będę spał - obwieścił, po czym niemal natychmiast usłyszeliśmy jego chrapanie.

-Jezus, może otworzę okna - Yanna zatykała nos palcami.

-Otwórz, otwórz - zgodziłem się. - A wiesz co? Coś mi przyszło do głowy, ślicznotko. Czy on nie mógłby wystawić nam dokumentów? Specjalni wysłannicy i tak dalej... Nie byłoby w tym nic podejrzanego?

-Tutaj nikt się już niczemu nie dziwi - odparła.

-No to wypisz glejty. - Spojrzałem na Suzerena. Nawet nie trzeba było go przekonywać. Wiedział, czym może się skończyć opór, więc grzecznie potwierdził, że jesteśmy jego specjalnymi wysłannikami, których polecenia należy wypełniać pod groźbą niełaski samego władcy.

Yanna przyjrzała się papierom.

-Wszystko w porządku - stwierdziła. - No to co, nie jest już nam potrzebny, hmm? Wykończ go - warknęła.

Suzeren wpatrywał się we mnie wzrokiem, w którym chyba nie było nawet rozpacz czy prośby o miłosierdzie. Tylko żal i niezrozumienie. Myślę, że na swój sposób był przywiązany do kobiety, która bez najmniejszych skrupułów go zdradziła i w dodatku czerpała z tej zdrady przyjemność.

Kucnąłem przy jego twarzy.

-Nie jestem taki jak ty - powiedziałem - nie morduję i nie dręcę bezbronnych. Chcesz mnie? Weź miecz i stań tu i teraz...

Czekałem na odpowiedź i nie doczekałem się. Widziałem, jak jego prawa dłoń drży na posadzce niczym blada, konająca żaba.

-Zabij go, do cholery! - wrzasnęła Yanna.

-Sama go sobie zabij - odparłem i ruszyłem w stronę drzwi.

-Nigdy... - zacharczał z podłogi Suzeren.

-Wiem - przerwałem - nigdy mi tego nie wybaczysz. Darowałem ci życie, a taki dług można zmasać jedynie krwią wierzyciela...

-Ty idioto, ty cholerny skończony idioto... – Głos kochanki Suzerena brzmiał niczym metal drący szkło.

Obróciłem się i chwyciłem ją za gardło. Wyciągnąłem sztylet.

-Masz. Zarżnij go...

Wepchnąłem broń w jej dłoń, po czym stanąłem przy drzwiach.

-A może pchniesz mnie? - spytałem. - Widzisz, nawet się nie odwracam.

Czekałem dłuższą chwilę, słysząc tylko spazmatyczny oddech Suzerena. Odwróciłem się.

-Może wolisz w pierś, bo w plecy to nieelegancko? - Uniosłem rękę. - No zrób coś, głupia dziwko, zarżnij go albo zakłuj mnie!

Rozszlochała się i wypuściła nóż. Metal jęklawie uderzył o kamienie posadzki.

-To nie jest takie proste, prawda? - spytałem. – Łatwo powiedzieć „zabij go”, ale trudniej poczuć krew na własnych dłoniach. Widziałaś kiedyś oczy umierającego człowieka? - Znów byłem tuż przy niej. - Widziałaś, jak wiele jest w nich żalu? Zarżnij go - machnąłem w stronę Suzerena - ale patrz mu oczy, kiedy będzie umierał...

-Jestem zła! - wrzasnęła, tłukąc mnie pięściami w pierś. - Ja jestem zła, jestem podła, jestem zła! Kurwa, mogę zabijać! Nienawidzę go! Jestem zła! Nienawidzę go! Nienawidzę ciebie! - Biła mnie pięściami, coraz słabiej i słabiej, opadając na kolana. - Nienawidzę siebie!

Przytuliła się do moich nóg i łkała.

-Nie chcę żyć. Nigdy nie chciałam. Leżę tam...

Pochyliłem się i pomogłem jej wstać.

-O czym mówisz, Yanna?

-O czym mówię?! Wpierdoliłam od chuja tabletek! Tylko, kurwa mać, nie umarłam! Ja tam cały czas leżę. W tym w dupę jebanym szpitalu w pierdolonej śpiączce.

Objęła mnie.

- A potem znalazłam się tutaj. Myślałam, że będzie lepiej - szlochała mi pod ramię  
- ale wcale! Tam byłam kurwą i tu jestem kurwą. I nie mogę już wrócić...

- Co to za szpital?

Powiedziała mi, a raczej wyszlochała.

- Okej - rzekłem - przyjdę po ciebie. I nie wymiguj się jakąś pieprzoną śpiączką!  
Przyjdę po ciebie i masz się obudzić, jasne? Jeśli tego naprawdę chcesz...

- Przyjdiesz? - Uniosła wzrok. - Nie zapomnisz?

- Czy słyszałaś, by Lanne Lloch i'Annah kogokolwiek okłamał? A teraz  
zbierajmy się stąd, póki jeszcze możemy. Tylko jak ja obudzę Horgara?

Ku mojemu zdumieniu Horgar podniósł się, kiedy usłyszał swoje imię. Ale  
podniósł się w taki sposób, jak gdyby jego ruchy odtwarzano w co najmniej  
dwukrotnym spowolnieniu.

- Wszystko słyszałem - wyznał świecznikowi. Potem obrócił głowę w naszą  
stronę i przyglądał się nam bardziej niż uważnie.

- Lanne - powiedział w końcu.

- Tak, przyjacielu - odparłem - a teraz...

- I kobieta... - dodał wpatrzony w Yannę.

- Jestem jego kobietą! Jego! - Yanna niemal wskoczyła mi pod ramię.

- Och! To szacunek! - Horgar otrząsnął się niczym pies po kąpieli. - Skoro mamy  
iść, to chodźmy.

Potknął się o ciało Suzerena, lecz udało mu się zachować równowagę.

- Nie zabiłeś go? - spytał, przyglądając mi się ze zdumieniem.

- Nie. Pomyślałem, że tobie zostawię tę przyjemność. Że z radością zabijesz  
bezbronnego, upokorzonego człowieka...

Uśmiechnął się uśmiechem, w którym nie było nawet krzty rozbawienia.

- Tak, Lanne. Zabiję go z radością - odparł. - Nie za to, co mi zrobił, ale dlatego,  
żeby nie mógł tego zrobić komukolwiek innemu.

Miał rację i zgadzałem się z nim. Lecz nie mogłem pozwolić, by sprawy  
potoczyły się tak, jak tego pragnął.

- Przyrzekłem, że przeżyje - powiedziałem. - Wybacz, lecz nie mogę pozwolić,  
żebyś pozbawił mnie honoru.

Horgar stał w milczeniu co najmniej przez minutę, wpatrzony w jakiś punkt nad  
moją głową.

- Skoro tak, to tak - rzekł w końcu cicho - ale wierz mi, że kiedyś pożałujesz tej  
decyzji, Lanne. I krew tych, którzy umrą z jego powodu, splami twoje dłonie.

- Mam złamać dane słowo, przyjacielu? W czym byłbym wtedy lepszy od niego?

- Zabierz swoją kobietę i wyjdźcie stąd – poprosił - a ja tu chwilę zostanę.

Suzeren zaskuczał jak przerażony pies. Pokręciłem głową.

- Powiedziałem mu: „Jestem Lanne Lloch i’Annah. Moje słowo jest gwarancją”.

Jeśli złamię przysięgę daną wrogowi, a jutro oszukam kogoś, kto jest mi obojętny, to jaką masz pewność, że pojutrze nie zdradzę ciebie, przyjacielu?

- No cóż - westchnął.

Potem się pochylił i rąbnął Suzerena pięścią w skroń. Ułożył go na łóżku i nakrył pierzyną.

- Spokój co najmniej na dzień - ocenił.

- Dziękuję, że rozumiałeś - powiedziałem.

Parsknął śmiechem. Szyderczym. Może nawet trochę wrogim.

- Nie dziękuj, bo nie rozumiałem.

- Ja też nie rozumiałam - odezwała się Yanna - i chciałabym, żebyśmy stąd spierdalali!

- Hę? - burknął Horgar.

- Abyśmy jak najszybciej oddalili się na jak największą odległość od tego zamku - przetłumaczyłem.

- Ma rację - przyznał.



**M**usiałem zapalić papierosa. Musiałem wyjść z pokoju. Musiałem stanąć w miejscu, gdzie nie będę słyszał monotonnego szumu klimatyzacji i równego oddechu Anny. Z blatu stołu zgarnąłem pudełko marlboro oraz zapalniczkę i wyszedłem na korytarz. Stałem przy balustradzie na piętrze, skąd rozciągał się widok na pusty o tej porze basen, oświetlony punktowymi reflektorami. Pomyśleć, że jeszcze wczoraj uznałem za kojący widok intensywnie niebieskiej wody otoczonej krzewami, wśród których pyszniły się czerwone, żółte i różowe kwiaty. Jednak teraz nic już nie mogło być kojące. Teraz mogłem tylko przymknąć oczy i starać

się odetchnąć. Nawet to mi się nie udało. Pstryknąłem zapalniczką, a kiedy koniec papierosa rozjarzył się czerwienią, zaciągnąłem się głęboko.

- Mogę pana prosić na chwilkę? - Nie zauważyłem, kiedy mężczyzna zbliżył się do mnie.

Był niewysoki, szczupły, z krzaczastą brodą i mówił po angielsku z silnym akcentem. Na piersiach miał plastikową plakietkę z imieniem i nazwiskiem, lecz było zbyt ciemno, bym mógł odcyfrować długi rząd liter.

- Co się stało? - Strząsnąłem papierosa, a czerwona iskierka poleciała do ogródka na podobieństwo jakiegoś szczególnie podnieconego robaczka świętojańskiego.

- Była policja - zniżył głos do szeptu – pytali o pana.

Oho! Słowo „policja” nie zapowiadało niczego dobrego. Nadal reagowałem na nie z alergią, z jaką może reagować tylko człowiek wychowany w totalitarnym państwie, w którym policjanci uśmiechali się jedynie wtedy, kiedy udało im się zadać wyjątkowo zręczny cios pałką.

- Zaraz panu wszystko powiem. Proszę za mną. Oczywiście, że nie powinienem za nim iść. Ale wyglądał naprawdę pocziwie i niegroźnie. Zresztą może on sam był faktycznie pocziwy oraz niegroźny. Natomiast pistolet, który wyjął z kieszeni, wyglądał nad wyraz realistycznie. Wtedy staliśmy już przy drzwiach do służbowego pokoju. Wepchnął mnie do wnętrza i zdziwiłem się, jak mocny ma uchwyt. Wpadłem na regał, gdzie na półkach ułożono sterty pościeli oraz środki czyszczące. Byłem bardziej zły niż przestraszony i, o dziwo, sądziłem, że po prostu chce mnie obrabować.

- Nie mam portfela - wyjaśniłem tak spokojnym i opanowanym tonem, że aż mnie samego to zdumiało - wyszedłem tylko na papierosa.

Przez chwilę przyglądał mi się zaskoczony.

- Nie mam zamiaru cię okradać. - Parsknął śmiechem.

Dopiero wtedy zrozumiałem, co się dzieje.

- Ach tak... - westchnąłem.

Ciągle się nie bałem. No może trochę, kiedy pomyślałem, że Grek przestraszy się jakiegoś gwałtownego ruchu lub niespodziewanego hałasu i zaciśnie palec na spuście pistoletu. Zamierzałem być grzeczny, bo przecież należy się grzecznie zachowywać w towarzystwie człowieka, który jest zdolny w ułamku sekundy posłać cię do lepszego ze światów.

- Dlaczego byłeś taki uparty? - Pokręcił głową, jakbym był krnąbrnym uczniem, którego postępowanie sprawiło prawdziwą przykrość wymagającemu nauczycielowi.

Nie odpowiedziałem, bo i cóż miałem odpowiedzieć? Czekałem na to, co ma mi do przekazania.

-Przyznaj sam, że próbowaliśmy cię przekonać. Kamila prosiła, żebyś z nią wyjechał, prawda?

Kamila! No jasne, miała na imię Kamila! Moja urocza nieznajoma, z którą spędziłem wiele nadzwyczaj miłych godzin. Teraz to imię wydawało mi się tak oczywiste, że zastanawiałem się, jak mogłem o nim kiedykolwiek zapomnieć. A więc piękna i urocza Kamila nie zadzwoniła do mnie bezinteresownie, a jej propozycja wspólnych wakacji nie zrodziła się jedynie pod wpływem mego niewątpliwego męskiego czaru. Zrobiło mi się trochę żal i, mimo grozy całej sytuacji, zaboląła podrażniona ambicja.

-To wasi ludzie napadli wtedy na Annę - nawet nie spytałem, tylko stwierdziłem.

Skinął głową.

-Burdel, brak synchronizacji działań i jedna wielka amatorszczyzna - rzekł takim tonem, jakby się skarżył albo usprawiedliwiał.

-Sam chciałem odejść - wyjaśniłem - ale podobno grozi to...

-Teraz już tak - przerwał - teraz już wszystko zaszło za daleko.

Odbezpieczył pistolet.

-Przykro mi - powiedział, a ja słyszałem, że rzeczywiście jest mu przykro - to jedyne wyjście.

-Zaraz! - W tym momencie dotarło do mnie, że Grek nie pojawił się tu, by negocjować. - Nie zabijesz obcego faceta tylko dlatego, że coś tam mu się śni?! Wszystkich was dokumentnie pojebało?

Człowiek nie powinien zwracać się w podobny sposób do osoby, która trzyma broń wymierzoną w jego serce. Ale brodacz nie obraził się ani nie zdenerwował.

-Uwierz mi, że to naprawdę jedyne wyjście. - Zabawne, lecz ton jego głosu wskazywał, że faktycznie chciał, bym mu uwierzył.

Być może tak właśnie by się stało i posępnie poddałbym się biegowi wydarzeń. Pewnie nie usłyszałbym nawet huku ani nie poczuł bólu. Poddałbym się, gdybym nie był Lanne Lloch l'Annah. A przynajmniej gdybym nie nauczył się, jak to jest być Lanne Lloch l'Annah. Przecież walczyłem i zwyciężałem. Pokonałem najznakomitszego szermierza świata. Moim przyjacielem był smok.

Kopnąłem Greka szybciej, niż sądziłem, że można kopnąć. Kopnąłem go jak Bruce Lee albo Chuck Norris.

Dokładnie w nadgarstek. Pistolet wyleciał z jego dłoni, a wtedy ja, lokując w tym ciosie całą siłę, strach i wściekłość, uderzyłem go pięścią w nos. I było po wszystkim. Zwalił się na kartonowe pudła, na twarz posypały mu się plastikowe butelki z detergentami. Nie jęczał, nie kulił się, nie pluł krwią. Po prostu stracił przytomność.

Serce tłukło się w mojej piersi tak mocno, że musiałem usiąść. Dopiero teraz zrobiło mi się niedobrze i w końcu zwymiotowałem w kąt. Moje ręce drżały, jakbym przerzucił właśnie tonę węgla.

- O kurwa - szepnąłem - o kurwa, kurwa, kurwa...

Zdałem sobie sprawę, że byłem krok od śmierci. Nie śmierci we śnie. Takiej prawdziwej śmierci, w realu. Brodacz chciał mnie zabić i zrobiłby to. Z głębokim żalem i równie głębokim przekonaniem o słuszności podejmowanej decyzji. Pewnie byłoby mu potem przykro, może miałby wyrzuty sumienia, może spowiadałby się z grzechu, a nawet przyjął i odprowadził pokutę. Lecz nie miałem najmniejszych wątpliwości, że nie wyszedłbym z tej komórki żywy. Pytanie brzmiało: co ja miałem zrobić z nim? Poderżnąć mu gardło? Oblać łatwopalnym płynem i podpalić? Boże mój! Nie byłem przecież zabójcą! A to nie były ani sen, ani gra komputerowa, tylko prawdziwe życie. Abstrahując od oporów moralnych, miałem też świadomość, że to jest świat, w którym działa policja, w którym prowadzi się śledztwa, zbiera odciski palców i przesłuchuje świadków. Nie zamierzałem spędzić reszty życia w greckim więzieniu... Nie, nie, nie zamierzałem spędzić życia w żadnym więzieniu! Poza tym ten człowiek nie był typem zimnego mordercy. Gdyby miał doświadczenie w podobnych zleceniach, nie usiłowałby ze mną rozmawiać. Po prostu strzeliłby mi w potylicę, tak że nawet bym nie wiedział, co i dlaczego mnie zabiło. Tymczasem on najwyraźniej próbował zagłuszyć wyrzuty sumienia. Przekonać ofiarę, że postępuje w jedyny możliwy do zaakceptowania sposób, że odbiera mi życie w imię jakiegoś abstrakcyjnego, wyższego dobra.

Uklęknałem przy Greku i dokładnie przeszukałem kieszenie jego spodni i bluzy. Nie było w nich nic poza paczką cameli light, tanią chińską zapalniczką i telefonem komórkowym. Sprawdziłem połączenia wychodzące, odebrane i nieodebrane, ale za każdym razem ukazywał mi się tylko pusty ekran. Jednak jego komórkę mogłem wykorzystać w inny sposób. Wybrałem 112 i zmienionym głosem złożyłem doniesienie o szaleńcu z pistoletem, który chciał mnie zastrzelić. Powiedziałem, gdzie można go znaleźć, a potem się rozłączyłem, oblałem telefon płynem do mycia szyb i wytarłem starannie szmatką. Miałem nadzieję, że policja przetrzyma brodacza tak długo, bym zdążył bezpiecznie opuścić Kretę.



**Z**astanawiałem się, jak ucieczkę moją, Yanny i Horgara opisałby powieściopisarz specjalizujący się w gatunku „płaszczka i szpada”. Zapewne w jego wersji na naszej drodze czyhałyby liczne niebezpieczeństwa. Być może nawet zdrada. A może stanęłaby nam na przeszkodzie zwykła dociekliwość oficera, chcącego bliżej przyjrzeć się glejtom, który w tych glejtach zauważyłby coś podejrzanego? W każdym razie na pewno byłoby sporo mowy o głośniejszym bijących sercach, przyspieszonym oddechu czy spoconych palcach nerwowo zaciskających się na rękojeści sztyletu. Ale rzeczywistość różni się od literackich fantazji. Ludziom, którym pokazywaliśmy dokumenty, wystarczyło spojrzenie na pieczęć Suzerena. Zresztą najczęściej byli tak pijani, że nawet odcisnięte kopytko wydałoby im się całkiem na miejscu.

Przed opuszczeniem miasta musiałem jeszcze odnaleźć Arraha w karczmie, którą wyznaczył mi na spotkanie. Nie wiem dlaczego, ale miałem graniczące z pewnością przekonanie, że ten mój niebezpieczny przyjaciel odegra ważną rolę w życiu Lanne Lloch l'Annah. Może dobrą, może złą, któż to mógł teraz wiedzieć?

Arrah tym razem nie włożył kolorowej kapoty. Był jedynie w szarym kaftanie i równie szarym płaszczu. Ot, spokojny, nierzucający się w oczy mieszczanin, który przysiadł w kącie oberży, by wypić jedno czy dwa piwa.

- A więc udało ci się - powiedział na powitanie, spoglądając na mnie i na Horgara.  
- A to kto? - Zmrużył oczy, przypatrując się Yannie. - Ach tak. Suka Suzerena...  
Ciekawe...

Ku mojemu zdumieniu Yanna nie zareagowała na słowo „suka”, choć spodziewałem się, że odpowie Arrahowi co najmniej wiązką przekleństw.

- Słyszałem, że cię złapali. - Znowu spojrział na mnie. - Po całym mieście trąbili, że Lanne Lloch l'Annah wpadł w ręce sprawiedliwości i odpowie za wszelkie występki przeciw Suzerenowi. Już nawet szły zakłady o to, jak każą cię stracić.

- Bardzo zabawne...

- Ale prawdziwe! Na razie wygrywał pomysł ćwiartowania żywcem, chociaż łamanie na kole również miało wielu zwolenników.



- A co ty obstawiłeś?

Roześmiał się.

- Przecież wiedziałem, że tak wszystko zakręcisz, że wyjdzie jeszcze na twoje.

Uciekłeś? Puścił cię? Zabiłeś go?

- Uciekliśmy, a on żyje. Do jutra rana mamy spokój. I czas, by wrócić do Kordelii.

- Więc go nie zabiłeś. - Pokręcił głową - Co takiego się stało, że zostawiłeś wroga przy życiu? Oszalałeś, Lanne?

- Dałem słowo.

- Dałeś słowo. - W jego głosie usłyszałem wyraźne szyderstwo. - Wierz mi, że wielu ludzi zapłaci życiem za twoje skrupuły i szlachetne serduszko.

Ciekawe, iż powtórzył niemal dokładnie słowa Horgara wypowiedziane w zamku Suzerena. Ale cóż, co się stało, to się nie odstanie. Może popełniłem błąd, ale przecież Frodo też nie zabił Golluma, kiedy mógł to bezkarnie uczynić. Kto wie, czy po śmierci Suzerena władzy nie objąłby któryś z jego dowódców albo baronów? Okrutniejszy, silniejszy i sprytniejszy? A może wybuchłaby wojna domowa i cały kraj na długie lata stanąłby w płomieniach? Wiedziałem jednak, że decydując o życiu Suzerena, nie zastanawiałem się nad historycznymi alternatywami oraz skutkami mych działań. Wtedy chodziło tylko o jedno: dałem słowo, a słowo Lanne Lloch i' Annah ważyło więcej niż klejnoty tego świata.



**K**ordelia nie była zachwycona, kiedy zobaczyła Arraha oraz Horgara. - Miałam nadzieję, że nie żyjesz - powiedziała do mego przyjaciela, który już zdołał przebrać się w tęczową kapotę.

- I ja się cieszę, oglądając cię w dobrym zdrowiu - Arrah skłonił się głęboko - choć twoje słowa ranią gorzej od zatrutych sztyletów.

- Cóż, przynajmniej o tym naprawdę coś wiesz... - prychnęła.

- Nigdy nie rozumiałem, czym zasłużyłem sobie na niełaskę pięknej pani - Arrah wyprostował się z miną niesłusznie skrzywdzonej ofiary - a przecież zawsze powtarzałem lordowi Lanne, że...

Kordelia uniosła dłoń.

- Zniosę twoją obecność pod warunkiem, że nie będziesz się odzywał niepytany - rzekła stalowym głosem.

- W innym wypadku każę ci wyrwać język. Zrozumiałeś?

Skłonił się jeszcze niżej niż poprzednio. Nie sądziłem, by Kordelia faktycznie chciała zrealizować swą groźbę, lecz wiedziałem również, że nie należy tego sprawdzać. Jak widać Arrah doszedł do podobnych wniosków. Mógł być chytrym zabójcą i krętaczem, ale tutaj - w zamku pełnym zbrojnych - jego spryt na niewiele by się zdał.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę, Lanne? - Spojrzała na mnie. - Co tym razem przynosisz do mego domu?

- Wojnę - odparłem.

Milczała długą chwilę.

- Wojnę - powtórzyła - jakie to słodkie... Nie kwiaty, nie klejnoty, nie namiętne obietnice, ale wojnę...

- Kiedyś i tak by wybuchła - powiedziałem - dobrze o tym wiesz. Tyle że każdy człowiek zawsze ma wybór. Przecież możesz wydać nas w ręce Suzerena i tym postępowaniem zaskarbisz sobie jego życzliwość... Przynajmniej na pewien czas.

- Czego więc chcesz?

- Armii - rzekłem - twojej szlachty, twoich mieszczan i twoich chłopów. Broni z twoich arsenałów i żywności z twoich magazynów.

Znowu milczała co najmniej przez minutę.

- Co dostanę w zamian? Co może mi ofiarować przybłęda bez żołnierzy?

- Varrad również nazwał mnie przybłędą...

- Grozisz?

- Nie, Kordelio. Jeśli nie staniesz po mojej stronie, ruszę na północ. Do generała Kaldarana, który jest mi winien życie. A przez twoje włości przetoczą się ścigające mnie wojska Suzerena. Będą palić, zabijać i łupić nawet wtedy, kiedy staniesz się ich sojusznikiem. A twoi ludzie i tak pójdą na wojnę. Tylko że w mojej armii będą walczyć o wolność, a do armii Suzerena zawloką ich w kajdanach.

- Nie dajesz mi wyboru, prawda?

- Zwycięzys, tylko kiedy ja zwyciężę - odrzekłem. - W każdym innym wypadku będziesz rządzić królestwem zgliszczy.

Odwróciła się.

-Odejdźcie - rozkazała - jutro otrzymacie odpowiedź. I nawet jeśli nie będzie ona po waszej myśli, pozwolę wam opuścić zamek. Nie wydam was Suzerenowi i choć może moje słowo znaczy mniej niż słowo Lanne Lloch l'Annah, nie złamię go.

-Dziękuję, Kordelio...

Tym razem nie spojrzała na mnie.

-Gdybym mogła cofnąć czas, chciałabym cię nigdy nie spotkać - odparła.

Nie pozostawało nam nic innego, jak opuścić komnatę i pożegnać władczynię ukłonem, którego i tak nie raczyła zauważyć.

-Jakżeż ona cię kocha. - Horgar pokręcił głową, kiedy znaleźliśmy się za drzwiami.

-Może mnie nawet nienawidzić, ale niech da wojsko - powiedziałem gorzko i mówiąc te słowa, wierzyłem w nie bez reszty.

Przed drzwiami komnaty czekał na mnie Glejar, a ja ucieszyłem się, widząc go w dobrym zdrowiu. Nie przypuszczałem, by Kordelia chciała zrobić krzywdę temu chłopcu, ale wiedziałem też, że kobiety są nieprzewidywalne w swych uczuciach, zwłaszcza jeśli chodzi o uczucie nienawiści.

-Chcesz zobaczyć smoka, lordzie Lanne? - spytał.

-Oczywiście.

Zeszliśmy na dziedziniec. Ten jego fragment, gdzie leżał towarzysz moich podniebnych wędrówek, został otoczony sięgającym ramienia płotem. Przy furtce stało dwóch zbrojnych z włóczniami w dłoniach. Po minach strażników poznałem, że nie byli zachwyceni charakterem swej służby. Najwidoczniej musieli się intensywnie zastanawiać, co będzie, jeśli smok ocknie się w czasie ich warty? I co się wydarzy, jeśli ocknie się wściekły i głodny?

-Lordzie Lanne - wymamrotali, najwyraźniej zaskoczeni, i szybko zrobili mi miejsce.

Otworzyłem drzwi i spojrzałem na ogromne pokryte łuską cielsko. Smok leżał w bezruchu, jakby jego ciało było jedynie wykutym z granitu posągami. Niemal każdy człowiek i każde zwierzę nawet w czasie snu dają pewne oznaki życia. Unosząca się klatka piersiowa, nagły skurcz mięśni, poruszenie kończyną, mrugnięcie powiek... Zawsze coś się dzieje. W tym wypadku jednak nie działo się nic.

-Codziennie daję mu wodę i świeżo mięso - powiedział Glejar - jakby się obudził.

Było to rozsądne. Lepiej, by miał na dzień dobry coś więcej niż tylko przekąskę ze strażników.

Położyłem dłonie na wielkim łbie jaszczura, potem usiadłem obok niego.

-Zostaw mnie, Glejar - rozkazałem - chcę z nim trochę posiedzieć.



**M**arzyłem, by spędzić noc z Kordelią, lecz nie miałem żadnych złudzeń. Wiedziałem, że ona nie zastuka do moich drzwi. Wiedziałem, że nie wyśle służącej, by przeprowadziła mnie przez ciemne korytarze zamku. Wiedziałem, że nie będzie czekać piękna, naga i czuła. Może kiedyś... Może w następnym życiu... Może ktoś napisze balladę, w której tak właśnie wszystko się potoczy? Może ludzie uwierzą w słowa tej ballady? Ale to nie była ballada. To było tylko nędzne, podłe życie, w którym trzeba ranić tych, których kocha się bardziej niż samego siebie. A przynajmniej chciałoby się wierzyć w to, że się ich kocha...

Spałem mocnym snem bez snów, a z samego rana Kordelia mnie wezwała. Siedziała na tronie tak odległa, jakby znajdowała się po innej stronie świata.

-Podjęłam decyzję. Wbrew radom zaufanych.

Wiedziałem, że ma na myśli podstolego-albinosa i wiedziałem już, co postanowiła.

-Nie chcę tej wojny - ciągnęła - ale wezwę mych ludzi, by na nią poszli, i sama na nią wyruszę. Dam ci wszystko, czego chcesz, Lanne. Armię, broń, zapasy...

Choć spodziewałem się podobnych słów, kamień spadł mi z serca. Zarówno z uwagi na Kordelię, jak i na mnie samego.

-Miałaś do wyboru hańbę lub wojnę, pani. Gdybyś wybrała hańbę, wojnę dostałabyś i tak – odrzekłem cytatem ukradzionym Churchillowi - ale pokornie ci dziękuję. I postaram się, byś nigdy nie żałowała szlachetnej decyzji.

-Żałowałabym każdej decyzji - jej twarz przypominała maskę, gdyż nie malowały się na niej żadne uczucia - będę jednak wierna tej, którą podjęłam. Nie zdradzę cię. - Na jej ustach wykwitł oszczędny, smutny uśmiech. - Może też chciałabym przejść do legendy?

-Dziękuję, Kordelio - powtórzyłem. - I, jeśli mógłbym prosić, wyślij posłańców do generała Kaldarana. Poza tym napiszę list, a ty każ ludziom dostarczyć go Isdibinowi...

-Temu rzeźnikowi? - przerwała, mrużąc oczy.

-Ma u mnie dług. Jeśli jest człowiekiem honoru, spłaci go.

-Skoro tak mówisz.

-Musimy jak najszybciej zebrać wojsko i ruszyć na Kirilath.

-Ruszyć na Kirilath?! Sądziłam, że będziemy się bronić! Że wytrwamy do jesieni i wynegocjujemy dobre warunki rozejmu...

-Nie, Kordelio - przerwałem - w ten sposób nie wygramy wojny.

Po chwili skinęła głową, jakby zgadzając się z moimi słowami. Mimo to miała jeszcze wątpliwości.

-Baronowie nie staną po naszej stronie. Kiedy pójdziemy na Kirilath, uderzą od tyłu.

Na początku nie wiedziałem, o jakich baronach mówi. Ale wtedy przypomniałem sobie mapę. Widziałem lampki oświetlające rozłożony na stole pergamin. Włości Kordelii i domenę Suzerena rozdzielały posiadłości niezależnych baronów. Ufortyfikowane zamki. Armie, które mogły się w nich ukryć, by wbić nam nóż w plecy. Skąd znałem tę mapę? Jakąż to kampanię planowałem wcześniej?

-Będą musieli wybrać - powiedziałem, wyganiając spod powiek wizję pochodzącą z przeszłości - i lepiej niech wybiorą dobrze.

-Dla kogo dobrze, Lanne?

Teraz dostrzegłem, jak smutną i zmęczoną ma twarz. Jak zgasły jej oczy. Postąpiłem krok w stronę tronu. Chciałem tylko dotknąć jej włosów i objąć jej ramiona. Chciałem poczuć jej oddech na policzku i usłyszeć bicie serca.

-Nie! - rozkazała.

Obcym, złym i nieswoim głosem. Tak jakby czytała w moich myślach i wydały jej się one nad wyraz obrzydliwe.

Zatrzymałem się.

-Kiedys oboje się dowiemy, czy warto było zapłacić aż taką cenę - powiedziałem, starając się zachować spokój, choć gdyby głos miał łzy, to mój mógłby zatapiać ludzkie serca.

-„Kiedys” - odparła. - „My” - dodała.

A potem tylko roześmiała się śmiechem, którym można by się cieszyć tak samo, jak głębokim oddechem w pustce pomiędzy gwiazdami.



**W**róciłem do pokoju. Podeszedłem do łóżka, na którym spała Anna, i dotknąłem jej ramienia. Nie obudziła się, więc nią potrząsałem. Wcale nie delikatnie. Teraz poderwała się z twarzą wykrzywioną strachem, lecz uspokoiła się, kiedy zobaczyła, że to ja stoję obok.

- O, Boże - jęknęła. - Chcesz mnie zabić?

- Ja nie. Ale mnie chcieli.

Opowiedziałem o brodatym mężczyźnie i o tym, że naprawdę miał wyrzuty sumienia przed naszpikowaniem mnie ołowiem.

- Musimy zwiewać - zakończyłem.

I nagle w mojej głowie zrodziło się kłopotliwe pytanie. Ba, ono się nie zrodziło, lecz wręcz rozprysnęło w mózgu. A pytanie to brzmiało: „Dlaczego chcieli zabić mnie, nie Annę?”. Wszak zlikwidowanie dziewczyny, która „śniła dla mnie”, powinno rozwiązać cały problem. Zresztą przecież wcześniej próbowali ją porwać, więc chyba to właśnie ona była ich głównym przeciwnikiem.

- Dlaczego chcieli mnie zabić? - zapytałem. - Dlaczego nie ciebie, Anno?

- Teraz już wszystko zaszło za daleko - odparła, a ja się zorientowałem, że wypowiedziała dokładnie to samo zdanie, co usiłujący mnie zastrzelić brodacze. – Moja śmierć nic nie zmieni. Następnego dnia pojawiłby się ktoś, kto potrafiłby cię prowadzić równie dobrze.

- Mogli mnie przecież zamknąć, uwięzić...

- Nie chcieli cię dręczyć. Pamiętasz, jak mówiłam ci o braku snu i bólu? Umarłbyś w męczarniach, w każdej minucie prosząc o śmierć. A to nie było ich celem. Bo to nie jest tak, iż są złymi ludźmi, podniecającymi się bólem sprawianym innym. Oni wierzą w swoją sprawę i w to, że ta sprawa jest ważna i święta. Głęboko się mylą, lecz starają się być uczciwi i dobrzy. Widzisz, po prostu bardzo rzadko wybór przebiega pomiędzy absolutnym złem a absolutnym dobrem. Najczęściej wybór przebiega pomiędzy ideami, których nawet do końca nie rozumiesz...

Miała rację. Czy raczej - precyzując - chciała, bym uwierzył w jej racje. Tyle że ja nie mogłem zapomnieć, iż nie dano mi wyboru pomiędzy żadnymi koncepcjami. Wcielono mnie do armii i ustawiono w okopie. Właśnie tym, a nie innym. Miałem tyle samo do powiedzenia co powołany do wojska średniowieczny wieśniak, który często nie wiedział nawet nie tylko, kogo zabija, ale też w jakim jest kraju. Nie powiem, by sprowadzanie mnie do roli narzędzia w rękach innych było szczególnie budujące. Nigdy do końca nie wierzyłem w spiskowe teorie dziejów, usiłujące nas przekonać, że Ziemią rządzą kosmici lub rada brodatych mędrców w jarmułkach. Owszem, zdawałem sobie sprawę, że polityka to znacznie więcej, niż dostrzega przeciętny konsument gazet, telewizji i Internetu. Zdawałem sobie sprawę, że świat nie jest skrzyneczką, którą można otworzyć i cieszyć się znalezionymi w niej klejnotami. Bo w tej skrzyneczce była kolejna, w tej kolejnej następna... I tak dalej, i tak dalej... Gorzej, że najwyraźniej niektóre ze skrzyneczek miały przy zamkach zatrute kolce...

- Teraz rozumiem tylko, że chcą mnie zabić - mruknąłem. - A dobry jest ten, kto mnie obroni.

- No to nie mówimy o ideach, ale o zwykłym instynkcie samozachowawczym.

- Zwykły czy niezwykły, mam go rozbudowany - zgodziłem się z nią - i podpowiada mi, żeby jak najszybciej stąd spieprzać!

Brodacz skarżył się na swych współpracowników, mówiąc jak bardzo nieprofesjonalnie się zachowywali.

Trudno było się nie zgodzić z podobną opinią, widząc skutki ich działań. Ale ludzi, którzy wpadli do naszego pokoju, nikt nie śmiałby nazwać amatorami. Anna właśnie domykała suwak walizki, kiedy seria z pistoletu maszynowego cisnęła ją na okno balkonowe. Czy mogłem w jazgocie broni słyszeć, jak szyba rozpryskuje się pod ciężarem jej ciała? A potem leżałem, nie wiedząc czemu, pod ścianą i nawet nic mnie nie bolało. Trzech ludzi ubranych w czarne kombinezony, z twarzami zasłoniętymi kominiarkami, zbliżało się do mnie. Chciałem coś powiedzieć, lecz z moich ust wydobył się jedynie krwawy bąbel i rozbryztał wokół. I wtedy rozległy się strzały. Gdyby strzelano do mnie, nie byłbym w stanie tego usłyszeć. Najwyraźniej jednak strzelano do kogoś innego.

Trzy czarne postaci zwały się na ziemię, niczym pacynki przewracane pstryknięciami silnych palców. Dostrzegłem wbiegających do pokoju mężczyzn w policyjnych mundurach. Jeden krzychał coś po grecku do słuchawki telefonu. Udało mi się obrócić głowę i zobaczyłem Annę leżącą wśród rozbitego szkła. Miała czerwoną

koszulkę i czerwone spodnie. Chciałem ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale zamiast słów wypłynęło mi z ust coś, co smakowało ciepłym żelazem.



**L**ekarze i pielęgniarki mówili po grecku, a mimo to, co zdumiewające, rozumiałem każde wypowiedane przez nich słowo. Widziałem ich z takiej perspektywy, jakbym unosił się pod sufitem. Obserwowałem, jak mnie kroją, pompują krwią i tlenem, wydobywają kule. Siedemnaście było tych kul. Ha, zabawne! Jak siedemnaście mgnień wiosny... Dobrze że najemnicy nie używali pocisków dum-dum, bo wtedy można byłoby mnie zeskrobywać ze ścian.

-Wróci! Jezu Chryste, wróci! - Lekarz stojący nad moim ciałem zdjął maseczkę, a pielęgniarka otarła mu pot z czoła.

Na ekranie nie pojawiła się ciągła linia. Znaczy: żyłem. Teraz widziałem wszystko tak, jakbym miał otwarte oczy. Może naprawdę miałem je otwarte? Jednak kiedy zaczęli wychodzić, nagle znalazłem się znowu pod sufitem, a sinusoida na ekranie zamieniła się w prostą.

-Tracimy go!

Wbiegli z powrotem do sali. Bach! Znowó mój wzrok znajdował się w moich oczach, a prosta wykrzywiła się w sinusoidę. Zabrało im trochę czasu dojście do wniosku, że stan pacjenta jest stabilny, tylko kiedy w pokoju znajduje się jedna z pielęgniarek.

-Nic z tego nie rozumiem. - W głosie operującego lekarza słyszałem bezradność, która mogłaby się urodzić jedynie przy cudownych ozdrowieńcach z Lourdes.

Niemniej byli na tyle racjonalni, by wykorzystać fantastyczność wydarzeń. Pielęgniarka została przy moim łóżku. Kiedy wszyscy już wyszli, pochyliła się nade mną.

-Będę śnić dla ciebie - obiecała szeptem.

I wtedy zrozumiałem, że Anna umarła. Nigdy się nie dowiedziałem, czy była moim przyjacielem, czy wrogiem. Czy byłem narzędziem w jej ręku, czy też choć trochę mnie polubiła. Pielęgniarka zebrała wacikiem łzy z moich policzków.



- Byłaby szczęśliwa, wiedząc, że płaczesz, Lanne Lloch l'Annah - szepnęła.

Usłyszałem ten szept, jakby dochodził zza ściany mgły, a potem odpłynąłem niesiony skrzydłami snu.



**T**rudno było mi zapomnieć, że w rzeczywistym świecie leżę na szpitalnym łóżku, podłączony do kroplówek, blady i nieruchomy. Straciłem zdolność podróżowania (tak to chyba można nazwać) pomiędzy rzeczywistościami. Byłem już tylko tam - w świecie szykujących się do boju armii oraz wojennych przygotowań. I cholernie tego żałowałem. Przecież mogłem skorzystać z wiedzy XXI wieku, by obrócić na swoją korzyść wynik wojny. Mogłem chociażby zajrzeć do książek lub Internetu, by poznać skład gazów bojowych stosowanych jeszcze w średniowieczu przez wschodnie armie. Jasne, że nie był to iperyt, ale ówczesni kronikarze opowiadali o gęstym, gryzącym dymie przerażającym zarówno konie, jak i jeźdźców. A to z całą pewnością wywarłoby wrażenie na Suzerenie. Mogłem również zebrać informacje na temat przygotowania „ognia greckiego”, wyjątkowo paskudnej mieszanki łatwopalnych materiałów, która ponoć nie dawała się łatwo ugasić. Ale cóż, nie było co biadać nad rozlanym mlekiem. W świecie XXI wieku leżałem na granicy życia i śmierci, widząc i mogąc uczynić mniej więcej tyle samo co martwa mrówka. Musiałem więc poradzić sobie w tym świecie, który mi pozostał. I wiedziałem, że sprawa wcale nie będzie taka prosta.

Generał Kaldaran zebrał oddziały wyćwiczonej piechoty i dwustu kawalerzystów na roślach rumakach. Żołnierzy okutych w zbroje i z kopiami w rękach. Isdibin nie złamał danego słowa. Przeprowadził tysiąc najemników, a sam stanął na ich czele. Na wezwanie Kordelii przybyły trzy tysiące zbrojnych. Całą tą armią ruszyliśmy w stronę południowych granic. Granic, za którymi czaiło się kolejne niebezpieczeństwo.

-Baronowie nie dadzą nam ludzi ani zamków. Nawet nie obiecali, że nas nie zaatakują.

- Która z fortec jest najsłabsza? - zapytałem. Kiedy mi odpowiedziano, spojrzałem na Isdibina.

- Oto twoje zadanie, generale. Pokaż im, że nie warto ze mną walczyć. Ale... - zawiesiłem głos - nie zabijaj bezbronnych.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł. Ruszył szybkim marszem, a jego wojska wpadły do miasta w dzień targowy. Nikt nie spodziewał się wroga. Isdibin, zgodnie z przyrzeczeniem, nie zabijał bezbronnych.

Potem, w czasie narady wojennej, kiedy już doszły nas wieści o triumfie najemników, Arrah zapytał:

- Przecież wiedziałeś, że to zrobi, prawda?

Patrzyłem mu prosto w oczy. On pierwszy uciekł wzrokiem.

- Wiedziałeś, że właściwie zrozumie twoje słowa. On jeden. W końcu po cóż uczyniłbyś tego mordercę jednym z nas, jak nie po to, by wykonał za ciebie brudną robotę?

- Wszyscy jesteśmy mordercami - rzekłem - gdyż ten, kto odbiera życie innemu człowiekowi, jest mordercą... Kto może wiedzieć o tym lepiej od ciebie?

- Ale ja nie kazałem obcinać rąk trzem tysiącom jeńców!

- Połóż na szali życie tych, których zabiłeś, i tych, których okaleczono. Wolałbyś żyć bez prawej ręki, Arrah, czy wolałbyś, żeby cię po prostu zabito?

- Zawsze potrafiłeś mącić ludziom w głowach! Zawsze układałeś słowa tak, by ci pasowały...

- Odezwał się ten, który nigdy tego nie robił!

- On kazał obciąć ręce wszystkim dorosłym mężczyznom! Nie zrobiłby tego bez twojego pozwolenia!

- Nigdy nie wydałem takiego rozkazu! I mogę przysiąc, na co chcesz!

Do komnaty wszedł Horgar.

- Otrzymaliśmy listy od baronów! - zawołał z radosnym uśmiechem. - Otworzą zamki przed naszymi żołnierzami i dadzą zakładników na znak swojej neutralności.

Spojrzałem na Arraha.

- Widzisz? - spytałem. - Ocaliliśmy wiele tysięcy ludzkich istnień.

- Hej, hej, napijmy się za to! - zakrzyknął szyderczo, a zaraz potem wyszedł, nawet nie patrząc w moją stronę.

- Tak, przyjacielu - szepnąłem nad kielichem - cokolwiek byś myślał, ja się właśnie za to napiję...



**-M**amy jakieś wieści?  
- Ano mamy - burknął Arrah i po tonie jego głosu poznałem, że nie będziemy się z tych wieści cieszyli.

-Mów i nie rób takiej grobowej miny - powiedziałem, lecz on nawet się nie uśmiechnął.

-Co najmniej dwadzieścia tysięcy ludzi - oznajmił.

Generał Kaldaran gwizdnął, słysząc te słowa. - Dwadzieścia tysięcy żołnierzy, nie jakiegoś motłochu - dodał - na domiar złego idą z nimi Tancerze Mieczy.

Nic mi ta nazwa nie mówiła. Kiedy usłyszałem „tancerze mieczy”, w mojej głowie nie rozległ się ostrzegawczy dzwonek, a pamięć nie podsunęła żadnych wizji. Nic. Kompletna pustka. Niemniej z tonu Arraha wnioskowałem, że musiały to być oddziały cieszące się sławą oraz szacunkiem. Zapewne miejscowa elita najemników, tak jak helweccy pikinierzy czy walijscy łucznicy w moim świecie.

-Też zbierzemy dwadzieścia tysięcy, jeśli będzie trzeba. - Horgar uderzył pięścią w stół, aż zatrzęśły się kielichy. - Załadajmy, by baronowie dali swoich ludzi!

-Nie - odparłem - nie będziemy brać chłopów ani mieszczan. Nie mamy czasu, by ich przeszkolić, a niedoświadczony żołnierz walczy dziesięć razy gorzej, za to je dwa razy więcej i ucieka dwa razy szybciej. Z kolei baronowie... - zawiesiłem głos - wolę mieć jedynie pięć tysięcy wiernych żołnierzy niż kilka tysięcy niepewnych sojuszników za ich plecami.

-Słuszna uwaga, lordzie. - Kaldaran pokiwał głową, a ja się ucieszyłem, że zapamiętałem myśl Bonapartego.

- To cztery do jednego. - Arrah spojrział na mnie badawczo. - Cztery do jednego, Lanne - powtórzył dobitnie.

Żaden wódz nie uważa za komfortową sytuacji, kiedy wróg przerasta go liczebnie. Ale z historii mojego świata znałem nie jedną i nie dziesięć opowieści o tym, jak małe, zdyscyplinowane armie wygrywały z wielokroć przeważającym wrogiem. Tak było pod Platejami, pod Salaminą, pod Kircholmem, tak było w czasie kampanii Cezara i Napoleona, czy podczas brytyjsko - włoskiej wojny w Afryce Północnej. Wielu

dowódców przekonywało się na własnej skórze, że jedyne, co daje przewaga liczebna, to przymus grzebania większej liczby trupów własnych żołnierzy. Oczywiście o ile samemu przeżyło się podobną bitwę. Liczyło się zdecydowanie, dobry plan taktyczny i rygorystyczne przestrzeganie tegoż planu. Liczyły się również wojenne fortele oraz zmotywowanie żołnierzy. Cezar i Napoleon wiedzieli, jak ze swych armii uczynić niemal niezwyciężone narzędzia. Na pytanie, czy ja to potrafię, miałem uzyskać odpowiedź bardzo szybko.



**M**inęliśmy włości baronów i stanęliśmy nad brzegiem rzeki odgraniczającej je od państwa Suzerena.  
- Tylko na brodzie, Lanne - rzekł Arrah - tylko tam możemy stawić mu czoło.

Myśl z pozoru była słuszna. Ale jedynie z pozoru.

- Suzeren nie zaatakuje nas przez rzekę - odparłem. - Zaczeka, aż ściagną wojska z głębi kraju. A wtedy równie dobrze będziemy mogli sami sobie poderżnąć gardła. Będzie ich nie dwadzieścia pięć tysięcy, ale pięćdziesiąt.

Generał Kaldaran pokiwał głową.

- Święta racja, lordzie - przyznał grobowym tonem.

- Posłuchajcie mnie, panowie - powiedziałem - mamy jedną, jedyną szansę. A tą szansą jest wciągnięcie wroga w pułapkę. Musimy spowodować, by przekroczył rzekę, i spotkać się z nim na otwartym polu. Ba - uniosłem dłoń, powstrzymując protest Arraha – musimy zrobić więcej. Pokazać mu, że nie wierzymy w zwycięstwo. Pokazać, że jesteśmy skłóceni oraz przestraszeni. Niech nie waha się zaatakować, zanim zbierze jeszcze większe siły.

Byłem człowiekiem z XXI wieku. Znałem kampanie Spartan i Rzymian, czytałem o przebiegu bitew prowadzonych przez Napoleona. Studiowałem Juliusza Cezara. Grałem w komputerowe i planszowe gry strategiczne oraz taktyczne. Nad ludźmi z tego świata miałem przewagę wieluset lat doświadczeń moich przodków. I zamierzałem to bezwzględnie wykorzystać. Świetnie pamiętałem, jak postąpił Napoleon pod Austerlitz. Omamił rosyjskiego posła, gdyż przyjął go brudny, zmęczony i, wydawałoby się,

zrezygowany. Na oczach Rosjanina francuskie wojska zbierały się do odwrotu, bardziej przypominając przerażony motłoch niż armię. A Napoleon prosił o rozejm. Car Aleksander przeraził się, że ta wataha obszarpańców umknie mu z pola, i zdecydował się natychmiast atakować, nie czekając na zbliżające się posiłki. Skończyło się to olśniewającym zwycięstwem francuskiego wodza i całkowitym pogromem Rosjan. Postanowiłem twórczo wykorzystać manewr cesarza. W końcu ktoś, jak nie on, wiedział najlepiej, że manipulowanie ludźmi jest na wojnie równie przydatne, jak manipulowanie wojskowymi formacjami? Zresztą nie była to jedyna niespodzianka, o której myślałem.

- Brzmi rozsądnie - przyznał Arrah. - Rzucą się na nas, jak wrony na ścierwo.

- Musimy jednak wybrać miejsce bitwy. Generale - spojrzałem na Kaldarana - niech zwiadowcy rozejrzą się po okolicy w poszukiwaniu miejsca, gdzie armia Suzerena nie będzie mogła wykorzystać przewagi liczebnej. Bagna, jezioro, las, w którym będziemy mogli ukryć część oddziałów...

Pokiwał głową.

- Zaraz po naradzie wydám rozkazy - rzekł - ale nie liczyłbym na zbyt wiele. Wasza dostojność słusznie uważa Suzerena za idiotę, ale, niestety, nie jest on kompletnym idiotą. Nie zwabimy go do wąwozu ani nie wciągniemy na grzędzawiska...

- Wiem, życie byłoby zbyt piękne. Niemniej zechciej przygotować kilka planów i wspólnie wybierzemy ten najwłaściwszy.



**P**oseł Suzerena przybył na czele świty, której szaty kapały od złota. Zadbałem, by mijał tereny, na których moi żołnierze, brudni, obdarci i ponurzy, prześcigali się w klątwach oraz szybkości pakowania manatków. Na początku zamierzałem powitać go, siedząc na starym siodle, lecz potem uznałem, że zbyt ostentacyjna może tylko nam zaszkodzić. W związku z tym kazałem dostarczyć zdobne krzesło z jednego z zamków. Musiałem przyznać, że na tle zbierającej się do odwrotu armii ta manifestacja dostojności wyglądała tym żałośniej. Poseł Suzerena nie

raczył nawet zsiąść z konia. Już to było śmiertelną obelgą, więc jak widać mój plan rodził dojrzałe owoce.

-Przybywam z poselstwem od mego pana! - zawołał. - Czy ty jesteś Lanne Lloch l'Annah, wódz tej hałustry?

Chciałem wstać, lecz nogi ugięły się pode mną i opadłem z powrotem na krzesło.

-W-w-wina - zażądałem, a usłużny Arrah podał mi dzbanek.

Piłem, dopóki czerwona struga nie spłynęła aż na kaftan. Spod przymrużonych powiek obserwowałem, z jaką pogardą patrzy na mnie poseł Suzerena. Parsknąłem i rozkaszałem się. Nawiasem mówiąc, całkiem wiarygodnie, gdyż potężny łyk soku malinowego trafił mi do tchawicy. O mało nie zwymiotowałem, co na pewno byłoby niezwykle efektowne, lecz jednocześnie bardziej upokarzające, niż sobie tego życzyłem.

-Tak się właśnie nazywam - stęknąłem, pochylając głowę.

-Mój pan, w swej łasce i miłosierdziu, postanowił darować wam winy. Ludzie, którzy poszli za tobą, mogą odejść wolno. Ty i twoi generałowie - kiedy wymawiał ostatnie słowo, niemal czułem obrzydzenie w jego głosie - macie ukorzyć się przed Suzerenem. Błagać na kolanach o wybaczenie. W zamian za to zyskacie jego łaskę. Suzeren swoim słowem i przysięgą gwarantuje wam życie!

Jasssne... Już to widziałem. Suzerena w roli dobrotliwego władcy. Aha! A Księżyc ulepiono ze szwajcarskiego sera.... A Ziemia wędruje przez kosmiczne pustki niesiona na grzbiecie wielkiego żółwia... Strasznie mnie kusiło, by powtórzyć scenę spod bram Mordoru. Tę, kiedy przed wrota wyjechał butny wysłannik Saurona, a Aragorn ściął mu głowę jednym cięciem. „No i skończyły się negocjacje” - westchnął wtedy Gimli. To scena, której nie było w wersji kinowej, lecz jedynie w specjalnej, rozszerzonej wersji DVD. O, Boziu, jak kusiło! Wiedziałem jednak, że mam grać wyznaczoną rolę, choćby krew w żyłach zamieniała się we wrzątek.

-Nie poddamy się - zabełkotałem, udając pijanego - znudzi wam się oblegać zamki, w których się zamkniemy!

Tego właśnie bał się Suzeren. Długiej i nudnej kampanii na wyczerpanie. Jemu był potrzebny szybki, błyskotliwy triumf.

-Nie bądź głupi, człowieku - warknął poseł.

Przyglądałem się mu spod przymrużonych powiek.

Och, podejść i zwalić go z konia jednym ciosem!

-Nie myślcie, że uciekamy! - zawołałem. - Powiedz temu kurwisynowi, że Lanne Lloch l'Annah nigdy nie ucieka!

Oczywiście, wszystko, co widział wcześniej, przeczyło tym słowom.

- Jaką odpowiedź mam zanieść mojemu panu? - Wyprostował się w siodle.

- Powiedz mu, że jest mieszańcem świni i padalca - rzekłem, śmiejąc się niczym idiota - i że go zmiażdżę... O tak! - pstryknąłem palcami.

Patrzył na mnie z pogardą. Nie ze strachem i nie z nienawiścią. Wyłącznie z pogardą, z jaką inteligentna istota może obserwować rzucającego odchodami pawiana. I o to właśnie chodziło. Co prawda nie podobała mi się rola pawiana, ale pal licha osobiste ambicje!

- Wybrałeś swój los, człowieku - oznajmił poseł uroczyście. - Mój pan ogłasza cię wrogiem kraju. Ciebie i każdego, kto się ośmiela ci pomagać.

Nigdy nie sądziłem, że można się majestatycznie odwrócić, siedząc na grzbiecie konia, ale jemu udało się ta niezwykła sztuka. Kiedy już oddalił się na wystarczającą odległość, Arrah przechylił się w moją stronę.

- Ruszą - powiedział z głęboką wiarą w głosie.

- Oj tak - odparłem - i to bardzo szybko, gdyż boją się, że uciekniemy im za daleko.



**S**iedzieliśmy we trzech w wielkim namiocie. Tak wielkim, że mieścił się w nim nie tylko stół i kilka krzeseł, ale również łożo z baldachimem.

- Jeden z was mnie zdradzi - powiedziałem.

Arrah natychmiast zrozumiał, co miałem na myśli.

- Czy to będę ja, Lanne?

- Tak, przyjacielu. Powiadomisz Suzerena o naszych planach. Kłóć się o cenę, sprawiaj wrażenie cwane kupca...

- Och, to naprawdę umiem! - Wydawał się szczerze rozbawiony.

- Powiedz mu, że na naszym prawym skrzydle stanie jedynie chłopska piechota.

Niech wyśle tam Tancerzy...

- A my?

- A my ustawimy w lesie obok ciężką jazdę. Przejadą po nich, jak po młodym zbożu.

- Które więc skrzydło osłabimy?

- Lewe. Zrób wszystko, by nie zaatakowali nas właśnie z tamtej strony. Zajmij się tym od zaraz, przyjacielu.

Uśmiechnął się szeroko i wstał.

- Ułożymy pieśń o tej bitwie - rzekł - my razem...

- Oczywiście - odpowiedziałem.

Kiedy Arrah zniknął, odwróciłem się do generała Kaldarana.

- Zbierz kilkuset ochotników. Wśród mieszczan i chłopów. Niech pomalują ich ciała czarną farbą, a jedynie okolice oczu niech pociągną krwistą czerwienią. Każ im dać sierpy jako broń. Również całe w czerwieni.

- Ha - odparł tylko.

- Niech twoi ludzie rozniosą wieści o tym, że lord Lanne obłaskawił piekielne demony, które będą teraz walczyć u jego boku.

- Wszyscy wiedzą, że miałeś smoka, lordzie. Śmiem twierdzić, że uwierzą również w demony.

- Demony, które zarówno pożerają ciała swych wrogów, jak i czerpią siłę z porwania ich dusz. Jest jednak jeden sposób, żeby uratować się przed tymi potworami...

- Czy dobrze odgadnę, mówiąc, że należy porzucić broń i paść twarzą na ziemię, by ocaleć?

- Jak widzę, świetnie zna pan zwyczaje demonów, generale.

- To może się udać, mój panie. - Pokręcił głową. - To naprawdę może się udać.

- Nikt nie może wiedzieć o tym podstępnie, generale. Nikt.

- Dziękuję za zaufanie, lordzie - odparł po chwili milczenia.

- Ktoś kto walczył ramię w ramię z Varradem, nie splami honoru służbą dla Suzerena. Czyż nie tak?

- Szkoda, że nie ma go z nami - stwierdził, nie odpowiadając.

- Szkoda... Byliśmy przyjaciółmi. On zabił mnie, ja zabiłem jego... Dałbym sobie odciąć rękę, by stał dzisiaj u mego boku.

- Baaa - westchnął - wydaje mi się, że on tego rzeczywiście pragnął, lordzie. Być twoim sojusznikiem.

Zastanawiałem się, ile w tych słowach jest prawdy, a ile szczerego, naiwnego życzenia. Tak czy inaczej, Kaldaran miał rację. I przyznałem mu ją.



-Zapewne, generale. I ośmielam się przypuszczać, że kazałby mnie zabić po tej wygranej bitwie. Wie pan co? Nawet nie potrafię go potępić. Tak się ułożyło nasze życie. I tyle. I aż tyle.

Westchnąłem. Szczerze i ze smutkiem.

-Szkoda. Szkoda, że... - Nie wiedziałem, jakich słów szukać, więc tylko wzruszyłem ramionami.

Kaldaran się nie odezwał, a i ja pogрузyłem się w smętnym zamyśleniu.

-Jeszcze jedno, generale. W czasie bitwy ustawisz naszą konnicę na lewym skrzydle. Przesuniesz ją tam w ostatniej chwili.

-Ależ... - chciał zaprotestować, a potem długo, długo milczał.

-Więc to tak - rzekł. - Arrah powiadomi Suzerena, że chcemy, by myślał, iż nasza prawa flanką jest bezbronna. W związku z tym Suzeren uderzy na lewym skrzydle. Tam na niego będziemy czekać.

-Właśnie!

-Skąd wiesz, że Arrah nas zdradził? Że wyznaczyłeś mu rolę zdrajcy, a on zdradził naprawdę?

-Znam go.

-A jeśli się mylisz?

-Nie myślę się - powiedziałem stanowczym tonem.

-A jeżeli się myślę, to niech Bóg się nad nami zlituje. Nad nami wszystkimi.

-Przecież mógł donieść, że tylko udawałeś słabość przed posłem Suzerena.

-Mógł - przyznałem - i doniósł. A raczej doniósłby, gdybym nie przechwycił po drodze szpiegów z jego listami.

-Kazałeś go śledzić. Przecież...

-Przecież by się wydało - dokończyłem za niego.

- Nie, to nie tak. Generał Isdibin wyświadczył mi tę przysługę.

- Ach tak - skwitował moje słowa. Potem odwrócił się od drzwi.

-Mogłeś nas zabić, lordzie - rzekł - tam, w Kowadłach. Ale walczyłeś uczciwie. Dlatego nie zdradzę cię.

-A ja nie każę cię zabić po bitwie, nawet jeśli staniesz się bohaterem - obiecałem pół żartem, pół serio - i będę zaszczycony, jeśli zechcesz przyjąć wszystkie ziemie, dawniej należące do Varrada, w dziedziczne władanie.

Wiedział, że nie próbuję go kupić, więc tylko się skłonił.

-Wygramy tę bitwę, lordzie - przyrzekł.

- Wygramy - potwierdziłem - i będziemy mogli sobie pogratulować pośród trupów ludzi, którzy zginą za naszą sprawę lub przeciw niej - dodałem tonem, w którym ironia mieszała się z najprawdziwszym smutkiem.

- Czasami ten, kto próbuje uratować stu ludzi, skazuje na śmierć tysiące... A ten, kto posyła na śmierć stu, ratuje tysiącom życie.

- Wiem, generale. Ale ta wiedza wcale nie uwalnia od wyrzutów sumienia. Może po prostu powinienem przebić się mieczem? A może wy, moi oficerowie, powinniście zanieść głowę Lanne Lloch l'Annah do rąk Suzerena?

- Wystawiasz mnie na próbę, czy naprawdę o tym myślałeś, lordzie?

- Myślałem i myślę. Ale myślę również o biedakach gnębionych podatkami nad miarę, myślę o więźniach umierających w lochach za to, że powiedzieli słowo przeciw Suzerenowi, myślę o gwałconych kobietach, a także mężczyznach zabijanych za to, że stanęli w ich obronie. Myślę o kalekim starcu, którego zamordowano na moich oczach, by pokazać, że nie mogę go uratować. Myślę o nadziei, którą zobaczyłem w oczach pewnej dziewczynki. I nie zapomnę o łzach płynących po jej policzkach, kiedy widziała, jak poddają się żołnierzom Suzerena. A kiedy o tym wszystkim myślę, to sądzę, że może warto zapłacić krwią, by świat się zmienił. Dla niej. Dla tej piegowatej dziewczynki. Żeby nie musiała więcej płakać...

- Jestem tylko żołnierzem - powiedział po chwili.

- Kiedy wygramy, nie będziesz już tylko żołnierzem. - Uśmiechnąłem się. - Daj Boże, będziemy żyć w świecie, w którym nie trzeba wybierać między śmiercią wielu a nieszczęściem wszystkich.

- Niech tak się stanie - odparł poważnym tonem. - Choć wielki jest ciężar, który pragniesz dźwignąć, lordzie.



**S** poglądaliśmy na równinę, nad którą ścielił się siwy dywan mgły. Nie widzieliśmy jeszcze oddziałów Suzerena, lecz zdawaliśmy sobie sprawę, że już niedługo z porannej szarówki wynurzą się równo maszerujące zastępy. I

zapewne obaj mieliśmy nadzieję, że ten widok nie przerazi ani naszych żołnierzy, ani nas samych. Horgar położył dłoń na moim ramieniu.

- Dzisiaj pięknie umrzemy, prawda?

Obróciłem głowę i spojrzałem mu prosto w oczy.

-Idioto - odparłem spokojnie - nie jesteśmy tu, by pięknie umierać. Jesteśmy tu, by zabić tych, którzy nie pozwalają nam pięknie żyć!

Umilkłem na moment, chciałem bowiem, by zrozumiał, jak ważne są słowa, które właśnie wypowiedziałem.

-Dzisiaj, przyjacielu, upijemy się po zwycięstwie. Ale gdyby... - zawiesiłem głos - gdybyśmy naprawdę umarli, to niech nasza śmierć stanie się tematem pieśni.

-To niezły pomysł! - Klasnął w dłonie. - A za to, że nazwałeś mnie idiotą, porachuję ci kości, kiedy będzie już po wszystkim.

-Miejmy nadzieję, że jeszcze wtedy zostanie coś do rachowania. - Roześmiałem się.

Wskoczyłem na grzbiet wierzchowca. Tak lekko i zręcznie, jakbym czynił to od dzieciństwa.

-Czas przemówić do żołnierzy! - zawołałem.

Pocwałowałem w stronę szeregu zbrojnych, widząc, że z niepokojem, może nawet obawą, spoglądają w siwą mgłę.

-Żołnierze! - krzyknąłem pełnym głosem. - Dzisiaj stoicie przed potężnym wrogiem. Ale czy macie się lękać, skoro jest ich tylko pięć razy więcej? Po prostu każdy z was będzie musiał bardziej namachać się mieczem!

Ktoś się roześmiał, ktoś inny podchwycił ten śmiech. Nie patrzyli już w stronę linii wroga, lecz w moim kierunku. I o to właśnie chodziło!

-Słyszałem, że niektórzy mówią wam: „Dzisiaj umrzecie!”. Jeśli to nawet prawda, pomyślcie, czy chcecie pójść ku śmierci dumnym krokiem, czy wolicie raczej poczołgać się do niej na kolanach?!

Słuchali mnie. I sądziłem, że chociaż część rozumiała, co mówię.

-Wielu z was boi się śmierci. I słusznie! Ja też się jej boję! Gdyż boję się, że dzisiaj będę musiał zabić zbyt wielu ludzi.

Jechałem wzdłuż szeregów i widziałem, że żołnierze obserwują każdy mój krok i gest.

-Czeka nas straszne zadanie. Będziemy musieli zabijać. Dzisiaj o zmroku każdy z was zada sobie pytanie: czy jestem dobrym człowiekiem? Dzisiaj każdy z was będzie miał ręce unurzane we krwi. I nadal będziecie doooobrymi luuuudźmi!

Mówiłem to, by myśleli o tym, że będą mordować, a nie o tym, że będą mordowani.

-Wasi dziadowie i pradziadowie spoglądają na was z niebios. Sprawcie się tak, żeby nie musieli się wstydzić!

Teraz odpowiedział mi krzyk i dźwięk oręża uderzającego w tarcze.

-Kiedyś powiecie wnukom: „Walczyłem z Suzerenem”. A kiedy wnukowie spytają, jak skończyła się ta bitwa, wtedy odpowiecie: Zwyyyyyyyyyyyyccięzyyyyyyliśmyyyyyy!”.

-Zwycięzimy! - rozległo się wokół.

-A kiedy spytają: „Czy byłeś bohaterem, dziadku?”, odpowiecie: „Ja nie, ale wygrałem dlatego, że obok mnie stało pięć tysięcy bohateeeeeeeeerów!”.

Dalej nie mógłbym już mówić, gdyż wrzask i łoskot broni zagłuszyłyby każde słowo.

Pięć tysięcy. Było nas właśnie pięć tysięcy. Stojących naprzeciwko dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy Suzerena. Czy miałem prawo zwątpić w zwycięstwo? Nie! Nie miałem bowiem prawa zawieść ludzi, którzy postawili swoje życie na szali. Postawili je może dla mnie, może dla Kordelii, może dla samej idei wolności. Nieważne... Ważne było jedno: nie mogłem ich zawieść. Wiedziałem, że albo obejrzę pole bitwy jako zwycięzca, albo nie obejrzę już nigdy i niczego. To była ostatnia bitwa. Decydująca. To był sztorm, po którym nastąpi czas spokojnej wody i przejrzyste niebieskie nieba.

Hałas nieco ucichł, a wówczas ponownie nabrałem tchu.

-Kiedy spytają was: „Co robił lord Lanne?”, powiecie, że poszedł na rzeź jako pierwszy. Na rzeź, którą sprawiliśmy naszym wroooooooooooooooooom!

-Lanne! Lanne! Lanne!

-A jeżeli któryś z was nagle zobaczy, że spaceruje po zielonej łące, to niech wie, że właśnie umarł i trafił do raju! Bo łąki przed nami nie będą zielone! Będą czerwone od krwi wrogów!

-Lanne! Lanne! Lanne!

Zeskoczyłem z siodła i wyszarpnąłem z pochwy miecz. Wystąpiłem kilka kroków przed szereg wojska.

-Demony, za mną! - zawołałem.

Rozsądny wódz obserwowałby bitwę ze wzgórza, tak jak wielu przed nim. Ja jednak nie byłem rozsądnym wodzem. Wiedziałem, że mój udział w walce zmotywuje żołnierzy, ale wiedziałem też, że wystarczy, iż upadnę, by wśród armii poniosła się wieść o mej śmierci. Więc upaść nie mogłem...

Mógłbym opowiedzieć o tej bitwie. Z punktu widzenia prostego żołnierza, lub lorda posyłającego oddziały na pole walki, albo mógłbym zabawić się we wszechwiedzącego narratora. Nie chcę o tym pisać. Nie chcę tym myśleć. O krwi, o trupach, o jękach agonii i krzykach zarzynanych. O furii i o strachu. Chciało mi się płakać na myśl, że to właśnie ja posłałem ludzi na rzeź.

I sam byłem rzeźnikiem. Nigdy w życiu nie widziałem tylu trupów. Nie tylko w rzeczywistym świecie. Ja nigdy nie widziałem tylu trupów na żadnym filmie! Zresztą nie trupy były najgorsze. Najgorsze było to, że widziałem ludzi zgarniających do brzucha własne flaki, najgorsze było to, że słyszałem ludzi krzyczących z bólu, najgorsze było to, że widziałem twarze tak rozharatane i rozbite, że pod krwią i strzępami mięsa nie dostrzegałem już ludzkich rysów. Wiedziałem, że pamięć nie pozwoli mi zapomnieć żadnych szczegółów.

- Już wstaję, lordzie - obiecał młody żołnierz, patrząc mi ufnie w oczy.

Nie mógł jednak wstać, gdyż nie miał nóg! A ja tylko uśmiechnąłem się do niego. Co więcej mogłem uczynić?

Czy zabijałem? Oczywiście, że tak. Może nawet nie ja, lecz mój miecz, ale daleki byłem, by uciekać od odpowiedzialności. Przecież ja wyprowadzałem cięcia oraz sztychy. Przecież to moją twarz obryzgiwała krew wrogów. Ilu ich zamordowałem? Nie wiem i nie sędzę, bym kiedykolwiek chciał to wiedzieć. Nie widziałem, jak kawaleria stratowała Tancerzy Mieczy, nie widziałem, jak Horgar zatknął na pikę głowę Suzerena, nie widziałem, jak wieluset wrogów uciekło na sam widok czarnych wojowników, których oczy pały czerwienią, a ostrza w ich dłoniach były zbryzgane krwią. Nie widziałem, jak bez litości sieczono, zarzynano i tratowano oszalałych z przerażenia ludzi.

Wszystko układało się niczym w grze z gatunku hack&slash, dopóki żołnierz Suzerena nie trafił mnie sztychem miecza i nie rozpruł mi brzucha. To było głupie, gdyż bitwa została już wygrana. Tak naprawdę ten żołnierz powinien się poddać. Ulęknąć i cisnąć oręż na ziemię. Zamiast tego przekłuł mnie ostrzem. Patrzyłem, jak wyciąga z moich trzewi czerwoną klingę, i pamiętam, że chciałem go tylko spytać: „Po co?”. A potem już ból wtargnął do mojego ciała niczym korweta o rozpostartych purpurowych żaglach.

- Boże! - zawołałem, a w tym krzyku było zarówno cierpienie, jak i świadomość nieuchronnej śmierci.

Głowa wroga stoczyła się z karku, a mnie zalała fontanna, bijąca z jego rozszarpanych tętnic. Dopóki nie wziąłem udziału w tej bitwie, nie wiedziałem, że w ciele człowieka jest tak dużo krwi...

Nie widziałem, jak potoczyły się dalej losy bitwy. Zresztą, jakżeż one mogły się potoczyć? To już nie była bitwa, to była po prostu rzeź. Nawet gdybym chciał ją powstrzymać, nie mogłem. Leżałem otoczony aureolą bólu i jedyne, o czym myślałem, to że chciałbym – na Boga, tak bardzo bym chciał! - by moje flaki z powrotem trafiły do brzucha. Ale zwyciężyliśmy. Zwyciężyliśmy dzięki podstępowi, propagandzie i dzięki temu, że wróg uważał, że jest sprytniejszy od nas, kiedy skorzystał z informacji jednego z moich dowódców. Zwyciężyliśmy też dzięki bezprzykładnej odwadze. Dzięki wierze. Dzięki bohaterstwu. Dzięki poświęceniu zwyczajnych, spokojnych ludzi, którzy bynajmniej nie pragnęli ginąć na polu bitwy, ale jednak na nim ginęli. Czy umierali dla mnie? Nigdy nie ośmieliłbym się tak sądzić. Umierali za to, by ich sąsiedzi, dzieci i wnukowie mogli żyć godnie. W mojej armii służyli tylko ochotnicy, armia Suzerena była pełna ludzi, których do służby zmuszono. Moi żołnierze walczyli dlatego, że wierzyli, iż wojują o słuszną sprawę. Żołnierze Suzerena walczyli, gdyż siłą wygnano ich z domów i chałup.

- Medyka! - krzyknęła Kordelia rozpaczliwie. - Dlaczego tu nie ma medyka?

Leżałem, czując pod głową błotnistą maź, i zadawałem sobie pytanie, skąd się tu wzięła moja ukochana. Potem roześmiałem się do własnych myśli. Przecież musiała się tu znaleźć. Tu i teraz. Jakiż dramat mógłby się obyć bez pierwszoplanowej bohaterki? W jakiej antycznej tragedii zrozpaczona kobieta mogłaby nie opłakiwać śmierci bohatera?

- Daj spokój - wychrypiałem - medyk nic nie pomoże. To już koniec, Kordelio.

Podeszła do mnie i uklękła w kałuży. Miała wiele twarzy i wiele oczu. Nieważne...

- To koniec pieśni o mnie. Teraz napisz własną i niech będzie piękna...

Kiedy wypowiedziałem te słowa, zacisnąłem powieki. Cierpiałem straszliwie, nigdy nie wyobrażałem sobie, że można tak cierpieć.

- Proszę - wyszeptałem, choć pewnie nikt poza mną nie słyszał tego szeptu. - Tak bardzo chciałbym umrzeć...

Kordelia poderwała się i odbiegła, wściekłym głosem przywołując medyka. A wtedy ja zobaczyłem moją Panią, jak idzie ku mnie poprzez pobojuwisko. Jej stopy jakby się unosiły nad ziemią, a twarz jaśniała niebem. Wyglądała jeszcze piękniej niż na karcie i jeszcze piękniej, niż kiedy widziałem ją po raz ostatni. Zbliżyła się.

-Najdroższy - dostrzegłem, że w jej oczach lśnią łzy. Pochyliła się, dotykając palcami mojego czoła. Ból natychmiast ustąpił.

-Już czas, żebym zabrała cię na zielone wyspy - powiedziała. - Tam wyzdrowiejesz i tam będziesz żył wiecznie...

-Dziękuję - zatkałem.

-To jednak nie jest takie proste, mój kochany Lanne. - W jej głosie słyszałem smutek, a w oczach widziałem jeszcze większy.

-Zatem?

-Tylko ktoś, kto cię nienawidzi z całego serca, może pozwolić, byś odszedł wraz ze mną. Tylko twój śmiertelny wróg może ofiarować ci łaskę zbawienia...

-Zabiliśmy Suzerena - westchnąłem po chwili. - Horgar go zabił...

Nie bolało mnie już nic, niemniej nie podnosił mnie na duchu widok własnych wyprutych jelit i kałuży krwi, w której leżałem.

-On nie żyje - dodałem i przypomniałem sobie, jak moi żołnierze obnosili na pice głowę wroga.

-Kochany, poczciwy, dobroduszny Lanne. - Uśmiechnęła się. - Nie o Suzerena mówię... - Spojrzała na Kordelię.

Wtedy i ja na nią spojrzałem. Twarz Kordelii przypominała maskę wykutą z alabastru. Stalowe źrenice spozierały gdzieś w przestrzeń.

-Mój Boże - westchnąłem. Było mi smutno i głupio. Przez chwilę tylko leżałem, patrząc w pasmo purpurowych chmur.

-Kordelio, podejdź do mnie, proszę.

Podeszła. Jej but mlasnęła w brei składającej się z błota i mojej krwi. Przyglądałem się jej i zazdrościłem, tak jak każdy umierający zazdrości komuś, kto żyje i będzie żył. Uklękła tuż przy mojej głowie. Jej oczy były tak samo puste jak oczy ogłuszonego ptaka.

-Kordelio - szepnąłem - dokonaj wyboru. Dokonaj takiego wyboru, byś po wielu latach mogła powiedzieć: „Tak, jestem dumna z tego, co uczyniłam”. Nie o to chodzi, byś ocaliła mnie i żałowała decyzji przez resztę życia.

-O nic nie prosisz? Poproś mnie, Lanne, a oddam cię tej kobiecie, kimkolwiek ona jest...

Opuściłem powieki.

-Tylko o tym myślisz? O zwycięstwie w rywalizacji? Odejdź - rozkazałem - nic nie rozumiesz...

Usłyszałem mlaśnięcie błočka, najwyraźniej Kordelia wstała.

-Słyszałam o pewnej legendzie - obwieściła zimnym tonem - o legendzie mówiącej, że kiedy Śmierć przychodzi po wielkiego bohatera, bohater ma prawo, by w jego imieniu wystąpił orędownik. I jeżeli ten zwycięży, Śmierć musi ustąpić...

-To prawda - moja Pani była rozbawiona - tyle że orędownikiem może być jedynie ten, czyje serce należy do umierającego. Tak więc nie zwracajmy sobie głowy głupimi...

-To ja - oznajmiła Kordelia głosem, który mógłby kruszyć skały - to moje serce należy do niego.

-To... - moja Pani spojrzała na Kordelię, a potem uśmiech zgasł na jej twarzy - to naprawdę ty - dodała, jakby nie wierząc słowom, które wypowiada. - Jak to możliwe, skoro nienawidzisz go aż tak bardzo?

-Mogłaś zwieść wszystkich, królowo trupów, ale mnie nie zwiedzisz. - Głos Kordelii brzmiał niczym katowski miecz mknący ku szyi skazańca.

Wiem, wiem, jak patetycznie brzmią teraz te słowa, lecz wierzcie mi, że kiedy je słyszałem, to czułem i widziałem ostrze.

-Byłaś tak długo martwa, że nic już nie pamiętasz, prawda? Że płomień w ludzkiej duszy może palić, ale może również ogrzewać... - Wyszarpnęła krótki miecz z pochwy. - On jest mój, suko! Tylko mój i wara ci od niego! Kiedy będę chciała jego śmierci, sama go sobie zabiję!

-Ha, jakaż jesteś rezolutna, siostrzyczko. - Śmierć roześmiała się perlistym, radosnym śmiechem. - Zatem chcesz walki?

-Nie! - zaprotestowałem gwałtownie.

Obie na mnie popatrzyły. Musiałem wykrzesać z siebie resztkę sił. Pomimo dojmującego bólu umierania, pomimo rozpacz, która nakazywałaby myśleć „a po mnie choćby i potop”.

-Dzisiaj na tym polu straciło życie dwadzieścia tysięcy ludzi. Wszyscy zginęli z mojego powodu. Nikt więcej już przeze mnie nie umrze!

-Przecież to nie twoja wi...! - krzyknęły obie jednym głosem, zatrzymując się w pół słowa.

-Jeżeli ją zabijesz, znienawidzę cię. - Spojrzałem w oczy Śmierci. - Jeśli ona zabije ciebie, znienawidzę ją...

-Cóż więc... - znowu odezwały się chórem i znowu urwały, zdumione i wściekłe.

-Dajcie mi umrzeć - poprosiłem - odejść w pustkę. Nie chcę towarzyszyć żadnej z was, jeśli miałyby to krzywdzić drugą. Spełniłem swoje zadanie. Po prostu dajcie mi umrzeć...



Stały nade mną. Dwie harde, nieugięte kobiety. Obie piękne i obie złe. Obie emanujące ciepłem. Wreszcie Kordelia pochyliła się do ucha Śmierci i coś w nie zaszeptała. Śmierć wysłuchała tych słów, po czym cofnęła się o krok i wyciągnęła dłoń. To nie był znak przyjaźni. Dłoń była pochylona w zupełnie jednoznacznym geście. Kordelia uklękła i przyłożyła usta do palców swej rywalki.

-Niżej - rozkazała Śmierć.

Kordelia pochyliła się najpierw do jej kolan, potem do stóp. Stalowe włosy zanurzyły się w błotnistej kałuży. Moja Pani jaśniała niczym gwiazda, kiedy kładła stopę na karku Kordelii.

-Proszę, nie... - powiedziałem.

-To nie jest twoja sprawa, Lanne - odparła. Oparła się na szyi Kordelii całym ciężarem, tak że twarz mojej kochanki zniknęła w błotnistej mazi.

-I cóż nam zostało z hardej księżniczki? - zapytała szyderczym tonem.

Uniosła nogę.

-Teraz możesz ucałować moje stopy - rzekła.

Chciałem krzyknąć, lecz kiedy machnęła ręką, poczułem, że moje ciało objął paraliż.

Mogłem tylko patrzeć, jak Kordelia całuje stopy Śmierci.

-Cóóóó, błagasz całkiem ładnie - Śmierć roześmiała się radośnie - ale to był dopiero wstęp. Jeśli chcesz, by żył, oddaj za niego swoje życie.

-Jak? - Kordelia uniosła głowę. Miała całą twarz oblepioną błotem i w innych okolicznościach nie rozpoznałbym jej.

-Co jak? - nie zrozumiała Śmierć.

-Jak mam to zrobić? Nóż, lina, trucizna?

Moja Pani najpierw długo milczała, potem spojrzała na mnie.

-Ona by to zrobiła - przyznała w końcu, a w jej głosie usłyszałem niechętny podziw. - Czuję to w jej sercu, mózgu i żyłach. Oddałaby życie za ciebie, mój kochany Lanne.

Wyciągnęła rękę i chwyciła Kordelię za ramię. Poderwała ją.

-Zwyciężyłaś, orędowniczko - ogłosiła ze smutnym uśmiechem. - Bardzo łatwo jest mówić o miłości, dużo trudniej znieść upokorzenie na oczach ukochanej osoby. Łatwo zapewniać: „jesteś moim życiem”, lecz trudniej oddać życie za drugiego człowieka. Może uda wam się znaleźć iskrę szczęścia...

-On umiera! - wrzasnęła Kordelia. - O jakim szczęściu mówisz, podła suko?!

-Lanne, kochany Lanne, jaką byłabym przyjaciółką, gdybym nie chciała ci pomóc?

Podeszła i błyskawicznym ruchem przejechała dłońmi od moich stóp aż po czoło. Rany zablizniły się w jednym momencie. Nawet ta koszmarna wyrwa w brzuchu, przez którą przelewały się jelita.

-Kiedyś i tak będziesz ze mną - obiecała, a jej oczy były zieleńsze niż rajskie łąki.  
- Jakie znaczenie może mieć kilkanaście czy kilkadziesiąt lat dla mnie, która mierzy czas eonami? Powiedziałam, że musisz ze szczerym sercem zakończyć swą drogę. Niczego nie żałować. Teraz, jak widać, jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas.

Ująłem jej dłoń i przycisnąłem do ust.

-Nie wiedziałem dotąd, czemu cię kochałem, gdyż niewiele pamiętam ze swego życia. Ale już wiem...

Nie mam pojęcia, co zniknęło pierwsze. Jej dłoń czy jej uśmiech. Srebrny wąż na moim nadgarstku uniósł się zaniepokojony i wydawało mi się, że spogląda w niebo. Potem jednak spokojnie ułożył się w tym samym miejscu co poprzednio.

Bardzo ostrożnie wstawałem z ziemi. W każdej chwili spodziewałem się ataku bólu, ale najwyraźniej zostałem całkowicie uleczony.

-Jesteś mi potrzebny - rzekła Kordelia, ocierając twarz z błota. - Mam nadzieję, że wiesz, że jedynie o to chodziło.

-Oczywiście. Pięknie odegrałaś swoją rolę - przyznałem.

Popatrzyłem w sine niebo i zaczerpnąłem głęboko tchu.

-Już czas spotkać się z następnym aktorem... - powiedziałem.



**W**iedziałeś - wycedził przez zęby - oszukałeś mnie.  
Był naprawdę wściekły, ale już zaledwie to mu zostało: wściekłość i bezsilność.

-Zarzut oszustwa brzmi co najmniej zabawnie w twoich ustach - odparłem pogodnym tonem.

- Jasna cholera! - warknął. - Zrobiłeś ze mnie idiotę!

- Jedynie to cię martwi? Nie to, że chciałeś wydać na śmierć przyjaciół?

Opuścił głowę. Milczał przez dłuższy czas.

- Jesteś bohaterem, Lanne - rzekł w końcu - a ludzie, którzy stoją ramię przy ramieniu z bohaterami, mają jeden problem. Wiesz jaki?

Nic nie mówiłem, bo byłem pewien, że za chwilę sam odpowie na pytanie. Nie pomyliłem się.

- Młodo umierają. A ja nie chciałem młodo umrzeć.

- Tylko dlatego mnie zdradziłeś? - zapytałem i sam we własnym głosie wyczułem nutę smutku oraz rozgoryczenia. - Tylko ze zwykłej, karaluszej chęci przetrwania?

Wzruszył ramionami.

- Wiesz, że zawsze byłem łotrem...

- Zawsze byłeś uczciwym łotrem, Arrah. Byłeś kapryśny i nieprzewidywalny, lecz nigdy nie splamiłeś się zdradą. Teraz jesteś podły. Żaloszny.

Nie patrzył na mnie, jak gdyby go interesowały jedynie czubki własnych butów. Zadawałem sobie pytanie, czy naprawdę ma wyrzuty sumienia, czy gra? A może po prostu tylko odczuwał żal, że stanął po stronie przegranych?

- Zabijesz mnie?

Nie usłyszałem w jego głosie strachu. Ani nawet ciekawości.

Splunąłem mu pod stopy.

- Zbytek łaski. Żyj z tym, co uczyniłeś. Zejdź mi z oczu!

Uniósł głowę.

- Wybaczasz mi?

- Nie, głupcze - odparłem. - O tej bitwie będą śpiewać pieśni, i będą o niej recytować poematy, i będą o niej opowiadać w wielkich zamkach oraz w nędznych lepiankach. I w każdej z tych pieśni, w każdym poemacie, w każdej opowieści nie zapomną o Arrahu Zdrajcy. Tym, który chciał wydać na śmierć przyjaciół. Zawsze chciałeś być sławny, prawda? Z nawiązką dostaniesz to, czego pragnąłeś.

Z jego twarzy odpłynęła krew.

- Lanne - wyszeptał - wiem, że czujesz się zdradzony, ale...

- Tak - przerwałem mu - bo widzisz, takie są właśnie skutki zdrady, przyjacielu. Że ktoś czuje się zdradzony.

- Lordzie, nie mam nic poza swym imieniem! - Opadł na kolana.

Po raz pierwszy powiedział do mnie „lordzie”. I wyczuwałem w jego głosie prawdziwą rozpacz. Ale musiał zapłacić za grzechy. Musiał być cieniem w świetle.

Rewersem dla awersu. Kanalią pośród bohaterów. Bo świat potrzebuje niegodziwców, by blask bijący od uczciwych lśnił tym mocniej.

-Ty już nie masz imienia - stwierdziłem zimno.

-Byłeś moim przyjacielem, lordzie! Kochałeś mnie!

To prawda. Był moim przyjacielem i kochałem go.

Jednakże teraz nie miało to najmniejszego znaczenia. Odwróciłem się w stronę żołnierzy.

-Dajcie mu konia i jedzenie na podróż. Zobaczyłem zbliżającego się generała Kaldarana.

-Proszę tego dopilnować, generale - rozkazałem.

Arrah był szybki. Był tak piekielnie szybki, że nie obroniłbym się, gdyby chciał poderżnąć mi gardło. Ale on tylko wbił sobie ostrze pod serce.

-Wiesz... Naprawdę cieszę się, że zwyciężyłeś - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Widziałem, jak jego twarz blednie i jak tęczowa kapota nasiąka szkarłatem. Uklęknąłem obok niego.

-Czemu? Przecież mnie zdradziłeś...

Chyba chciał się uśmiechnąć, ale ten uśmiech zamienił się w grymas bólu.

-Bo lepiej umrzeć przy tobie niż żyć z łaski Suzerena.

Później zamknąłem mu oczy.

-Przyjacielu - szepnąłem - dlaczego nie chciałeś żyć? Przecież... przecież kiedyś bym ci wybaczył.

-Czemu to zrobił? - usłyszałem głos Horgara. - Mógł po prostu nas zostawić. Nie musiał zdradzać.

-Nie wiem. Naprawdę nie wiem - odpowiedziałem szczerze.

I wtedy oficer, obszukujący ciało Arraha, znalazł złożoną w mały kwadrat kartę pergaminu. Wręczył mi ją. Rozwinąłem dokument, przeczytałem go, a potem zacisnąłem powieki.

-Co to takiego?

Schowałem pergamin.

-Cyrograf Arraha - odpowiedziałem. - Jego zapłatą za zdradę było życie nas wszystkich. Żądał, byśmy zginęli.

Kłamałem. Dokument podpisany przez Suzerena głosił, iż Arrah otrzyma w nagrodę nasze życie i naszą wolność. Chciał nas uratować. Nie wierzył w zwycięstwo, więc pragnął chociaż ocalić przyjaciół. Ale przecież nie mogłem tego wyjawiać. Czarne musi być czarne, a białe musi być białe. Taki już jest świat i takie są rządzące nim

reguły. A przynajmniej takie właśnie były w tym miejscu i w tym czasie. W tym podłym miejscu i w tym podłym czasie.

-Czemu? - w głosie Horgara nie było nawet goryczy, tylko zupełne niezrozumienie. - Czemu nam to zrobić?

-Za zamek i dożywotnią pensję - rzekłem, czując się tak źle, jak nigdy w życiu.

Ale byłem to winien moim żołnierzom. Tym, którzy umarli i tym, którzy przeżyli. Byłem im winien legendę. A Arrah do legendy pasował. Później zacząłem się zastanawiać, czemu nie pokazał mi dokumentu Suzerena. Był zbyt dumny? Nie. On po prostu wiedział to samo co ja. Wiedział, że wielkie zwycięstwa potrzebują wielkich zdrajców. Ludzi, na dźwięk imienia których spluwa się przez całe dziesięciolecia. Wyjąłem z zanadru pergamin i rzuciłem go na żarzące się drwa. Przez chwilę tlił się tylko, potem wybuchnął płomieniem.

-Wybacz - szepnąłem w pustkę, żałując, że nie usłyszę nikogo, kto by mi ofiarował słowo wybaczenia.

Później kazałem wezwać naczelnego chirurga. Przybiegł natychmiast, zasapany, ledwie żywy, z rękoma pobrudzonymi krwią.

-Lordzie Lanne?

-Zbierzcie wszystkich rannych z pola. Opatrzcie ich, uratujcie, kogo się da...

-Co mamy zrobić z ludźmi Suzerena? Myślę, że trzeba ich dobić i zakopać we wspólnym...

-Po bitwie nie ma już wrogów! – warknąłem. - Tam leżą tylko zwyczajni, cierpiący ludzie! Macie ich leczyć! Wszystkich!

-Ależ, lordzie! Zważ, że...

Odwrociłem się w jego stronę i chyba zobaczył w mojej twarzy coś, co spowodowało, że umilkł. Pohamowałem się. Nie chciałem ani go przerażać, ani robić sobie z niego wroga.

-To zwykli rolnicy, mieszczenie i żołnierze, którym kazano iść na wojnę - wyjaśniłem łagodnym tonem. - Nie mogli odmówić, bo by ich zabito, zabrano im majątki, uwięziono ich rodziny. Teraz nie są już naszymi przeciwnikami. Są moimi poddanymi, którym należą się opieka oraz szacunek.

-Stanie się, jak każesz - odparł i zdawało mi się, że zrozumiał moje intencje.

Znacznie, znacznie później, kiedy Kirilath, oszołomione klęską Suzerena, otworzyło przed nami bramy, kazałem ludziom Isdibina znaleźć rudą, piegowatą dziewczynkę. I znaleźli ją.

- A więc tak zapłaciłaś za jedną rozmowę z Lanne Lloch l'Annah i za wylane łzy, kiedy go złapano... - powiedziałem, uklękawszy przy jej ciele.

Pogłaskałem ją po włosach.

- Tak mi przykro - szepnąłem - tak strasznie mi przykro, siostrzyczko.

Potem uniosłem wzrok.

- Jak? - zapytałem.

- Gwałcili ją przez kilka nocy. Powiesiła się na sznurze, który uplotła z własnej sukni.

- Macie ich?

- Tak, lordzie.

Wstałem.

- Spłacił pan dług, generale - rzekłem, zwracając się do Isdibina. - W czasie bitwy spłacił go pan nie tylko honorowo, ale i z nawiązką. Teraz mogę jedynie prosić o przysługę...

- Słucham, lordzie.

- Niech pan zabierze tych ludzi - powiedziałem - tych, którzy jej to zrobili. Niech pan sprawi, by długo żyli... I żeby w każdej chwili tego długiego życia błagali o śmierć.

- Będę zaszczycony, lordzie.

Pochyliłem się i ująłem martwą, zimną dłoń dziewczynki. Pogłaskałem jej palce.

- Czy ona by tego chciała?

- Lordzie?

- Czy tego by chciała? - Odwróciłem się do Isdibina. - Jak pan sądzi, generale?

- Nie rozumiem, lordzie.

- A jeśli im wybaczyła? - Pocałowałem zimne usta. Potem wstałem. - Czy byłaby ze mnie dumna, wiedząc, że kazałem ich zamęczyć?

- Lordzie, ale...

- Czy jeszcze wtedy byłbym bohaterem z jej marzeń? Czy kochałaby mnie?

Tym razem Isdibin milczał. I słusznie, gdyż przecież nie jemu zadawałem pytania.

- Niech pan ich tylko zabije - zdecydowałem. - Nie zasłużyli na szybką i łagodną śmierć, lecz wiem, że ona okazałaby im łaskę. - Odetchnąłem głęboko. - Ja nie potrafię się zlitować, nie do końca... Po prostu ich zabij, dobrze?

- Jak rozkażesz, lordzie Lanne.

Idąc do drzwi, przystanął i się odwrócił.

-Może powinienem powiedzieć, że walka u twego boku była zaszczytem, lordzie...

-Może powinienes tak powiedzieć - odparłem.

Zaśmiał się.

-Chcę, żeby o mnie pamiętano - rzekł już poważnym tonem - by ci, którzy napiszą pieśni, ballady i historię tej wojny, pamiętali, że generał Isdibin dotrzymał danego słowa. Chcę, by moje dzieci i dzieci ich dzieci wiedziały, że ich przodek stanął po właściwej stronie. Po stronie, która miała ponieść klęskę. I znalazł się w jednym szeregu z tymi, którzy mieli przegrać tylko dlatego, że wcześniej dał słowo. A honor jest jedynym majątkiem biedaka takiego jak ja.

-Tak właśnie napiszą - skinąłem głową - w to będą wierzyć i to zapamiętają. A ja nigdy nie zapomnę o tym, co dla mnie zrobiłeś.

Kiedy stał już w progu, zatrzymałem go.

-Czy przyjmiesz moją przyjaźń, generale?

Milczał przez chwilę.

-Wybacz, lordzie, lecz byłoby to brzemię, którego nie potrafiłbym udźwignąć - rzekł i wyszedł, zamykając cicho drzwi.

Może i masz rację, pomyślałem, zważywszy na to, że moi przyjaciele giną szybko i gwałtownie.



**K**irilath było nasze. Wszystkie zamki, lasy i pola należące przedtem do Suzerena były nasze. Nikt nie stawiał oporu, a moich żołnierzy najczęściej witały rozradowane tłumy. Nakazałem oficerom, by dbali o dyscyplinę i każdy przejaw agresji wobec mieszkańców karali z pełną surowością. W końcu nie traktowałem tych ziem jako podbitego państwa wroga, a jako kraj, którym będę rządzić. Najlepiej jak potrafię.

Odbierałem właśnie meldunki od rozlokowanych na prowincji oddziałów, kiedy do komnaty wtargnął Horgar. Po jego minie poznałem, że stało się coś wyjątkowego.

-Panowie raczą wybaczyć - powiedziałem uprzejmym tonem do wysłanników, widziałem bowiem, że przyjaciel chce zostać ze mną sam na sam.

Kiedy już wyszli, spojrzałem na Horgara.

-Co się stało? - zapytałem.

-Twoja matka - zakomunikował - jest tutaj. Cios był tak silny, że niemal straciłem przytomność.

Przypomniałem ją sobie. Piękną kobietę o twarzy okolonej burzą czarnych włosów. Ale to nie ta portretowa wizja zaboląła mnie aż tak bardzo. Przypomniałem sobie scenę w ogrodzie. Byłem w nim tylko ja, ona, Horgar oraz trzech ludzie, którzy pojawili się znikąd. Mieli maski na twarzach i długie sztylety w dłoniach. Mój przyjaciel poradził sobie z dwoma napastnikami tak błyskawicznie, że chyba nawet się nie zorientowali, czemu leżą na trawniku z rozbitymi głowami. Udało mi się uchylić przed uderzeniem trzeciego i kiedy z rozpędu poleciał kilka kroków do przodu, wyrwałem mu sztylet.

-Pokaż mi to. - Głos mojej matki był spokojny i chłodny, tak jakbyśmy przed chwilą odpedzili natrętne ptaki, a nie zabójców.

Podąłem jej sztylet na wyciągniętej dłoni. Ujęła broń za rękojeść, po czym z rozmachem wbiła mi ostrze prosto w brzuch.

-Mamo! - jęknąłem i upadłem na kolana.

Tym razem celowała w szyję, ale zanim zdążyła zadać cios, jej rękę zatrzymała dłoń Horgara. Krzyknęła, kiedy chrupnął złamany nadgarstek. O dziwo, w tym krzyku było więcej złości niż bólu.

-Czemu? - zdążyłem tylko zapytać, zanim upadłem twarzą na trawę.

Pamiętałem ten głos. Mój głos. Brzmiały w nim ból i niezrozumienie. Zdumienie tak wielkie, że graniczące z niewiarą w wypadki, które zaszły.

Wizja zniknęła tak gwałtownie, jak się pojawiła. Słyszałem własny urywany i chrapliwy oddech.

-Zatrzymałeś ją - musiałem włożyć dłonie pod uda, gdyż nie mogłem powstrzymać ich drżenia - uratowałeś mnie.

-Ano tak - mruknął.

-Moja własna matka - powiedziałem, nie mogąc się pogodzić z obrazem z przeszłości - dlaczego mi to zrobiła?

Wzruszył ramionami.



- Potem uciekła na wschód - rzekł. - Podobno została żoną jakiegoś króla - splunął pod nogi i roztarł plwocinę podeszwą - jakiegoś tam barbarzyńcy... A teraz jest tutaj - westchnął ciężko i ze smutkiem. - Obawiam się, że to nic dobrego, Lanne.

- Moja własna matka - powtórzyłem, a potem otrząsałem się niczym mokry pies po kąpieli. - Czego może chcieć?

Żal, zdumienie i przerażenie ustępowały miejsca zimnej wściekłości. Czegóż szukała tu kobieta tak podła, że gotowa wynająć zabójców czyhających na życie jej syna? Czegóż szukała tu kobieta tak podła, że kiedy zabójcy zawiedli, postanowiła ich sama zastąpić? Przecież ufałem jej i kochałem ją. Dlaczego chciała zabić dziecko, które wcześniej nosiła w łonie, któremu śpiewała kołysanki i które, trzymając za rękę, oprowadzała po ogrodach i zamkowych salach? I nagle zrozumiałem, że odpowiedzi na te pytania nie mają znaczenia. Chciała mnie zabić - tylko to się liczyło. Była gorsza od zwierzęcia, gdyż samice z reguły chronią i bronią swych młodych.

Jak ośmieliła się zjawić w mieście, w którym rządził ten, którego z zimną krwią planowała zamordować?

- Chce cię zobaczyć - wyjaśnił Horgar.

- Każ ją przyprowadzić - zdecydowałem po chwili. - Tylko sprawdź, przyjacielu, czy mateczka nie trzyma dla mnie jakiejś niespodzianki w sukniach...

- Jakże to tak?

- Rozbierz ją do naga, jeśli będzie trzeba! - warknąłem.

- Oczywiście, Lanne. Przepraszam. - Ruszył w stronę drzwi z opuszczoną głową.



**M**oja matka wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętałem ją z wizji przeszłości. Czas był dla niej nad wyraz łaskawy, gdyż nie miała na twarzy ani jednej zmarszczki, a łabędziej, smukłej szyi mogłaby jej pozazdrościć niejedna nastolatka.

- Witaj, synu. - Jej głos był niczym atlasowe zasłony oświetlane promieniami zachodzącego słońca.

- Witaj - odparłem chrapliwie. Odchrząknąłem i byłem za to wściekły na siebie.

Uśmiechnęła się, tak jakby знаła moje myśli, a uśmiech uczynił jej twarz olśniewająco piękną.

- Gratuluję wygranej wojny - rzekła.

Nie wiem czemu, lecz w jej ustach zabrzmiało to tak, jakbym rozłożył na łopatki kolegę z podwórka, a nie stoczył bitwę, w której zginęły tysiące ludzi.

- Do rzeczy - powiedziałem do niej twardo. - Czego chcesz?

- Zobaczyć triumf mojego synka? - Uśmiechnęła się słodko.

- Wiesz, czego nigdy się nie zapomina, matko? - zapytałem. - Zdrady. I nigdy się nie zapomina kogoś, kto wepchnął ci sztylet w trzewia. Przynajmniej ja nie zapominam. Więc daruj sobie słodkie uśmiechy i słodkie słówka. Mów, z czym przychodzisz, a potem się wynoś!

- Och, Lanne. Taki porywczy, taki...

Klasnąłem w dłonie i kiedy służący otworzył drzwi, powiedziałem:

- Pani już wychodzi.

- Wynoś się! - rzuciła do sługi.

Posłuchał. Postanowiłem zapamiętać, że ten człowiek nie wykonał rozkazu swego władcy, lecz poddał się woli obcej kobiety.

- Muszę z tobą porozmawiać, Lanne. Lanne - prychnęła - czy kim tam jesteś...

- A cóż to ma znaczyć? - Zmrużyłem oczy.

- Wiem o twoim świecie - rzekła. - Wiem więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

- Proszę, proszę, robi się coraz ciekawiej...

- Pokonałeś Suzerena. Nikczemnego, zienawidzonego i słabego władcę. Tak się jednak składa, że czasami podli ludzie stoją na straży świętych praw i wielkich idei. Nigdy o tym nie pomyślałeś, Lanne?

Czekałem, co powie dalej. Ale faktycznie: nigdy wcześniej nie myślałem w ten sposób.

- Stworzyłeś sobie własną, jakże wygodną, wizję świata, w której podły Suzeren pragnie szerzyć zło, a szlachetni paladyni przybywają, by mu w tym przeszkodzić.

Tyle że ten człowiek i jego potęga strzegły Karad-bar. Strzegły Bram. Kto będzie ich strzec teraz? Ty, lordzie Lanne?

W ostatnich dwóch słowach był chyba jeszcze większy ładunek szyderstwa, niż spodziewałem się usłyszeć.

- Karad-bar - powtórzyłem za nią. - Bramy... A może nikt ich nie musi strzec?

-Interesująca koncepcja. Pozwól, że wytłumaczę ci prawa, które rządzą tym światem.

Nie podobała mi się ani ona, ani słowa, które wypowiadała. Ani ton jej głosu. Sądziłem również, że nie spodoba mi się to, co usłyszę.

-Ktoś kiedyś przypomniał mi, że warto słuchać nawet głupców, ponieważ oni też mają swoją prawdę. Prawdę, w którą wierzą - rzekłem. - Mów więc, w co wierzysz.

-W Karad-bar stoją trzy posągi. Legenda mówi, że kiedy na serdeczny palec prawej dłoni każdego z nich zostanie nałożony pierścień, wtedy zostanie wyzwolona potężna energia...

-Mój pierścień, pierścień Kordelii i pierścień Varrada. - Nie spytałem, lecz stwierdziłem.

Skinęła głową.

-Cóż to za energia? Odrodzi się Mroczny Władca? - zakpiłem. - Płomienne Oko zacznie patrolować świat?

-Nic tak trywialnego. Twój świat i nasz świat, do tej pory rozdzielone magicznymi barierami, połączą się w całość. Przejście z jednego do drugiego stanie się tak łatwe jak otwarcie drzwi.

-Cóż w tym złego?

- Po pierwsze, wielu mówi, że proces będzie podobny do zderzenia materii i antimaterii. Oba światy zginą w czymś na kształt wybuchu jądrowego o nieoszacowanej mocy... Po drugie, są tacy, którzy twierdzą, że tego rodzaju katastrofa nie nastąpi. Ale czy mój świat przetrwa konfrontację z twoim światem? Czy przetrwa żołnierzy uzbrojonych w karabiny? Turystów? Przemysł? On nawet wtedy zginie, gdyż zniszczycie go tak samo, jak zniszczyliście setki innych cywilizacji w ramach własnego uniwersum. Pozostaną po nas legendy, zabytki i po pewnym czasie żal naukowców biadających, jak można było zmieść z powierzchni ziemi tak interesującą społeczność.

Faktycznie musiała się przyłożyć do studiowania praw rządzących moim światem, gdyż trudno było zaprzeczyć, że jesteśmy cywilizacją śmierci. Zabijamy ludzi za to, że inaczej myślą, wierzą w innych bogów, inaczej się ubierają i mówią innym językiem. Ba, zabijamy własne dzieci, wypruwając je z łon matek, a nikkzemnicy oraz kanalie nazywają takie postępowanie „prawem do wyboru" czy „prawem do wolności".

-Mogę nie wierzyć w to, co mówisz, ale nie widzę powodu, by ryzykować. Nie zamierzałem na niczyje palce wkładać żadnych cholernych pierścieni! I nie zamierzam tego uczynić. A jeśli nawet, to i tak mam tylko dwa z nich. Poza tym mogę cię

zapewnić, że nie przepadam za moim światem i nie mam ochoty, by przeniknąć do tego, w którym teraz żyjemy.

Roześmiała się.

-Więc jeszcze nie wiesz? Powiem ci, bo i tak rychło byś się dowiedział od kogoś innego. Ten, kto wykorzysta trzy pierścienie, zyska władzę nad oboma światami. Pełną i ograniczoną jedynie własną fantazją. Czy, mając wszystkie trzy artefakty, a wierz mi, że trzeci prędzej czy później wpadnie w twoje ręce, i dostęp do Karad-bar, zawahasz się?

-Władza deprawuje, władza absolutna deprawuje absolutnie - odparłem sentencją.

- Nie jestem idiotą i nie zamierzam opowiadać swoich życzeń Małpiej Łapce.

-Załóżmy - wzruszyła ramionami - ale jaką mamy gwarancję, że ktoś inny, głupszy lub bardziej bezwzględny, nie pokona cię? Nie zabierze pierścieni i nie użyje ich w Karad-bar?

-Ja tam kiedyś byłem, prawda? - zapytałem cicho. - Torturowano mnie...

-Ciebie i nie ciebie - westchnęła. - Za moment wyjaśnię również to. Teraz ważne jest, że zniszczyłeś równowagę, którą z takim trudem udawało się utrzymywać przez wszystkie lata.

-Chcesz więc powiedzieć, że tysiące ludzi zginęły tylko po to, by jacyś szaleńcy mogli zabić miliony?

-Świat nie jest sprawiedliwy. Prawda, Lanne? W sprawiedliwym świecie wyciągnąłbyś z głazu Excalibura i zdobył świętego Graala. Niestety, na nieszczęście, i twoje, i tego świata, nie jesteś rycerzem na białym koniu, lordzie. Jesteś mordercą i łupieżcą, który małe zło przemienił w tak wielkie, że nie jest go sobie w stanie wyobrazić.

-To kłamstwo - odparłem po chwili, która nawet mnie samemu wydała się zbyt długa.

-Możesz myśleć właśnie w ten sposób. - Wzruszyła ramionami. - Jednak jesteś tym, kogo zapowiadały proroctwa. Stosując terminologię twojego uniwersum, można powiedzieć, że jesteś Antychrystem i Czterema Jeźdźcami Apokalipsy. Jesteś Mrocznym Żniwiarzem i Siewcą Zagłady. Pojawiałeś się na tym świecie od początku jego istnienia. Pod różnymi imionami. Zawsze szlachetny. Zawsze prawy. Szeptaleś ludziom wolności. To ty zawsze wywoływałeś bunty przeciw oprawcom i opiekowałeś się biednymi. Tyle że twoje bunty, kochany Lanne, pochłaniały więcej ofiar niż najstraszliwszy królewski terror. Wołałeś o zaletach prawa porządku, a niosłeś jedynie chaos. Jesteś tym, który, starając się czynić dobro, zawsze przynosi zło. Ginałeś, lecz wcześniej pograżałeś świat w rzekach krwi. I, niestety, zawsze się odradzałeś.

Słuchałem jej słów zarówno ze starannie ukrywanym niepokojem, jak i głębokim, wewnętrznym sprzeciwem. Rozumiałem jednak, że mówi szczerze i święcie wierzy w to, że moje działania ześlą na ten świat zagładę, niezależnie od tego, czy niesienie zagłady będzie moim zamiarem, czy też nie. Według niej byłem po prostu predestynowany do zagrania złowieszczej roli i nie miałem w tym względzie nic do powiedzenia. Po raz kolejny szlag mnie trafił na myśl o tym, że jestem jedynie pionkiem.

- A więc to ty, matko, rościsz sobie prawa, by zostać rycerzem na białym rumaku?

- zadrwiłem.

- Jak myślisz, skąd zna cię królowa trupów? Czyż nie wspomagała cię zawsze i w każdym wcieleniu? Dlaczego pojawił się mistrz Hamrod i ofiarował ci magiczne karty? Skorzystałeś tylko z dwóch i już to przyniosło straszliwe skutki.

To prawda. Nie miałem czasu ani ochoty, by wpatrywać się w inne karty, gdyż podświadomie czułem, że nie byłaby to zabawa bezpieczna. Nie powiem jednak, by słowa matki nie rozbudziły we mnie niezdrowej ciekawości. Najpewniej wbrew jej intencjom.

- Co to znaczy, że stracono go wiele lat temu? Tak powiedziała Kordelia.

- Zdradził cię. A raczej nie ciebie, lecz twoje poprzednie wcielenie. I w dodatku nie ocaliło go to przed kaźnią. On zdradził ciebie, potem zdradzono jego... Ot, zwykła historia. Dlatego pojawił się, prosząc o wybaczenie. Dlatego również przyniósł karty.

- Gdyby mu wtedy wybaczone... – Spojrzałem w jej twarz i roześmiałem się. - Ale mu nie wybaczone, prawda? Wojownicy światłości kazali zabić skruszonego starca.

Milczała.

- Przecież wiesz, że gdybyście mu wtedy darowali, to teraz nie dostałbym kart. Nie spotkałbym mojej Pani. Nie uratowałyby mnie, kiedy zdychałem w kałuży własnej krwi. Płacicie. Po prostu płacicie. Bohaterowie z twojej bajki zabili biednego staruszka, mimo że wcześniej obiecali mu życie i wolność. Ała! Czy mam zacząć tęsknić za twoim światem! Może na powitanie będziemy sobie radośnie krzyczeć „hajtla!”? I to właśnie ja mam być, kurwa, Mrocznym Żniwiarzem?! Zdradzę ci pewien sekret: ostatnio nie zabiłem żadnego staruszka. A jak tam sprawa wygląda u ciebie?

- To było dwieście lat temu. Zdarzały się...

- Zdarzały się błędy i wypaczenia, mateczko! - przerwałem jej z entuzjazmem. - Ale idea była słuszna, nieprawdaż? *Za rodinu, za Stalinu!* Jak ja was kocham! Kapłanów w białych sukienkach, którzy objaśnią mi, co dobre, a co złe. A może to wy jesteście Judaszem, Piłatem i Kajfaszem?

-Uważasz się już za nowe wcielenie Chrystusa? - zadrwiła, lecz widziałem, że moja tyrada wyraźnie ją dotknęła. Zapewne czuła się winna. - Czy rozmawiałbyś ze mną teraz, gdyby nie ta, która pragnie, by wszelkie życie zniknęło z tego świata? Kilka razy ocalił cię od śmierci jej przekłety wąż. Ten sam, który wpuszcza w twoje żyły jad zatrujący duszę. Na polu bitwy ocaliła cię osobiście. Czemu tak bardzo zależy jej na tym, byś przeżył? Uwierzyłeś w piękne bajeczki o wiecznej miłości? Co ty sobie wyobrażasz, Lanne? Że ona jest Panią z Jeziora, która, kiedy przyjdzie czas, zabierze cię na zielone wyspy Avalonu? I będziecie tam żyć długo i szczęśliwie?

Roześmiała się złym, cynicznym, pełnym drwiny śmiechem. W dodatku tym razem to ona trafiła w czuły punkt. Czyżby moja Pani ratowała mnie tylko po to, bym przyniósł temu światu zagładę, której ona sama przynieść nie potrafiła? Czy byłem tylko mieczem, o który należy dbać, polerować go i ostrzyć, by kiedyś zadał decydujące cięcie? No i znowu wracaliśmy do kwestii pionka...

-Pomyśl, Lanne, co podarowałaś tej biednej krainie? - kontynuowała matka. - Wojnę, spustoszenia i ofiary. Wyzwoliłeś nienawiść w tych, którzy do tej pory spokojnie żyli, ciesząc się każdym dniem. Kazałeś obciąć ręce trzem tysiącom ludzi!

-Nic takiego nie kazałem! - zaprotestowałem gwałtownie.

-Oczywiście. Hitler też nie wydał rozkazu, by mordować ludzi w komorach gazowych. On tylko poprosił podwładnych, by rozwiązali problem, który mu doskwiera.

-Bardzo zabawne porównanie - warknąłem - i może raczysz zauważyć jedno: nikogo nie zmuszałem, by szedł za mną!

-Oczywiście, synku. Ty nigdy nikogo do niczego nie zmuszasz. Ludzie idą za tobą z własnej woli. Na śmierć, na poniewierkę, na kalectwo. Czy to czyni cię lepszym? A twoje uczynki szlachetniejszymi?

Z całą pewnością jej słowa wsączały się niczym trucizna w mój umysł oraz w moje serce. I mogłem się założyć, że taki właśnie był cel naszej rozmowy. Tyle że nie zamierzałem dyskutować o krzywdach wyrządzanych podczas wojny. Bo pułapka na moją wolę i pewność siebie została zastawiona wcześniej. W stwierdzeniu, że to ja jestem personifikacją nieszczęść, chaosu oraz niedoli. Że to ja niosę światu zniszczenie. A może było odwrotnie? Może korzystała z mej niewiedzy, by odwrócić rolę? Możliwe, że jej celem i zadaniem było sprowadzenie zagłady?

-Jaki mam powód, by ci wierzyć?

-Masz tysiące powodów. Dokładnie tyle, ilu ludzi zginęło z twojej winy. I tak było zawsze, mój kochany Lanne. Zawsze walczyłeś do ostatniego tchu ostatniego z

twoich żołnierzy. A mieszkańcom tego świata dziesiątki lat zajmowało, by podnieść krainę ze zgliszczy i ruin.

-Czego ode mnie oczekujesz?

-Masz miecz, synu. Wykorzystaj go.

Jej głos był tak samo zimny jak oczy. Jej twarz była martwa, wroga i obca.

-Zdumiewająco łatwo przychodzi ci namawiać do samobójstwa kogoś, kogo nosiłaś w swym łonie - powiedziałem.

Coś drgnęło. I w jej oczach, i w jej twarzy.

-Gdybym wtedy wiedziała, kim jesteś, wyprułabym cię razem z własnymi flakami - odparła.

Nie słyszałem w tym głosie nienawiści ani gniewu. To było jedynie stwierdzenie faktu. I pewnie z tego powodu zdanie zabrzmiało zarówno prawdziwie, jak i przerażająco.

-Cóż za zadziwiający przykład matczynej miłości... - Udało mi się wykrzywić usta w uśmiechu.

-Czy nie zrobiłbyś tego samego, Lanne? Czy nie zabiłbyś własnego syna, gdybyś wiedział, że zniszczy Ziemię?

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej słowami. Zapewne miała rację, jednak pozostawał jeden, podstawowy problem.

-A jeśli się mylisz? Jeśli jestem po prostu Lanne Lloch l'Annah?

Westchnęła.

-Wiesz, jak w twoim świecie poznawany jest dalajlama?

Skinąłem głową.

-Właśnie w ten sam sposób poznano ciebie. Kiedy miałaś siedemnaście lat.

-I wtedy próbowałaś mnie zabić - nawet nie spytałem, lecz stwierdziłem.

-Nie udało mi się i przegnano mnie. Wyrodną, szaloną matkę, która próbowała zabić kochanego przez wszystkich syna.

-I może właśnie taka jest prawda? Może jesteś obłąkana?

-Oddałabym za to życie - rzekła poważnym tonem i z przekonaniem w głosie. - Chciałabym, żebyś był moim kochanym, dobrym synkiem. Władcą uwielbianym przez lud i niosącym pokój. Niestety, jesteś czymś innym. Nawet nie kimś, Lanne. Ty jesteś zaledwie czymś.

Te słowa znowu zabolaty, gdyż trafiały w sedno moich obaw. Lęku, że tak naprawdę wyobrażałem sobie, że jestem graczem, a byłem jedynie pacynką poruszającą innymi, jeszcze żałośniejszymi ode mnie, figurkami.

-Nie popełnię samobójstwa. - Pokręciłem głową. - Choćby dlatego, że ci nie wierzę. Przecież nawet nie wiem, czy jesteś moją matką. Może jesteś demonem, który ukrył się w skorupie jej ciała?

-Naoglądałeś się za dużo horrorów. - Wzruszyła ramionami. Potem prychnęła: - „W skorupie jej ciała”. Żałosne.

-Może i jestem żalosny. Może nie wiem do końca, kto jest moim wrogiem, a kto przyjacielem. Może zdarza mi się krzywdzić innych ludzi – odetchnąłem głęboko - ale nie dam ci się ogłupić. Bo jeżeli „dobrzy chłopcy” każą matce przebijać brzuch syna, jeżeli „dobrzy chłopcy” rozstrzeli wuj ą niewinną dziewczynę, jeżeli „dobrzy chłopcy” posługują się katami każącymi gwałcić dziecko, to może ja po prostu wolę stać po stronie „złych chłopców”?

Przypatrywała mi się długo. Zastanawiałem się, czy przychodząc tutaj, naprawdę się łudziła, że przekona mnie do własnych koncepcji? Sądziła, że naprawdę przebiję się mieczem lub otworzę sobie żyły w wannie?

-Więc taka jest twoja decyzja? - odezwała się wreszcie. - Za kilka miesięcy zbiorę armię. Osiemdziesiąt, może sto tysięcy żołnierzy. Ta ziemia nie spłynie krwią, Lanne. Ona się zanurzy we krwi po czubki drzew.

-Cóż za skłonność do melodramatycznych kwestii! Pamiętaj, że pokonałem Suzerena. Pokonam więc i ciebie. To właśnie ja będę bronił tej krainy, a ty przybędziesz na czele hordy barbarzyńców. Jak myślisz, dzięki temu zdobędziesz sobie miłość mego ludu?

-Twojego ludu! - prychnęła. - Tu nic nie należy do ciebie. Nawet ty sam.

-Bardzo błyskotliwa uwaga, mateczko. Ale cóż, musimy kończyć naszą przemiłą pogawędkę. Na razie trafisz do celi, a już niedługo, jeśli wyjrzysz przez okno, zobaczysz, że moi poddani budują szubienicę. To prezent dla ciebie. Przygotowany w hołdzie dla gorącej miłości, którą mnie darzyłaś i darzysz.

Zrozumiała, że mówię serio, i jej twarz stężała.

-Nie ośmielisz się! - wykrztusiła.

-Na twoim miejscu cieszyłbym się, że nie każę cię spalić na stosie albo wbić na pal. Jeślibyś nie wiedziała, to pozwolę sobie wyjawić, że wedle prawideł sztuki, kobiecie wbija się go w pochwę... Ponoć można zdychać nawet trzy dni, jeśli tylko kat jest zręczny i nie uszkodzi żadnego z narządów.

-Nie możesz mnie skazać bez procesu! Bez ławy baronów! To bezprawie!

-Mam dzisiaj w tym mieście około pięciu tysięcy prawników - zażartowałem, myśląc o stacjonujących żołnierzach.



-Ludzie ci tego nie wybaczą!

-Jesteś tak bezdennie głupia, że brakuje mi słów... Ludzie i zapomną, i wybaczą. Powiem więcej: jeszcze dziś wieczorem pojawią się tu panowie rajcy i złożą mi powinszowania. Będą bardzo smutni i będą bardzo współczuć człowiekowi, który dla dobra ojczyzny poświęcił własną matkę. Wiesz, jak to się nazywa? Myślenie państwowotwórcze. A w ciągu najbliższych dni dostanę listy z gratulacjami od wszystkich baronów. Łudzisz się, że zapomnieli, że chciałaś zabić syna? Zapomnieli, że zhańbiłaś się ślubem z wodzem barbarzyńców? - Parsknąłem pogardliwie. - Na Boga, naprawdę nie wiem, jak w poprzednich wcieleniach mogłem przegrywać z taką idiotką jak ty. I nawiasem mówiąc, ta konkluzja każe mi sądzić, że to, co mówiłaś, było jedynie głupią, podłą bajeczką.

-Lanne, czy nasz świat zasłużył na zagładę? Moje życie nie jest tu ważne. Zabij mnie, jeśli chcesz. Zamęcz, zatorturuj... Ale jeśli jest w tobie choć jedna, mała iskierka dobra, to nie pozwól, by z twojej winy zginęli wszyscy ludzie. Niemowlęta, dzieci, brzemiennie kobiety...

-Hej, hej! Uważaj, bo zaraz się rozpłaczę.

Uniosła głowę. Jej spojrzenie było czujne i zimne.

-Wiesz, że się jeszcze spotkamy?

-Nie wiem. I wcale tego nie pragnę. I pamiętaj, że wcale nie pragnę twojej śmierci...

Westchnęła, a wtedy jej twarz nagle przestała być kamienną maską.

-Wiem - odrzekła smutno. - Robisz to tylko po to, by w ogólnym rozrachunku zatriumfowało dobro, prawda?

Nie musiałem odpowiadać, gdyż oboje znaleźmy odpowiedź.

-Ilu jeszcze ludzi zabijesz, lordzie, by ci, którzy pozostaną, mogli żyć wedle twoich zasad? Ile jeszcze razy obiecasz sobie, że to już ostatnia podłość, ostatnia masakra, ostatnia zdrada... Kiedyś zostaniesz sam, Lanne. Bez przyjaciół i bez powierników. Otoczony gronem przerażonych służalców, w których obecności będziesz się czuł bardziej samotny, niż gdybyś był w pustej komnacie... Pod płaszczem każdego człowieka będziesz widział kształt sztyletu, przechylając każdy kielich wina, będziesz się zastanawiał, czy nie dolano do niego trucizny, każdy hałas na korytarzu obudzi lęk, że to oficerowie idą po twoją głowę...

Zapewne miała rację. Swoją rację. Swoją wizję. Szanowałem to, lecz musiałem spróbować nakłonić ją do zgody.

- Czy nie możemy żyć oboje? - Nadałem głosowi łagodne brzmienie. - Wspierać się? Dbać o siebie? Naprawiać wzajemnie błędy?

W jej twarzy drgnęły tylko usta. Ale to nie był uśmiech. Raczej niechętny grymas.

- A czy woda może płonąć? Czy kret może rozpostrzeć skrzydła i pofrunąć do nieba?

Przymknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, wiedziałem już, jaką podejmę decyzję.

- Nie zostawiasz mi wyboru... - rzekłem, słysząc w swoim głosie złość i rozczarowanie. - Ty nie chcesz nawet spróbować!

Wzbierał we mnie gniew. Skumulowany gniew, który się narodził, kiedy musiałem słuchać jej słów, i który teraz, kiedy mi odmówiła, czułem wyraźniej niż kiedykolwiek.

Podeszła tak blisko, że otoczył mnie zapach jej włosów.

- Lanne - położyła dłoń na moim ramieniu - uwierz. To nic by nie dało. Oprócz jeszcze większych nieszczęść i kataklizmów.

Zerknęła w stronę okna, gdyż wiedziała, że właśnie na widocznym z niego dziedzińcu zbudują szubienicę.

- Czy to sprawny kat? Trochę się boję bólu...

- Nie będzie bólu. Przyrzekam.

Pogłaskała mnie po policzku. - Wiesz, że cię kocham, prawda? - W jej głosie był tylko smutek.

Pochyliłem się i wtedy ujęła moją głowę w dłonie i pocałowała mnie w czoło.

- Wszyscy, których zabijam, twierdzą, że mnie kochają - szepnąłem. - Ale tak naprawdę żadne z was nie chce żyć.

Cofnąłem się o krok.

- Żadne z was nie chce żyć! - powtórzyłem, a gniew wzbierał we mnie niczym rwąca, pełna błota, rzeka. - Tak jest łatwiej! Tak jest wygodniej! Tylko że ja tu zostanę!

Uspokoilem się i otarłem twarz w dłoń, jakbym chciał spędzić koszmar rodzący się pod powiekami.

- To ja będę musiał wydawać dekrety o prostytutce i żebractwie. To ja będę musiał nadzorować budowę kanalizacji...

- Zbigniew Herbert - przerwała mi. - Daruj sobie.

- Taaak. Herbert. Ale to prawda, matko. Cholernie łatwo jest umierać. I cholernie trudno jest żyć. Żyć z wiedzą o tym, że każdy rozkaz i każda decyzja mają wpływ na byt innych ludzi.

- Ja się nie proszę o śmierć...

- Przysięgnij, że... - Spojrzałem w jej oczy i urwałem. - Nie przysięgniesz, prawda  
- w zasadzie nie spytałem, lecz stwierdziłem.

Pokręciła głową.

- Idź już - rozkazałem - a jutro o świcie pokaż moim ludziom, jak umiera matka  
bohatera.

Roześmiała się. O dziwo, tym razem szczerze i wydawała się naprawdę  
rozbawiona.

- Więc nawet to posłuży ci do zbudowania legendy?

- Wiesz, że nie chcę jej budować...

Milczała, a kiedy popatrzyłem na nią, miała pochyloną głowę.

- Wiem, serce moje - odparła - ale czasami tak już jest, że jeden dobry człowiek  
musi zabić drugiego dobrego człowieka w imię budowy idealnego świata.

- Nie chcę zbudować idealnego świata! Chcę, żeby był trochę lepszy, niż jest.  
Żeby nie zabijano bez kary, nie poniewierano słabszymi, nie ściągano zabójczych  
podatków. Chcę, żeby ludzie poczuli dumę z tego, że żyją tu i teraz. Nie uszczęśliwię  
wszystkich, lecz chciałbym, żeby człowiek żyjący na mojej ziemi mógł wciągnąć  
powietrze w nozdrza i powiedzieć: „Tak pachnie wolność”.

- No to najwyraźniej stoję na drodze do tak pojmowanej wolności - odparła.

- Nie rozumiem - powiedziałem z prawdziwym żalem.

- Wiem. Do widzenia, synu.

Przyglądałem się, jak idzie w stronę drzwi. Co czułem? Żal? Wściekłość?  
Rozgoryczenie? Wszystko to i wiele poza tym. Żyliśmy na innych archipelagach. Ani  
nam się witać, ani żegnać.

- Żegnaj - rzekłem, lecz chyba tak cicho, że te słowa usłyszały jedynie moje usta.



**Z**awsze wiedziałem, że Horgar był uczciwym i prostolinijnym człowiekiem. Teraz też zachował się jak człowiek uczciwy i prostolinijny i przyszedł prosić o życie mojej matki.

-Przykro mi - rzekłem - ale jeśli tego nie zrobię, to ona zabije nas obu, przyjacielu. I zniszczy wszystko, co kochamy. Wszystko to, co wywalczyliśmy własną krwią i krwią ludzi, którzy oddali życie na polu bitwy. - Położyłem mu dłoń na ramieniu. - Chcesz napluć na ich groby, przyjacielu? Chcesz im powiedzieć, że ginęli i cierpieli na marne, bo darowałem życie zdrączydni i morderczyni?

-Nie myślałem... - zająknął się - nie myślałem tak o tym...

-Wiem - odparłem - i nie mam ci tego za złe.

-A co potem? - Westchnął. - Z jej ciałem?

-Kiedy już utną jej głowę, każę ją zapakować do garnca z miodem. Bo przecież czas przesłać prezent szanownemu ojczymowi. A ciało każę spalić. Nie postawię jej pięknego grobowca, Horgarze, i w bezsenne noce nie przyjdę płakać na grobie!

Westchnął raz jeszcze. Głośniej niż poprzednio.

-Czy to trudno? - zapytał.

-Cóż takiego? - nie rozumiałem.

-Skazać własną matkę...

- Nie była moją matką. Chciała mnie zamordować i sprzymierzyła się z naszymi śmiertelnymi wrogami. W rzeczywistości była tylko przestępcą, którego ukarałem. Niczym więcej.

-Skoro tak uważasz... - Westchnął po raz kolejny.

-Nie mam racji?

-Masz - odparł wręcz pokornym głosem - ale jakoś mi tak... Opiekowała się mną, kiedy byłem dzieckiem. Była... była naprawdę dobra.

-Przyjacielu - zbliżyłem się i objąłem go – kobieta z lat naszego dzieciństwa to nie ta sama kobieta, której głowę utopią w miodzie. Ta kobieta pragnęła nas zabić i zmusiła, byśmy zaczęli się bronić.

-Pewnie tak. Pewnie masz rację, Lanne.

-Bez wątpienia mam rację, przyjacielu.

Nie wiem, czy mnie zrozumiał. Prawda, że był zacnym, wiernym i szlachetnym towarzyszem. Ale ludzi, z którymi mogłem porozmawiać o wszystkim, zdążyłem już zabić. Nie było Varrada, nie było Arraha i nie było mej matki. A wraz z ich śmiercią zginęła również częśćka mnie. Tylko jaki miałem wybór? Przecież to oni sami,

podjętymi decyzjami, wydali na siebie wyrok! Tak naprawdę nie ja byłem wszystkiemu winien, lecz historyczna konieczność i zły los, który w ten a nie inny sposób splątał ścieżki naszych żywotów.



**M**inęły niemal dwa miesiące, zanim mogłem wrócić do zamku Kordelii. Do mojej kochanki i do mojego smoka, o którym wiedziałem, że nadal leży na dziedzińcu niczym antyczna rzeźba wyczarowana dłutem mistrza. Słyszałem jednak, że ponoć poruszył pewnego dnia łapą, a Glejar przysięgał, iż górna warga uniosła się o cal, obnażając kawałek ostrego jak brzytwa kła. Może więc zbliżał się czas, kiedy mój przyjaciel się ocknie? Co wtedy uczyni? Czy zechce mi towarzyszyć, czy też uzna, że ponoszę winę za to, że nie dopilnowałem jego bezpieczeństwa? Cóż, musiałem zaczekać z uzyskaniem odpowiedzi na te pytania.

Nie śmiałem zajrzeć do pudełka otrzymanego od mistrza Hamroda. Karty, które widziałem i których dotykałem, czasami mi się śniły. W sennych koszmarach widziałem twarze Strażników Bramy, widziałem posągi stojące w komnacie o wysokim sklepieniu. Wiedziałem, że kiedyś tam pójdę. Pójdę po moje przeznaczenie do Karad-bar. Przejdę przez czarne wrota, strzeżone przez moich żołnierzy, by nikt nie odważył się wejść do warowni. Odnajdę również pierścień, trzeci i ostatni, ten, na temat którego żadna wizja nie chciała pojawić się w mojej głowie. Wierzyłem tylko, że gdzieś go ukryłem, nie chcąc, by wpadł w niepowołane ręce. I kiedyś go odnajdę. A wtedy stanę przed wrotami Karad-bar z trzema pierścieniami w dłoni. Stanę, by w gigantycznych salach tej warowni odszukać własne przeznaczenie, licząc na to, że nie zakończy się ono w mrocznych kazamatach, których obrazy nadal ukazywały się czasem przed moimi oczami. Wiedziałem bowiem, że cała władza, jaką mam nad tą krainą, nie znaczy nic w labiryntach Karad-bar, gdzie będę zdany tylko na siebie.

Ufałem jednak, że czas, kiedy będę musiał stanąć twarzą w twarz z losem, nie nadejdzie zbyt szybko. Na razie musiałem stanąć twarzą w twarz z kobietą, która była słodka niczym cykuta zmieszana z miodem.

- Witaj, lordzie Lanne - rzekła. - Cóż sprowadza wielkiego władcę w me skromne progi? Wielkodusznie ofiarujesz mi łaskę i przyjaźń czy może chcesz zabrać to, co mi jeszcze zostało?

- Kiedyś powiedziałaś, że zabrałem ci serce...

Nic nie odrzekła, a ja opadłem na kolana, choć szczerze mówiąc, ten gest nie przyszedł mi łatwo. - Więc przyszedłem tylko wyznać, że ty zabrałaś moje. Przyszedłem powiedzieć, że cię kocham. Jeśli nie mógłbym budzić się ze snu przy tobie, wolałbym nie budzić się wcale. Jeśli nie mógłbym oglądać twojego cudownego uśmiechu, wolałbym, żeby wypalono mi oczy.

Miała nieruchomą twarz i zimny wzrok. Do jej serca, zapewne, prowadziły drogi tak mocno skute lodem, że nie miałem szans, by się przez nie przedrzeć. Wstałem.

- Cudownego? Naprawdę sądzisz, że mam cudowny uśmiech? - usłyszałem.

Odwróciłem się.

- Tak, Kordelio. Naprawdę sądzę, że masz cudowny uśmiech - powiedziałem beznamiętnie. - Do widzenia.

- Dokąd się wybierasz, Lanne?

- To nie twoja sprawa, moja śliczna.

- Ludzie wszędzie potrzebują bohatera, prawda?

- Nie. Potrzebują wiary, że bohater żyje i zjawi się, kiedy nadejdzie naprawdę zły czas. Potrzebują bohatera, który umrze dla nich i któremu będą mogli wystawić pomnik.

- Ja potrzebuję bohatera - mocno zaakcentowała słowo „ja”.

Zatrzymałem się w pół kroku.

- Powtórzę, kiedy któregoś spotkam – odparłem i poszedłem dalej.

- Błagaj - dobiegł mnie jej głos. - Pozwolę ci być ze mną, ale błagaj!

Położyłem dłoń na jej policzku.

- Właśnie tego pragniesz, gwiazdko? - Uśmiechnąłem się. - Przecież to nie byłbym już ja. Mogę sto i tysiąc razy powtórzyć, że cię kocham, bo w wyznaniu miłości nie ma niczego złego. Ale o nic nie będę cię błagał, gdyż ważna jest tylko miłość, która jest darem, a nie miłość będąca jałmużną. Krótko mówiąc, kochanie: fuck you!

Przyglądała mi się chwilę w milczeniu, zapewne myśląc, że coś dodam, gdyż, co oczywiste, nie zrozumiała dwóch ostatnich słów.

- Ja ją błagałam! - warknęła w końcu.

- Oczywiście, Kordelio. - Pokiwałem głową. - Tak jak ja błagałbym każdego, kto chciałby cię skrzywdzić, a kogo nie potrafiłbym pokonać...

- Błagałbyś o moje życie, Lanne? Tarzałbyś się w błocie i całował stopy?

-Tak, gwiazdko - odpowiedziałem - nawet najgorszemu wrogowi.

-Więc całuj moje, bo jeśli odejdiesz, to nie mam po co żyć...

Wpadła w moje ramiona, rozszlochana i zapłakana.

-Tak bardzo - jęknęła - tak bardzo, bardzo cię nienawidzę, Lanne...

-Wiem, moja śliczna - szepnąłem w jej ucho.



**O**cknąłem się w jednej chwili. Słyszałem monotonny szum medycznej machinerii, widziałem sterylnie białe ściany i kobietę siedzącą obok na fotelu. Miała zmęczoną, ciemną twarz, okoloną połyskliwymi czarnymi włosami. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, ale mogła być młodsza, gdyż młodość kobiet znad Morza Śródziemnego czasem nad wyraz szybko spala się w olśniewającym słońcu Południa. Wiedziałem, że zostaliśmy sobie przeznaczeni i zapewne od tego momentu dużo czasu spędzimy razem.



**Cz**ekało mnie jeszcze jedno zadanie. Jedna misja, którą zobowiązałem się wypełnić. Yanna nie przypominała mi o obietnicy, którą złożyłem w zamku Suzerena, ale wiedziałem, że pamięta o niej i liczy, że również ja nie zapomniiałem.

Kiedyś tylko spojrzała w rozgwieżdżone niebo (staliśmy na balkonie w zamku Kordelii) i szepnęła:

-Co się stanie ze mną tutaj? Kiedy się już obudzę tam? Zniknę? Puff, i mnie nie będzie?

-Nie wiem - odparłem szczerze.

Odwiedziłem jej szpital i zażądałem spotkania z lekarzem prowadzącym jej przypadek.

- Nic nie wiemy o żadnej rodzinie... - mruknął nieprzekonany - to już tyle lat i nikt się nie zgłosił...

Wyjąłem z kieszeni legitymację ABW. Świetnie podrobioną przez przyjaciela, który uwielbiał niewinne zabawy w fałszerstwa.

- W firmie wszyscy jesteśmy jedną, wielką rodziną.

- Mrugnąłem do niego.

- Ach tak, no proszę... - Był wyraźnie skonsternowany. - Ale to beznadziejny przypadek, bo wie pan...

- Chcę zostać z nią sam - przerwałem mu.

- Tak, tak, tak, tak - zgodził się lekarz. Mimo to stanął przy drzwiach.

- W zdaniu „chcę zostać z nią sam” jest pięć słów rzekłem bardzo spokojnym i bardzo łagodnym tonem.

- Zapewne nie do końca zrozumiał pan to, które brzmi „wypierdalaj!”.

- No wie pan? Jak pan śmie w ten sposób...

- Teraz jest tylko: wypierdalaj z pokoju. Jeden mój telefon i będzie: wypierdalaj z medycyny. Mam zadzwonić?

Potem usiadłem na krzeselku przy łóżku i ująłem bladą, wychudłą dłoń Yanny.

- Obiecałem i jestem - powiedziałem - i chciałbym, żebyś się ocknęła jak najszybciej, bo jeśli myślisz, że spędzę wiele dni przy suce, która chciała mnie zabić, to się głęboko mylisz.

Leżała biała niczym prześcieradło, z nieruchomą twarzą i zamkniętymi oczami.

- Yanna - rzekłem - podnieś z wyra swoją chudą dupę, dobrze?

Uniosła powieki tak niespodziewanie, że niemal się przestraszyłem.

- Lanne - szepnęła. - Och, Lanne. Wróciłeś po mnie! Dziękuję... Dziękuję...

Chwyciła spazmatycznie moją dłoń.

- Nie mam chudej dupy - dodała - a w każdym razie nie miałam. Jak wyglądam? Masz lusterko?

- Yanna, nie zmarnuj tego - zignorowałem jej pytania.

- Postaram się.

Wiedziałem, że przez wiele dni będę miał ślady po jej paznokciach, lecz nic nie mówiłem. Wbijała je tak, jakbym był kotwicą, która ma utrzymać statek jej życia w spokojnej zatoce.

- A ty? - zapytała po chwili.



- Będę coraz bardziej tam, a coraz mniej tu. Tak sądzę...

- Poradzisz sobie. - Siąknęła nosem. - I będę się za to, kurwa, modlić! Lanne - nagle poderwała się i spojrzała na mnie - on miał cię torturować i zabić, a ja nie kiwnęłabym nawet palcem! Przecież wiesz! Czemu mnie ratujesz?

- Bo nie pchnęłaś mnie nożem w plecy? Bo nie poderżnęłaś mu gardła? A może mam po prostu słabość do kurew? Albo chciałbym, żeby dupa, która dopiero co wyszła ze śpiączki, zrobiła mi odlotową laskę?

Uśmiechnęła się blado i wystawiła środkowy palec.

- Myślisz, że mi się uda? - spytała.

- Zrobić laskę?

- Wiesz, o co pytam.

Owszem, wiedziałem i postanowiłem, że odpowiem szczerze.

- Myślę, że kiedy minie pierwszy zachwyt nad nowym życiem, to wrócisz do tego, co było dawniej. Będiesz piła, ćpała i dawała dupy komu popadnie. A potem znowu uznasz, że już nie chcesz żyć. I tym razem weźmiesz większą dawkę prochów...

- Ty chuju. - Jej oczy zaszkliły się łzami. - To po co mnie ratowałeś, pierdolony skurwysynu, skoro...?

- Spytałaś, co myślę - przerwałem ostro - nie pytałaś, w co wierzę...

Patrzyła na mnie, a jej policzki były mokre od łez.

- A w co wierzysz, lordzie Lanne? - zapytała cicho i niemal pokornie.

- Wierzę, że znajdziesz kogoś, dla kogo będzie biło twoje serce. Urodzisz mu dzieci i będziesz cudowną matką. Koledzy twojego syna i koleżanki twojej córki będą pytali z zazdrością: „Dlaczego moja matka nie jest taka jak twoja?”. Twój mąż, stojąc na środku sali pełnej pięknych kobiet, będzie myślał tylko o tym, że chciałby wyjść jedynie z tobą.

Zacisnęła powieki.

- Obiecujesz?

Dotknąłem jej dłoni.

- Czy słyszałaś, by Lanne Lloch l'Armari kogokolwiek okłamał?

Kiedy wychodziłem z pokoju, nadal miała przymknięte powieki. Ale nie musiałem patrzeć, by wiedzieć, że jej oczy wypełnione są niebem.

Kiedy wszedłem do komnaty Yanny na zamku, ta była pusta. Na łożu pozostała tylko suknia i bielizna, tak ułożone, jakby wcześniej wypełniał je kształt, który bez śladu rozwiął się wraz z podmuchem wiatru.



**S**taliśmy na wysokim balkonie, z którego rozpościerał się widok na zamkowe mury i leżące za nimi miasto. To wszystko, w tej właśnie chwili, wydało mi się jedynie kadrem z filmu lub komiksowym obrazem. Ale kobieta obok mnie była nad wyraz rzeczywista. Czułem ciepło bijące od jej ciała, słyszałem jej oddech i czułem łaskotanie, kiedy powiew wiatru przygarnął w stronę mojej twarzy kosmyk jej włosów.

Obróciłem się i przyciągnąłem ją do siebie.

- Kim ja jestem, Kordelio? Powiedz mi, kim ja jestem?

Przez moment widziałem w jej oczach coś na kształt współczucia lub zrozumienia. Ale zaraz potem były to tylko stalowoszare oczy Kordelii.

- Jesteś kimś, kto nie zadaje takich pytań... - odparła.

A potem odwróciła się i odeszła.

- Już wiem - szepnąłem - już wiem, że nie warto było zapłacić tej ceny...

Słońce zachodziło nad basztami, malując w chmurach purpurowe smugi. Gdybym był bohaterem, pewnie odjechałbym w stronę tego słońca, nie interesując się więcej losem ludzi, którym stanąłem na drodze. Ale nie byłem bohaterem. Tak więc mogłem jedynie przyglądać się słońcu, dopóki nie zniknęło za horyzontem. Później mogłem wstać i pójść do komnaty, w której czekała na mnie kobieta, która jednocześnie kochała mnie i nienawidziła. Nazajutrz mogłem zasiąść na tronie i ścisnąć w dłoni berło. Mogłem... Zamiast tego siedziałem na zimnym murze i czekałem, aż obejmie mnie noc.

Koniec